



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

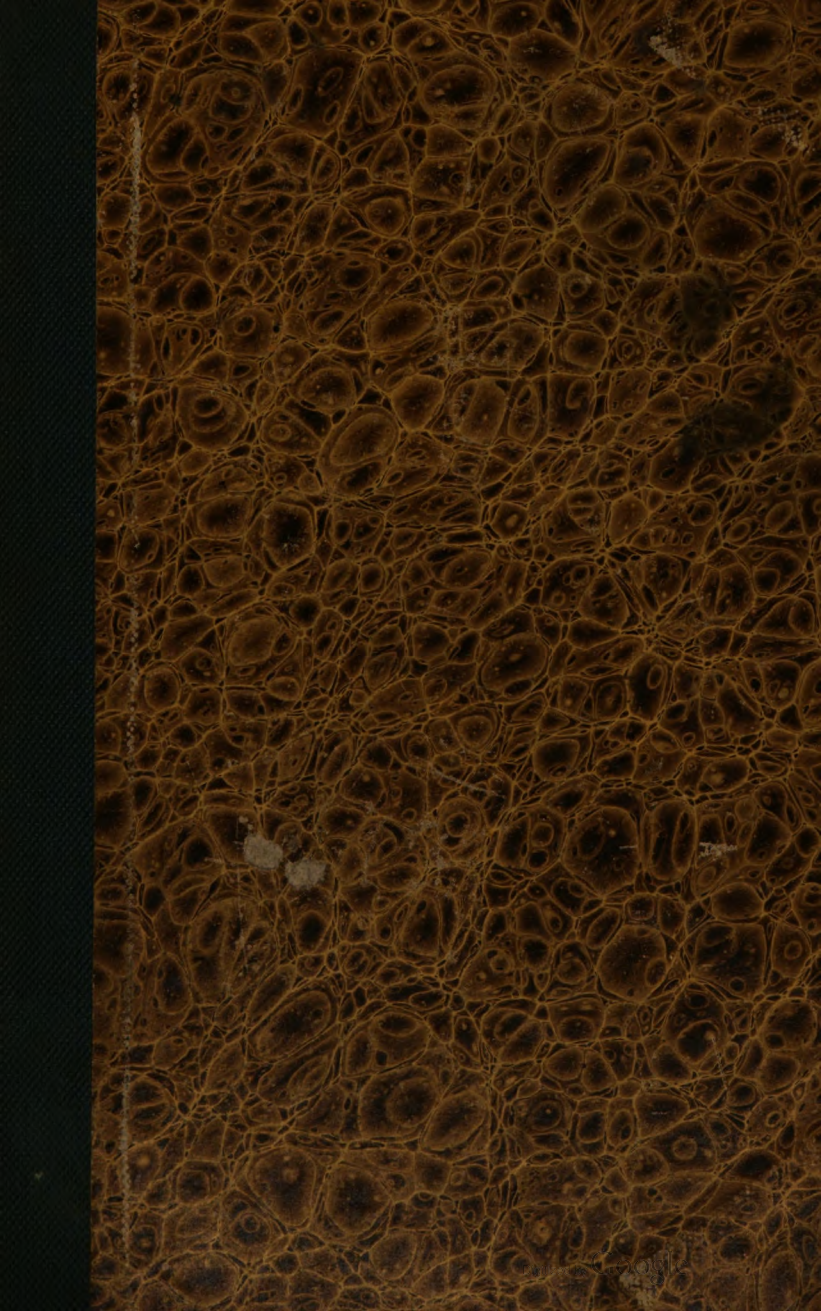
Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Żnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>



No. rel. 2634

Morawski



POBITNA

POD

RZESZOWEM

POWIEŚĆ

PRAWDZIWA Z CZASÓW KONFEDERACYI BARSKIEJ
Z ROKU 1769

PRZEZ

Szczęsnego Morawskiego.

KRAKÓW,

Nakładem Autora.

WYDŁOCZONO U Ż. J. WYWIĄLKOWSKIEGO.

1864.

BIBLIOTHECA
REGIA
MONACENSIS.



WSTĘP.

Puławski Józef chwycił za broń przeciwko Moskwie szarpiącej wnętrzności Polskiej. — Naród chciał poruszyć — Moskwa w odpowiedzi wywołała rzeź humańską.

Potocki Joachim namiestnik marszałka związkowego, przeciwny powstaniu ludowemu twierdził: że Europa dla swój równowagi, a przedewszystkiem Turczyzna dla swego własnego dobra, musi zapobiegać przemożnemu wzrostowi Moskwy.

Choćby więc Polska sama nie czyniła tylko wyczekiwała, to Europa musi ezuwać nad jój wolnością. Czuwać téż musi Rzym, bo z upadkiem Polski runął by katolicyzmu filar potężny, unia ruska....

Było w tém prawdy tak wiele! a prawdopodobieństwa tak mało!....

Potocki nie zważał, że najtrudniejszém zadaniem życia ludzkości jest badanie i wykonywanie prawdy! Nie badał jój, wolał marzyć — że świat będzie się rwał do wykonania prawd rozumu! —

Humanańską rzezią zastraszony z przerażeniem w powstaniu narodowém widział widmo ciemnego dzikiego ludu, kruszącego pęta poddaństwa!

On i stronnicy jego potomkowie słynnych rodzin nie mogli ponieść ofiary z siebie samych — a bronić swobód swych także już nie zdołali. Zawiniłi niedołężnością! niepojęli narodu — niepojęli Puławskich.

Potocki głęboko przejęty mylném swém przekonaniem, niecierpiał Puławskiego przeczek. Namiestnik marszałka Konfederacyi mniemał mieć prawo szorstkiego rozkazowania temu, co był głową i sercem związku. Rzekł Puławskiemu w końcu: Tak chcę! tak każę! tak będzie!

Puławski zastanowił się nad tą dla siebie nową rzeczą, lecz gniewem nie wybuchł. Dla miłości ojczyzny przelomil własną godność.

Niezadługo nadchodzą listy z Cieszyna, gdzie biskup Krasieński, przybrawszy sobie kilku dostojników koronnych, generalicyą, to jest rząd zwią-

kowy ustanowił, do którego wchodził i brat jego, marszałek barski.

Marszałek więc Krasieński piszę do Puławskiego, aby jak najspieszniej wkraczał do kraju; kędy tylko będzie mógł aby szerzył związek i województwa do broni powoływał, do czego mu przysłał upoważnienie.

Potocki mimo to i teraz obstawał przy swoim czekaniu i wzbranianiu wychodu. Lecz Puławski odrzekł: Nie znam innej zwierzchności nad marszałka Krasieńskiego!— i gotował się do pochodu.

Przodem ku Mohilewu ruszył, Kazimierz najstarszy syn jego, w towarzystwie najmłodszego brata naczele najdawniejszych i najdzielniejszych związkowych barskich. Za nim w odwodzie młodszy Franciszek wiódł chorągiew kozacką.

Potocki posłyszawszy, iż ruszyli, rozkazał Wojciechowi Bohdanowiczowi obożnemu swemu gonić i siłą nawrócić.

Bohdanowicz przypadł na zastęp Kazimierza, rozkazując, aby natychmiast wracali. Kazimierz odrzekł, iż pełni rozkaz marszałka związkowego, a innych panów nie zna!— Więc Bohdanowicz kazał dać ognia, a jeden towarzysz postrzelon.—

Na to hasło zerwali się Barszczanie i byłiby na szablach roznieśli!— Ale Kazimierz sobą samym zasłonił Bohdanowicza i dotąd prosił, dotąd uspokajał, aż uspokoił. — Bohdanowicz wracając spotyka szczupły oddział odwodowych kozaków, zabiera i wprowadza do Mohilewa na zamek wojewody kijowskiego.

Kazimierz słysząc to z ust brata Franciszka, wraz z nim samotrzeć jedzie na zamek.— Kozacy stali jeszcze na koniach. Kazimierz staje przed nimi rozkazując:— Kozacy za broń! lewo w tył— marsz!— a kozacy słuchają komendy której nawykli. Franciszek wiezie ich.

Bohdanowicz przypada wołając: Na koń! do broni!— i otacza kozaków i Puławskich; lecz wojsko niechce nacierać, bo Puławski nie kazał spuszczać grotów. Bohdanowicz rozwścieklony odwodzi pistolet, pali do Franciszka, lecz chybia. Kozacy skoczyli; przypada pomoc i wmgnieniu oka rozbroili Bohdanowicza ludzi. Zabrawszy broń chcą odchodzić; lecz tamci proszą, aby ich nie wystawiać Turkom na pośmiewisko. Puławski kazał oddać i wynosić się z zamku, który swoją już strażą obsadził. W bramie jeszcze Bohdanowicz tratuje koniem straż pieszą, bije i odgraża się Pu-

ławskim. Wyszedszy z miasta ustawia się do boju, wywołując na Kazimierza.

Turków dziesięci przychodzi do Mohilewa, dając znać Kazimierzowi i ofiarując pomoc. Nieprzyjmuje Kazimierz pomocy. Turkom przydaje straż, aby ich odwiódła do Chocimia a po drodze, jeżeli chcą, niech Bohdanowiczowi rozmówią szalone zamysły.— Czynią to! a on do straży każe strzelać. Turcy pod strażą odeszli, a Puławski z przedstawieniem wysłał drugich— Bohdanowicz strzela. Jeszcze przedstawienia. — Oni strzelają po trzeci raz, pada kilka koni i jeden huzar.

Wtedy dopiero rozkazuje Puławski: ognia! — Towarzysz jeden napity, szeregowy jeden przestrelon! —

„Do szabel! hurra!!— Natarli! rozbili!

„Pardon!— pardon! woła Bohdanowicz.

— Przysięgniecie na posłuszeństwo marszałkowi Krasieńskiemu?—

— Przysięgniemy!

— Przysięgajcie! — Przysięgli — Teraz na przód — Marsz!

Bohdanowicz prosi się na urlop, a Puławscy przypominając przysięgę zezwalają na kilka dni.

Bohdanowicz sam wraca upokorzony.

Nadjechał też z zagranicy marszałek Krasinowski, pełen dyplomatycznej otuchy i zupełnie z Potockim w obcą pomoc ufny. Aby do końca stłumić Puławskich, odbiera im wszelką władzę, a to osobnym uniwersałem.

Joachim Potocki słysząc o zajściu zachodził się od gniewu— lecz stało się. Więc pyta o Puławskiego ojca, a słysząc, że się jeszcze nie złączył z synami każe imać i więzić.

Najzacniejszy ojciec miał odpokutować za zachoć swych synów.

Murza talarski otrzymał rozkaz imania go okutego gdyby zbrodniarza— pod liczną strażą, odstawił chocimskiemu baszy oskarżając, że łamie prawa wysokiej porty, przywabiając do siebie żołnierzy tureckich. . . . — Basza chocimski kazał go wtrącić w Kazamaty ciemne.

Puławskiemu Józefowi, najznacniejszemu szlachcicowi polskiemu, pęka najczystsze największe serce.

Turcy twierdząc, iż pewno na morowe umarł powietrze— grzebią go w czystym polu pod Mohilewem, podobno w kajdanach.

Joachim Potocki sądzi, iż ocalił Polskę; a on tylko zbladził i zemstę wywarł.— Że basza chocim-

ski biorąc ruble moskiewskie niekoniecznie pragnąc będzie całości i wolności Polski — to! zarozumiałemu politykowi ani myślą nie mknęło. —

Osieroceni Puławscy synowie, przebywszy Dniestr usadowili się! Kazimierz w Okopach św. Trójcy a Franciszek w Zwańcu. Moskwa oblała ich gdyby bałwany morskie wysepkę małą, swoi zaś nieżyczliwi naigrawali się z walki działy z olbrzymem.

Potocki Joachim pewien był iż zagina. On liczył siły ludzkie, a nie liczył opatrności Boga.

Bóg! ocalił młodocianych Puławskiego synów, a odgłos walki ich nieprzebrzmiał marnie.

Wielkopolanie najprzód chwycili za broń przeciwko najeźdźczej Moskwie.

W Małopolsce rozpoczął bój — Odrowąż Pieniążek, w dzień św. Piotra i Pawła 1768 na czele stu Węgrów zaciężnych w Baligrodzie, głosząc koło związkowe, a Bronickiemu z Nowogotanca doręczając od generalicyj przysłane mianowanie regimentarzem ziemi sanockiej.

Księżna Lubomirska na Kolbuszowej i Głogowie oprawna pani, polka serdeczna, syna swego Marcina jenerała wojsk koronnych z za granicy przyzwała, aby stawał w obronie ojczyzny.

Wracając przez Węgry zaciągnął i przysłał 500 zbrojnych pacholków. Nie mieszkając 7go Lipca na okazowanie pod Rejmanów osobiście przywiódł 14 dział spiszowych z uprzężą i przyborami doskonałemi—usługiwanych i strzeżonych przez dobraną milicją dworską.

Sanoczenie złączeni z Sandomierzany ruszyli na Kraków, kędy już zastali związek krakowski pod laską Stefana Czarnockiego.

Połączeni marszałkowie uznając zasługi księcia Marcina Lubomirskiego obrali go głównym wodzem całej Małopolski.

Moskwa pod dowództwem Appraxyma obległa Kraków. Spłonęły przedmieścia, miasto doznało ucisku oblężenia. Wystrzelano kule, wystrzelano żelazo siekane i miedziane pieniądze, więc dach ołwiany kościoła Panny Maryi przetopiono na kule. Książę Marcin mieniem swém podtrzymywał obronę już dwumiesięczną.

Moskwa nie mogąc siłą pokonać, jęła się zdrady.

Rozpuściła wieści o zbliżającej się odsieczy. Przybyły jakiś posłaniec, rzekomo z trudnością przekradłszy się przez czaty moskiewskie przyniósł list do Piaseckiego sędziego Konfederacji małopolskiej. Według pisma—Wielunianie pod Wes-

slem, marszałkiem, ciągną pod Tyniec kędy niezawodnie staną w dniu oznaczonym.— Uradzono więc wysłać im pomoc i w połączeniu z nimi uderzyć na Moskwę, podczas gdy Krakowianie z miasta wypadną.— Lubomirskiemu wypadło iść pod Tyniec. Wyszedł więc w kilkaset ludzi i 5 dział.

Moskwa w ślad za nim obsadziła Krzemionki. Przekupiony zdrajca Trzebicki otworzył furtkę straży swój powierzona. Apraxym wpadł do miasta i wśród boju jeszcze, gdy mu już duszno było nową zdradą wołając, iż kapituluje!— zyskał chwilkę czasu, a gdy mu pomoc przyszła, ofiarując konfederatom wolne wyjście— skłonił ich do złożenia broni.

Łatwowierności swój wkrótce gorzko pożałowali. — 260 szlachty a 400 i kilkadziesiąt nieszlachty wraz z Czarnockim i Potockim marszałkami, wśród zimy Grudnia — popędzono w Sybir!

Smutny pochód téj przedniej straży męczeństwa polskiego dokładnie opisał jeden z nich w lat kilkanaście, który z rot aresztanckich uciec zdołał. Los ich był takim jak i późniejszych wygnańców: Głód! zimno! chłosta! choroby! a w końcu śmierć z gorzką łzą na źrenicy zwróconej ku Polsce!

Czterdziestu tylko uwolniono na wymian za jakiegoś carskiego sługę wiernego, a imanego przez Turków, za którego żądano taki wykup.

Książę Marcin niezastawszy pod Tyńcem rzeckomiej Konfederacyi wieluńskiej, chciał wracać do Krakowa. Lecz Moskwa usadowiła się już na Krzemionkach przecinając odwrót. Rad nierad więc ruszył w góry i pod noc rozłożył się pod Makowem. W nocy burza ulewna przeciągała gorami—po trudzie dziennym obóz popadł w sen głęboki samą burzą ubezpieczony. Aż tu nad rankiem przypada Moskwa tak niespodzianie, że przerażone wojsko bez oporu rozpierzcha się na wszystkie strony. Książę sam omal niepopadł niewoli, bo wody górskie wezbrane tamowały ucieczkę.

Bronicki marszałek sanocki także się ocalił. Nadaremnie wzywał on do zaciętej obrony Krakowa. Osadziwszy kościół jakiś, obarykadował się i drugich przykładem i słowem zachęcał do zaciętej walki ulicznej—dom w dom, krok w krok.

Widząc zaś, że wolą zawierzać zdradzie moskiewskiej, zebrał garstkę poświęconych i łącząc przebiegłość z nieustraszoną odwagą, przerznął się przez Moskwę i uszedł. W kilkanaście dni już znowu stał na czele walecznej garstki Sano-

czan a 15go Września z obozu pod Wyrawą uniwersałem wzywał do łączenia się z sobą.

Pierwszym, który się doń przyłączył, był Książę Marcin Lubomirski.

Z pod Gorlic (27go Września) rozpisując uniwersały, w nich za przykład godny naśladowania stawiał Bronickiego i Dzierżanowskiego — niegdyś pułkownika francuzkiego w Indyach; portugalskiego, belgijskiego, saskiego dalej poufnego komornika króla polskiego, a w końcu dzielnego partyzanta związkowego, któryby był samego Repnina pojmał i Polskę ocalił, gdyby niebył zdradził zamysłu — sam król! —

Marzkowski téż, zebrawszy świeżą gromadkę, uwijał się wedle Krakowa spustoszonego.

Bronicki byłby może na nogi postawił zachwianą Konfederacją krakowską, i jeszcze przed zimą byłby może co odbił na Moskwie, lecz nagle i niespodziewanie umarł w pośród swych zabiegów. — Wszystko więc odciągnęło się aż do wiosny 1769 roku.



WESELE.

WESELE.

„A cóż mi to za wesele,
Co go tylko dwa dni.
Żeby było dwa tygodnie,
Toby było ładnij.“

Rzeszów, miasto nad Wisłokiem, brzmiało godowemi dźwięki. Wychodziły one z domu zdawien dawną Opatówką nazwanego, gdzie wedle podania ludzi, przed niepamiętnemi czasy, jakieś opactwo bydź miało. Czy to podanie prawdziwe, nie śmię twierdzić. To jednak pewną, że wielka izba tego domu na śmiało mogła bydź jadalną największego opactwa. Sklepiona sień, krzyż nad odrzwiami, wielkie dwa schody kamienne u wnijścia, równie jak ogromny kaflowy piec, i w ołów oprawne szyby w oknie, zdawały się stwierdzać podanie.

Obecnie była tam miodowa arenda, pod gołdem owiec i wilków, zgodnie z jednego naczynia

jedzących. Najlepsze dereniaki, maliniaki i wiśniaki w dębowych antałach zapelniały głębokie suche piwnice, ku rozradowaniu wesołych a pocieszeniu utrapionych obywateli miasta.

Otóż w tej „Opatówce“ odprawiało się sute wesele obywatela Miszczkańskiego, starszego syna świętej pamięci cechmistrza rzeźnickiego. W dożywotnią przyjaźń, ugodził on sobie córkę kuśnierza zamożnego, który dla dworu starosty czudeckiego, równie jak dla książąt Lubomirskich, tak na Rzeszowie jak i Kolbuszowej delie i tułuby robił.

Starostą weselnym był, starszy cechmistrz nad cechmistrzami — a cechmistrz Skacki. Człowiek poważny, rosły, z siwym obwisłym wąsem, a wygadany zwyczajnie jako każdy kupiec.

Trzeba bowiem wiedzieć, że on półsetkami płócien kupczył. Nieraz tyle półsetków leżało u niego na składzie, iżby niemi można usłać drogę do blichów na Wisłoku w Babicy, dwumilowej przestrzeni. Starością była Obywatelka Standylka, cechmistrzowa rzeźnicka, a wielce poważana kuma starszego cechmistrza. Między družbami, czyli młodzianami był Bartłomiej Murski, rzeźnik młody na ożenieniu, a między družkami Jagusia Luderzanka, córka młynarza miejskiego na Strudze pod Powiśnią.

Łabudy z Głogowa grali. A wiecie wy, kto to te Łabudy z Głogowa? — Jest to rodzina, na mil kilkanaście w około z muzycznego daru słynąca.

Idąc za wrodzoną sobie skłonnością, szyją latem obuwie dla pracowitych obywateli miejskich i wiejskich, i pilnują sadów wydzierżawionych przez siebie. Skoro zaś obiorą śliwy, otrząsą jabłka i otłuką orzechy, zostawiają sprzedaż owoców żonom, dzieciom i niewistkom; sami rzuciwszy kopyta pod komin, kręcą struny z jelit baranich dobrze wysłamowanych, smarują smyki żywicą przetapianą w łupce z jaja, klarnety oliwą, a gardła miodem — i z wesela na wesele tną od ucha swoją sztukę, żeby się i kulawy na ławie nie osiedziały. Bywało ich zwykle sześciu Łabudów i stary Mendel żyd kuśnierz, nierozdzielny ich towarzysz.

Trzech rznąło na skrzypcach, dwóch na klarnetach, a stary Łabuda basował aż się ziemia trzęsła. Instrumenta ich były powiększanej części swojskiej roboty, mianowicie basy starego Łabudy, a cymbały Mendla, który kiedy puścił dwie kościane pałeczki po swojej lutni, to i organista z klasztoru cudownej Matki Boskiej bernadyńskiej rzeszowskiej, (którego godzinki i nieszpory w Leżajsku nawet słynęły) nie mógł się nasłuchać i napodziwiać. Skrzypce miewali gdańskie, zwykle z umysłu w kawalki tłuczone, a potem znowu sklepane dla poprawienia głosu. Owoż ci Łabudy, grali na weselu obywatela Miszczańskiego.

Starszy cechmistrz, jako Starosta z Panną młodą, a za nim Pan młody z Starościną, rozpoczęli taniec polski, stateczny i powolny. Panna młoda

w rozpuszczonych włosach i białym muślinowym rańtuchu. Starosta w długiej siwej kapocie, pas złoty, potężną trzcinę srebrem kutą, i siwą czapkę baranią z białemi wstążkami w rękę. Starościna w złotolitym kornecie, aksamitną taśmą pod brodę przewiazanym, w koralach przepysznych, niebieskiej spodnicy w mak i piwonię, w wiśniowym w bławat gorsecie, bladło seledynowej pokrzywkowej przyjaciolce, przewieszonej, a podbitej białym królikiem, i w różyczki wzór. Za niemi družbowie i družki, między którymi Bartłomiej Murski i Jagusia Luderzanka, a dalej sławetni obywatele miasta Rzeszowa.

Wszyscy zarówno ubrani w niebieskie albo zielone kapoty, zrobione jak Bóg przykazał i święty obyczaj, po kostki, z tyłu po trzy fałdy z każdej strony, z prostym złożonym kołnierzem i kłapcami, jedwabną taśmą suto wyszywaną na piersiach, na plecach, koło kieszeni, przez ramiona i łokcie, frazelką niżej stanu.—

W rękę lub na głowach mieli potężne czapki z siwego baranka w groszek, wstążkami ściągane z aksamitnym w talar ujętym wierzchem. Pasy lite albo jedwabne; u rzeźników zaś trzosa nie próżne bo się tymfy i talary wytłaczały.

Kobiety szły na korkach, w pokrzywkowych lub jedwabnych gorsetach, spodnicach i przyjaciolczkach o wiszących rękawach, wszystko barwno, wzorzysto i kwiecisto. Na głowach błyszczące

kornety albo muślinowe chustki zmyślnie w fątaż z przodu wiązane; na szyi korale z krzyżem.

Zwolna i statecznie obeszlą izbę do koła, raz i drugi, kłaniając się gościom i muzyce i sobie nawzajem, jak Bóg przykazał i święty obyczaj. Później zwracali się w prawo, albo w lewo tworzyli bramy i sklepienia, z podniesionych ramion, po pod które przechodzili i odbijali sobie tanecznicę. Wszystko statecznie i z powagą, zwyczajnie jak przy rozpoczęciu godowej uroczystości.

Kiedy sobie już pochodzili „powoli lecz do woli“ — zawołał starosta, posuwistego!... I poszli mazurka czyli nieskończonego, raźniej jak polskiego, jednakowo nie tak skoczno-jak dzisiaj. W końcu stanął Starosta przed muzyką i zaśpiewał:

„Tańcowałby družba,
Ale ciasna izba;
Kieby piec wyjeni,
Było by przestrzeni—“

i zawróciwszy odprowadził swoją taneczniceę na miejsce, a wszyscy za jego przykładem poszli.

Niebawem znowu odezwała się gędzba, i zagrała krakowiaczka, aż się wszyscy święci w niebie roześmieli.— Przewodził młody mieszczan szewskiego wyznania, z swoją kumeczką młodą znaną zaczepnicą — Jak zwykle, zaczął:

A jak ja se pójdę,
Krakowiaczka w nogi —

Aż polecą pasy z butów
A trzaski z podłogi.

I nóż dalej w koło, że wiatrem zawiało.
Za jego przykładem poszła kuma jego, i zaśpiewała śmiejąc się do Bartłomieja —

Powiadają ludzie —
I cóż im to szkodzi,
Że nasz Pan Bartłomiój—
Do Jadzi zachodzi.

Za chwilę znowu stanęła, i patrząc się na zarumienionych zaśpiewała:

Na rzeszowskiém błoniu
Ptaszkanie śpiewają.
O waszém kochaniu
Ludzie już gadają.

Bartłomiejowi ani się śniło śpiewać. Bo od czasu kiedy Jagusię pierwszy raz widział i pokochał — na litanii w kaplicy cudownej Matki Boskiej — nigdy mu się taką ładną nie wydawała jak dziś. Nie mógł oka oderwać od niej, i od kwiatów w ciemnych włosach, i od świeżego rumieńca i wstydliwie spuszczonej powieki.

Ale zaczepiony tak jawnie i widząc, że zaczepce końca nie będzie, zawrócił naprzód, stanął przy skrzypku i zaśpiewał pokręcając wąsika:

A jużci a jużci,
Bóg nas nie opuści—

Kiedyś wa se młodzi,
Kochać się nam godzi.

Po chwili dodał:

Swieci miesiąc świeci,
A gwiazdeczki w koło—
Gdzie moja Jagusia
Wszędzie mi wesolo.—

Kłasnął w dłonie i tupając serdecznie, zawrócił kilka razy to w prawo to w lewo tak szybko, że następne pary ledwo zdążyć mogły. Wszystkich oczy zwróciły się na niego, bo wylazło szydło z worka i pokazało co się święci. Zaczęło się sprawdzać przysłowie, że na weselach wesele się zawiązuje. Wszyscy goście o tém tylko mówili— a matka Jagusi, siedząc obok swojego małżonka, Wawrzyńca Ludery młynarza na Strudze, w duchu proroczym widziała już córkę swoją żoną Bartłomieja Murskiego, obywatelką rzeszowską, panią cechmistrzową w złotym kornecie i srebrnym sygnetem na palcu, jak ją wszyscy majstrowie i majstrowę w rękę całują.

Po ukończonym krakowiaku, pan starosta stanął na środku izby i pochwaliwszy poważnie zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, stuknął laską o ziemię, i nakazał milczenie. Potém druźbowie, posłali na środku izby kobierzec i wystawili kilka stołków, przy których stanęli rodzice panny mło-

děj, matka i opiekun pana młodego. Państwo młodzi prowadzeni przez družbów w koło, ucałowali wszystkich w kolana, a starosta zaczął napomniawszy gości do uciszenia się:

„Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!—

Dziś korona panińska zakwita w kawalerskim ręku, przyozdobiona różczkami rucianemi.

Lecz wprzód nim będzie tryumfować, w wspólnym akcie kościoła bożego, niech prosi od ojca i matki błogosławieństwa.

Państwo młodzi — Wiwat!

Przystap ojcze do córki i ty matko miła — by swą głowę panińską przed wami uchyliła.

Teraz wy państwo młodzi, padnijcie przed rodzicielskie nogi, stopy całujcie i za wychowanie, za pielęgnowanie dziękujcie. — Ach! korono panińska ty kwiecie różowy, uwiniona panińskie ozdabiać głowy. Kiedyć Bóg przeznaczył czyli niebo samo, niech kwiatem twój wonności rozkwita im serce. Tego wam winszujemy z gronem tego państwa. Teraz do kościoła bożego zabierać się trzeba, tam co przysiężecie dochować potrzeba. Miłość, wiarę, uczciwość, wszelkie powinności, zostając z sobą w tém stanie bez wszelkiej złości. Co wam daj Boże, byście w zgodzie żyli, a po tém życiu się z Bogiem na wieki cieszyli.

Wiwat państwo młodzi!

Wiwat niech-kapela

Całe weselne grono rozwesela!“

Drużbowie podnieśli państwo młode, którzy w płacz rodzicom stopy całując, za to błogosławieństwo od nich odbierali. Starosta wziął podane sobie kropidło, umaczał w święconej wodzie i kropił wychodzącą wśród hucznej muzyki godową drużynę— i na chwilę ucichło w Opatówce.

Na ślub, prócz mnóstwa ciekawego mieszczanstwa, zbiegli się także dworzanie zamku rzeszowskiego, a między nimi i Grzegorz, naturalny syn pana włodarza Żyłowskiego, którego zwykle „Grzesiem“ zwano. Znany to był zawadyak, i ludzie się go bali. Miał może 20 lat, a już był opilcem i lajdakiem.

Nieproszony przyłączył się do weselnego grona i pokrzykując przyszedł z nim na Opatówkę, gdzie się niezwłocznie tańce znowu rozpoczęły.

W tańcu, ubliżając starszym osobom, odbijał pierwszą parę i nieproszony przewodził weselu. Zdawało mu się bowiem: że, jako dworzanin zamkowy, choć znieawidzony zawsze, łaskę mieszcuchom wyświadcza obrażając ich swą gburowatością.

Jeżeli obecność Grzesia niemiłą była wielom, była Bartłomiejowi wprost nieznośną, bo się mu ciągle koło Jagusi kręcił, chociaż go ona widocznie unikała. Nie śmiano mu jednak nic powiedzieć, bo ojciec jego Pan Żyłoski miał u księżnej nieograniczoną wiarę, i sprawiedliwości na niego nie było. Matka pana młodego widząc niemiłe

wrażenie, jakie Grzesio sprawiał na gościach, zawołała go na bok i zaprosiła na maliniak, aby go oderwać od Jagusi. Grzesio wierzący w ośłodę życia nie wzgardził zaprosinami; pił maliniak i przekasał białe pierniczki suche, a w izbę powoli dawna wesołość wróciła.

Na domiar zabawy przyszło oczekiwane małżeństwo obywateli Węgrzynków.

Węgrzynkowie ci, a mianowicie pani Węgrzynkowa, byli ulubionymi i koniecznymi gośćmi każdego porządnego wesela, gdyż nikt tak jak oni nie potrafił zabawić towarzystwa. Zaraz na wstępie przywitano ich głośnieimi okrzykami i gędziebnym huczkiem, na co wszystko ukłonami odpowiedzieli.

Starosta i państwo młodzi robili im wymówki z przyczyny opóźnienia się, a wysłuchawszy uniewinnień prosili o wypicie zdrowia państwa młodych.

Wypili państwo Węgrzynkowie i pobłogosławili, poczem ich proszono siedzieć.

Co tam siedzieć, zawołała wesoło pani Węgrzynkowa „Do siedzenia trzeba picia i jedzenia“ hej muzyko; czyto śpicie? — Muzyka zagrała, a Węgrzynkowa wzięła Młodego, jój mąż-Młoduchę i poszli posuwistego.

Pani Węgrzynkowa nie była z Rzeszowa rodem, tylko gdzieś aż z za Lwowa i dlatego prócz zwykłych polskich tańców umiała tańcować. Wie-

dzieli to ludzie, i ktoś muzykantom podszeptnął aby kozaczka zagrali. Muzyka zagrała, szewc Łukasz także niepospolity tanecznik wyskoczył w przysiadach, goście się rozstąpili wkoło, a obywatelka Węgrzynkowa oburącz zgrabnie ująwszy fioletową w żółte pasy spodniczkę, biegła zygżakiem to wprzód to wtył, stósownie do skoków swego tancerza i śpiewała sobie:

A ja sobie od krzaczka do krzaczka do krzaczka,
Tańcowała kozaczka, kozaczka, kozaczka. —

A Łukasz klaszcząc w dłonie, skakał koło niej wykrzykiwał i śpiewał po polsku kozaczki jak np.

Jedzie kozak z Ukrainy podkówkami krzesze,
Za nim za nim jasnobrewa złote włosy czesze.
Czesala je grzebieniem, czesała je szczotką,
Smarowała buzię miodem, żeby miała słodką....

I nóż w przysiadu, że obywatele rzeszowscy, którym się podobny taniec bardzo śmiesznym wydał, aż się za boki brali. Radości było bez końca, zanosilo się na wesele, jak rzadko.

Ale djabeł nie śpi!

Grzesio wypiwszy miód, wrócił między tańczących, a najpierwszym skutkiem było, że obywatelka Węgrzynkowa niemogąca go znieść ustala kozaczka tańczyć, ku wielkiej markotności wszystkich. Zaczęto zatem krakowiaka. Grzesio ogląda się za Jagusią, lecz ona widząc to, pobięła do

Bartłomieja stojącego w zamyśleniu, szepnęła mu żeby ją od Grzesia wybawił, i poszła z nim w taniec. Grzesio się zczzerwienił ale nic nie odrzekł, wziął pierwszą lepszą mieszczkę i tańczył. Pierwszy, kto stanął przed muzyką był Bartłomiej.

Gniewliwym okiem rzucując na Grzesia śpiewał:

Na zamkowym stawie pływają karasie,
Od mojej dziewczyny wszystkim durniom zasie!

i gniewnie powtórzył: Od mojej dziewczyny wszystkim durniom zasie!

Grzesio zagryzł wargi, i chcąc się pomścić, zaczął śpiewać na rzeźników nazywając ich kolibykami.

Jeszcze nie dokończył, kiedy z boku dostał szturkańca pod ziobro tak potężnego, że się aż zgiął. Sprawcą tego szturkańca był młodszy brat pana młodego Marcin Miszczański, uczeń szkół Ojców Pijarów, chłop sążnisty i pod wąsem. Zasłoniony kobietami tak zręcznie go wykonał, że Grzesio, niewiedząc kogo się czepić, wołał zamilczeć i tylko poglądał po rzeźnikach chcąc z twarzy sprawcę poznać, a w oczach mu się łzy kręciły. — Niepoznaawszy zabrał i wyniósł się powoli.

Lecz zemstę zaprzysiągł rzeźnikom!

ZEMSTA.

*

ZEMSTA.

Cech rzeźniczy miasta Rzeszowa, podobnie jak wszystkie niemal cechy miał i ma jeszcze przywilej założenia, pisany na pergaminie zaczynający się:

My Jérzy książę na Wiśniczu itd. a kończący się: Dan w Rzeszowie roku 1600 i coś — z podpisanymi, z woskową w blaszanej puszcze pieczęcią na jedwabnym powrózku z wyciśniętym herbem Śreniawy i napisem w koło: Sigillum Castellani Sandomiriensis.

Pergamin ten, dziś martwy i nieużyty w skrzyni cechowej jako pamiątka dziejowa chowany, wówczas był w pełni życia i wykonania. Między punktami były dwa następujące:

I. Rzeźnicy i socharze mają sprawiedliwą wagę dawać, i zdrowe bydło bić.

II. Rzeźnicy i socharze mają dawać mięso do zamku o grosz taniej na funcie, a dla psiarni i bestyj, żeru ile potrzeba za darmo.

Trzeba zaś wiedzieć, że przed kilkadziesiąt laty daleko obfitszy zwierz w lasach przebywał niżeli dziś. Nie ma o tém co wiele prawić, bo to wiadoma rzecz. Wtedy z niedźwiedziem tyle kowrodu nie było, co dziś z biednym kotem szarakiem. Psiarnia ogarów czarnopodżarych i kilkanaście kundysów ogromnych na niedźwiedziu i dziku zaprawionych, zresztą obława i sieci stanowiły rząd myśliwski.

Bagatela! psiarnia ogarów i kundysów; tać ona by dziś po darowanej pańszczyźnie i osepach zjadła szlachcica i z całym gospodarstwem. Ale wtedy mniej to kosztowało. Kto nieposiadał miasteczka z rzeźnikami, wydzierzawiając młyny wymówił sobie osypki dla psiarni. A kto miał miasteczko, rzeźnikom i socharzom pod karą wypędzenia z miasta nakazał dawać codziennie tyle a tyle mięsa, jelit itd. na psiarnie. Biada temu kto z przypadającej kolei nie oddał powinności! Był to zwyczaj znany nie tylko w Polsce, lecz w całej prawie Europie zaprowadzony przez królów i książąt myśliwych. W Polsce daniną ta zwała się: Sokole i Psiarskie.

W Rzeszowie, gdzie prócz zwykłej i licznej psiarni na zamku kilka wilków na powrozie a dwa niedźwiedzie na łańcuchu do nozdrza koluszkami przywiązane leżały, wynosił żer kilkadziesiąt funtów dziennie, i był wielkim ciężarem rzeźnikom i socharzom.

Ztąd wieczne spory i skargi.

Pan Żyłowski, pełnomocny władarz dóbr rzeszowskich, a wielki miłośnik owych bestyj, jak zwykle, tak i w tej sprawie nieznał żartów. Chcąc raz na zawsze położyć koniec skargom i wprowadzić — jak się wyrażał — porządek, kazał wystawić na dziedzińcu zamkowym wysoką drewnianą kobylicę z ostro zaciosanym grzbietem i pogroził rzeźnikom i socharzom, że ich po kolei na nią wsadzać każe, jeżeli nie uiszczą powinności.

Wiedział o tém wszystkiém Grzesio i na tém oparł plan zemsty swojej. Niemogąc dojść sprawy szturkańca w bok, umyślił się pomścić na panu młodym, jako odpowiedzialnym wesela gospodarzu.

Przypadek zrządził, że właśnie na Miszczkańskiego kolej dostarczania żeru przypadła. Zatem jeszcze w nocy wnijścia bramy do ogrodu zamkowego, przez któren koniecznie trzeba było przechodzić, uwiązał starego niedźwiedzia bez kagańca, a za bramę wypuścił kilka potężnych kundysów. Parobek Miszczkańskiego jak zwykle dodnia żer dla psiarni niosący, weselem zamroczony i zamysłony przyszedł pod samą bramę.

Tam niedźwiedź skoczył z rykiem ku niemu; on przestraszony rzucił z siebie ciężar i począł uciekać. Psy nadbiegły i podczas, gdy go jedne pędziły, za płutniankę szarpiąc, drugie z niedźwiedziem na spół żer rozszarpały i rozwlekły po ogrodzie. Przestraszony parobek przybiegł na Opa-

tówkę, gdzie wesele z całą okazałością szło swoim torem: Nim się dopytał swego pana, nim mu opowiedział co się stało, zeszła dobra chwila. Trudna rada wszyscy zabalamuceni, jakoś się nierychło zebrali zaradzić złemu.

Wreszcie wybrał się Bartłomiej Murski do zamku wywiedzieć się o stanie rzeczy. Przyszedłszy do bramy zastał Grzesia igrającego z niedźwiedziem.

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“

— „Na wieki“

— „Dzień dobry Panie Grzegorzu“

— „Dzień dobry“

— „Przyszedłem się też zapytać, czy tu parobek Miszczańskiego oddał żer dla psiarni?

— „Oddał! — odrzekł spokojnie Grzesio, zrzucił wprawdzie tylko przed bramą, bo się niedźwiedzia przeląkł, ale drabi podjęli i do psiarni zaniesli“—

— Ha no! kiedy tak, to dobrze; odrzekł Bartłomiej, pożegnał się z Grzesiem i miał odchodzić. W tém słyży z boku znany głos księdza gwardyana OO. Reformatów bliskiego sąsiada zamku.

— „Panie Bartłomieju! panie Bartłomieju! — Bartłomiej się zwrócił ku niemu, pocałował w rękę i czekał na żądanie.

— A cóż, ty tu tak rano w zamku robisz? zapytał stary Gwardyan. — To a to odpowiedział mu Bartłomiej. — Nie woleliby to ubogim dać tyle

mięsa, co go codzień tym niedobrym bestyom dają, odrzekł gwardyan, okrutnie się tych wilków i niedźwiedzi bojący.

— „Ha! cóż robić taki z zamku rozkaz, musimy słuchać, bo pan Włodarz nie zna żartów — odrzekł Bartłomiej. Gwardyan niechęć mówić nawet o niemiłym mu przedmiocie, zaczął o interesie. Niezadługo nadchodził odpust w kościele Reformatów. Zamówił więc ksiądz gwardyan kilkadziesiąt funtów pieczeni na zrazy, mostku i krzyżówki na rosół, zresztą barana, mózdzku cielecego i pare ksiągów wołowych; boć to mózdzek na śniadanie, a flaczki na obiad odpustowy koniecznie potrzebne. Sprawiwszy interes pocałował Bartłomiej księdza gwardyana w rękę i spieszył na Opátówkę, gdzie kilkoma słowami uspokoił obawy rzeźników.

Kto bywał po weselach wie, co to znaczy ranne dobijanie tańcu. Jestto zwykle najlepsza zabawa, i ciągnie się często kilka godzin w dzień. Na weselu tak sutém jak ono Miszczańskiego, nie było końca dobijania, j ledwie koło jedynastej z rana ustalo. Kiedy ucichło, muzykañci poszli się przedrzymać chwilkę, a goście co dotrwali końca, siedzieli, gwarzyli i żartowali z pana młodego.

W samo już południe starszy hajduk dworski wchodzi z czterema hajdukami, i każe pana młodego na zamek brać. Kobiety w płacz, panna

młoda mdleje, mężczyźni perswadują, wszystko nie pomogło. Starszy hajduk zasłaniał się rozkazem pana Włodarza, i nawet przyczyny zdać nie umiał.

Wzięto zatem Miszczańskiego, a brat jego młodszy Marcin, uczeń szkół pijarskich, autor szturkańca owego, wraz z Bartłomiejem skoczyli na przód wywiedzieć się, i zapobiedz złemu.

Zbliżając się do zamku usłyszeli mocne wycie głodnej psiarni i wilków.

Murzyn zamkowy pokojowiec księżnej chorążyny przed bramą czekający pełen ciekawości, potwierdził ich w mniemaniu i dodał pełen uciechy, będą rzeźnika bili! — Bartłomieja aż serce zabolalo, że z jego winy biedny Miszczański krzywdę poniesie, ale sobie wspomniął na X. Gwardyana i co temu pobiegli do klasztoru OO. Reformatów. Gwardyan właśnie ze mszą wyszedł, musieli zatem czekać.

Tymczasem Miszczańskiego przyprowadzono na zamek. Tłum ludzi cisnął się za nim, ale nikogo nie wpuszczono. Owszém — aby odstręczyć cisnących się, przywiązano niedźwiedzia u wnijścia, a hajdacy naigrawali się z płaczu kobiet, któremu wilki i psiarnia wyciem odpowiadały.

Gdy przyszli na dziedziniec, wyrzał Pan Włodarz oknem, i zawołał: „Na kobylicę z niem!”

Pachołcy się zbliżyli i chcieli podsadzić, ale że to był chłop tęgi skoro im pięść pokazał, od-

stąpili i grozili kijmi, on zaś klaniał się przez okno panu Włodarzowi i prosił o wysłuchanie.

Grzesio widząc, że mu się cały plan gotów nieudać poszedł do psiarni, wypuścił zajadłe ogary i poszczuł ich na dziedziniec. Hajducy nadstawili potężne kije cofając się w sien, a biedny bezbronny Miszczański widząc oczywiste od psów kalectwo, musiał rad nierad sam leżeć na kobylicę. I mimo ostrego jój grzbietu rad był, że się mógł schronić przed zajadłą zgrają, która bresząc i podskakując targała wiszące poły kapoty.

Panu Żyłoskiemú tak się ten dowcip Grzesia podobał, że natychmiast pobiegł do księżnej opowiedzieć jój i zaprosić na tak pocieszne widowisko.

Niebawem murzyn pootwierał okna i najprzód się pojawił karzeł ulubiony z batożkiem, potem ulubione dwa pieski bresząc wyskoczyły na okno a w końcu przyszła księżna z pannami i roześmiała się nagłos. Niema co mówić, że płaczliwo-śmieszniem było położenie biednego rzeźnika. Niechcąc życia lub przynajmniej zdrowia narazić, musiał się trzymać kobylicy i siedział przygarbiony, a łzy mu po wąsach kapwały. Czuł się pokrzywdzonym, niewinnie zhańbionym, prócz boleści jaką mu ostry grzbiet mimowolnego wierzchowca sprawiał. Na domiar zbytku wziął murzyn sikawkę i sikał na niego wodą z górnego okna, co psy jeszcze bardziej rozjuszało, a dwór księżnej pobudzało do tém żywszego śmiechu.

Bóg wie dokąd by tego było, gdyby nie mone pukanie w bramę zamkową. Książd gwardyan! książd gwardyan! dały się słyszeć głosy. Księżna kazała otworzyć, a psy od bramy odpędzać.

Wszedł poważny książd siwy jak gołąb, i wyjaśnwszy prawdę, począł gromić surowo Włodarza i dworzan że tak niewinnie człowieka pokrzywdzili. Grzesiowi mianowicie zagroził pomstą bożą i kościelną! Na głos poważnego kapłana odstąpiła księżna od okna, śmiejąc się jednak do upadłego, i zjadłszy z największym smakiem obiad darowała w skutek tego panu Żyłowskiemu konia, Grzesiowi pas, a murzynowi talara. Księżna chorażyna była rodowitą saską baronowną: de Stein. Wychowanka dworu Augusta II., nie znała uciech innych prócz panujących tamże. A jakimi to były te uciechy dowcipne Augusta, srom powtarzać. Uciechy te dzikie i niemoralne więćj Polsce narobiły szkody, niż wrogowie wszyscy wraz! — Miszczkański starszy odcherował swą krzywdę i hańbę, a Marcin i rzeźnicy mianowicie Bartłomiej prosili Boga, aby im się Grzesio w ręce dostał.

SZKOŁA.

SZKOŁA.

Pieczono smażono w smole,
Nie powiadaj, co się dzieje w szkole.

Wasze dzieci temu tak blade wyglądają, bo je zawcześnie do szkoły dajecie. Dawniej tego niebywało. Do szkoły chodzili chłopcy pod wąsem o dwudziestu kilku latach, a prócz tablicy z abecadłem nosili zwykle półkwartowy miedziany kałamarz na mocnym łańcuszku z grubego drutu, którym w razie potrzeby nadelbami wywijali.

Jednym z takich poważniejszych uczniów w szkołach rzeszowskich Ojców Pijarów był znany nam już Marciś Miszczański.

Kiedy szedł ze szkoły w długiej siwej kapocie, baraniiej czapce z potężnym miedzianym kałamarzem w prawicy a pod lewą pachą grubego Alwara dusząc, sterczał nad drobnymi żaków rojem, gdyby żuraw nad kulikami sąsiadami swemi na wspólnych błotach.

Dla okazalego wzrostu mianował go téż ksiądz Rektor „paterfamiliasem“ czyli ojcem rodziny szkolnej. Trzeba bowiem wiedzieć, że dawniej w szkołach współuczniowie mieli się za braci, a nauczyciela swojego za ojca szkolnego, którego czasami paterfamilias zastępywał.

Takim więc następcą był Marciś.

Kiedy nie stało prętów lub różg, narzędzia wedle rady i piosnki OO. Jezuitów do oświecania uczącej się młodzi wielce sposobnego; ostrzył Marciś swój nożyk kieszonkowy i szedł w pobliskie krzaki na Łyséj górze wybierając co najsmaglejsze i najprościejsze laskowe lub łożowe pręty, albo różczki brzeziny.

Przed przyjściem księdza nauczyciela, stał u tablicy z kredą w ręku, braci współuczniów napominając do uciszenia się, a jeżeli napomnienie nie pomogło, pisał ich przezwiska na tablicy podkreślonym wyrazem „Garientes“ co znaczy: Gwarliwi. Biédny ten, kogo tam napisanego ksiądz professor wyczytał.— Zaraz bowiem po ukończonej modlitwie wzywającéj ducha świętego o pomoc w oświeceniu umysłów— wywoływano gwarliwych na środek izby szkolnej; i zaczynała się najprozaiczniejsza scena w świecie. Mimo płaczu bowiem i mimo próśby brało winowajcę dwóch rosnących kolegów jeden za barki drugi za nogi, kładli nakoniec pierwszej ławki w poprzek, zakładali fałdy kapoty na głowę, a ksiądz profesor lub na rozkaz jego

ojczym szkolnej rodziny Marciś nasz sławetny— sypał mu basy rześiste łożowe albo laskowe a to tak zawzięcie: jak gdyby to biedne ciało ludzkie pod kije Bóg stworzył!— Na krnąbrniejszych był batożek cienki a jadowity gdyby żmija! Mieli wprawdzie żacy różne sposoby zrobić nieszkodliwemi basy odebrane; ale rzadko kiedy środki one skutek uwieńczał, mianowicie co do batożka.

Jeżeli komu batożkiem przylepiono naukę, nie pomogło ani przeżegnanie się choćby najspieszniejsze ani tarcie o ławkę, ani głaskanie: bolało aż ustało samo przez się!

Takie to ważne urzędowanie pełnił Marciś w szkole. I miał wielkie znaczenie u swoich współuczniów, zwłaszcza że się pilnie uczył. Sam ksiądz Rektor lubił go i nieraz używał do swjej osobistej posługi; jako to: do posyłki w miasto, do przetrzepania rewerendy, nawet czasami do pasienia na powrozie po dziedzińcu kozy, z którą jako stworzeniem wesołem tysiąc pociech było, a której mleko od suchót chroniące ksiądz Rektor za poradą księdza gwardyana Reformatów, zamiast żętycy używał. Komu tę swą żywicielkę w pasterką opiekę powierzył, ten mógł być pewien niezwykłej łaski i względów jego. Z wszystkiego więc widzimy, że Marciś był na drodze oświaty, znaczenia i łaski u księdza Rektora.— Niejeden żak mu szczęścia zazdrościł. Ale czemże to ludz-

kie szczęście! ot pajęczyna,— która jeżeli się nie porwie to się popłacze.

Do nieszczęsnego owego wesela był Marciś najszczęśliwszym z ludzi. Nauka go cieszyła, a jeszcze bardziej znaczenie szkolne i łaska przełożonych. Po weselu i smutném owego następstwie, jak ręką odjął całą radość serca jego. Ciągłe wyrzuty sumienia, że był przyczyną krzywdy brata swego, nie dały mu się uczyć. Kilka razy raz porazu nie umiał zadania. Ksiądz Rektor odjął mu za to godność ojca szkoły, i posadził do ostatniej ławki.

Niepomogło! Przyszło więc do tego, że mu kazał klęczeć pod dzwonkiem przy zakrystyi. Chłopcy się śmiali z niego jak jaskółki z sowy.

Niepomogło, owszém zesmutniał jeszcze bardziej, a czasami czuł że go jakaś złość napadała.

Ksiądz Rektora nie pomału dziwiła ta nagła w ulubieńcu zmiana. Sam niewiedział, jak sobie ją wytłomaczyć, i poczęści z dobrej dla Marcisia chęci, poczęści z wrodzonej ciekawości, postanowił dojść prawdziwej przyczyny.

Był zaś Rektor ostrym, suchym i niedostępnym zakonnikiem, mało o świat dbający, a zatopiony w dogmatyczne rozmyślenia, nie dziwo zatem, że mu wypadki w mieście, mianowicie wypadek starszego Miszczańskiego zgoła nie był znany. Z oburzeniem go słuchał i złagodził w duszy zdanie o Marcisiu; a powoli, powoli wypytyjąc się

doszedł do wiadomości: że sprawcą krzywdy brata jego był Pan Grzegorz. Pan Grzegorz był niedawno jeszcze uczniem jego, a nauczycielskie serce bolało nad tak lekkomyślnym ucznia krokiem. Czekał tylko sposobności pociągnięcia go za to do odpowiedzialności. Sposobność się wkrótce nadała, kiedy Grzesio imieniem ojca swego, Pana Włodarza dóbr książeńcych, przyszedł z uwiadomieniem: iż drzewo do kolegium OO. Pijarów ze zrębów książeńcych jako należące, przystawiono; żeby więc ksiądz Rektor zlecił odebranie onegoż. Ksiądz Rektor dawszy zlecenie braciszкови, zatrzymał Grzegorza u siebie i po zapytaniach o zdrowie księżnej i pana Włodarza, począł badać przyczyny pokrzywdzenia starszego Miszczańskiego, który tę krzywdę niewinnie ucierpianą, tak drogo, bo ciężką niemocą odplacił. Grzegorz milczał z początku, lecz na dalsze księdza Rektora perswazye wyznał ze łzami, iż żałuje błędu popełnionego, tém bardziej, że jak się później wywiedział Marciś jako sprawca kuliaka w ziobra na karę i zemstę zasłużył, którą brat jego niewinny ponieść musiał. Rozumie się samo przez się, że całą winę na Marcisia zwałił i jak tylko mógł najczarniej go opisał.

Ksiądz Rektor aż pobladł od gniewu, zmarszczył brwi, i postanowił surowo Marcisia ukarać. Tęj chwili nadszedł ksiądz profesor klasy Marcisowej. Pan Grzegorz się oddalił, a ksiądz Rektor

naradzał się z księdzem profesorem nad niegodziwością i ukaraniem Marcisia.

Było to jakoś popołudniu w niedzielę. Niez szczęście chciało, że nazajutrz rano Marciś idąc do szkoły zdybał Grzegorza, który mimo idąc, zdala roześmiał się szydersko i wyrzekł: Ach toż to będzie skóra w robocie! Marciś niewiedział co to ma znaczyć, ale ten śmiech i sam widok znienawidzonego człowieka, takie niemiłe na nim wrażenie zrobił, że szedł jak pijany i prawie światu niewidział. Uczniowie zdążyli właśnie do kościoła, wołani wdzięcznym sygnaturki głosem. Marciś wedle zwyczaju i powinności poszedł razem z nimi; ale taki był zadumany, że podczas podniesienia, dzwonka nie słyszał i nie ukląkł, aż go kole-dzy za kaptotę ciągnęli.

Wychodzącemu z kościoła szepnął kolega kalfaktor drugiej klasy, żeby się miał na pogotowiu bo ksiądz Rektor widział jego zapomnienie się w kościele, i mruknął coś o batogach. Mrówki przeszły po Marcisiu, ale wszedł za drugimi do klasy, i usiadł w ostatniej ławce — trzymając silnie w prawej ręce swój potężny, miedziany kałamarz o mocnym łańcuszku.

Niezadługo wszedł ksiądz Rektor z dwoma kalfaktorami, batozek wszystkim dobrze znany kryjąc w zagubach długiej swój sutanny. Wszyscy uczniowie powstali z uszanowaniem, a ksiądz Rektor kiwając palcem rzekł niemieckim akcentem,

bo także był Saxończykiem: A chodźnotu Panie Marczyn! — Marcin zapłonął wstydem i wyszedł z miejsca na krok; lecz widząc, że kalefaktorowie ławę z pod pieca ciągną, stanął jak wryty, i oczy mu się zaiskrzyły.

Napróżno ksiądz Rektor prosił bliżej mówiąc: Chodź no chodź, kolanka ci na weselu stężały, trzeba ci wyszmarować! rozkazywał, niepomogło! każe go brać — lecz kalefaktorowie boją się przystąpić widząc kałamarz i iskrzące się oczy. Znużony w końcu ksiądz Rektor, jak widać o formalności szkolne mniej dbały, przystąpił do niego, rozwinął batożek i smagnał go przez głowę i plecy, mówiąc: A wesele! a szturkaniec Grzesia w bok! a krzywda brata! a podniesienie!...

Czego zanadto, tego za wiele! Marciś zgrzytnął zębami, zawinał kałamarzem po nad głową, i nuż księdza Rektora w kark aż się ugiął i aż mu atrament suchą twarz zachlusnął, — a sam w nogi, prosto do Bartłomieja Murskiego na stryeb, i w siano się wkopał! — Ksiądz Rektor krzyknął *Miserere mei domine!* i chwycił się za kark, a chcąc sobie twarz obetrzyć, zaczernił ją do reszty. Ksiądz profesor aby uniknąć zgorszenia, kazał dzieciom wyjść do innej klasy; sam zaś z kalefaktorami odprowadził Rektora do pomieszkania przez korytarz. Rozebrano, obmyto z atramentu i położono przeleknionego do łóżka, chociaż mu prócz sińca na karku, nic nie było.

Było to zaś jak mówiłem przy poniedziałku, a nazajutrz we wtorek, wypadła sławny jarmark na bydło w Jaćmierzu miasteczku o cztery mile od Rzeszowa. Bartłomiej wybierał się na ten jarmark, i właśnie chciał konie popaść.

Idzie zatem na górę aby siana zrzucić, a zruściwszy chce wracać po drabinie, kiedy się usłyszał po imieniu zawołanym.—

„Kto tu?—

A ja Marcin — „A ty tu co robisz“— A tak i tak, opowiedział mu rzecz całą. — O kiepsko rzekł Bartłomiej nie ma innej rady, tylko jedź ze mną do Jaćmierza, bo jak cię hajducy pochwyca, to cię na kobylicę wsadzą.

A dobrze, pojedę! odrzekł Marciś.— To idźże ukradkiem przez okopisko żydowskie koło cegielni, a dalej krzakami, i czekaj mnie nad brodem u Wisłoka.

Marciś zszedł ze strychu i poszedł wskazaną drogą. Niebawem nadjechał Bartłomiej wózkiem parokonnym, nie nakarmiwszy nawet koni w pośpiechu tylko wziął obrok na drogę. Przejechali Wisłok w bród, i okrążywszy most z daleka wzięli się ku północy węgierskim traktem.

Minęli miasteczko Tyczyn, Błażową, i pnąc się po górach dróżynami wązkami i krętami, to nad przepadziastymi brzegami potoka górskiego, to samém onegoż korytem; przyjechali do Domaradza, zkad się spuściwszy jak z pieca na łeb, ujrzeli Starą-

wieś, sławne Jezuitów gniazdo, a wkrótce i Brzozów, gdzie u znajomego mieszczanina Szaynoka przemocować chcieli.

Brzozów małe miasteczko w ziemi sanockiej, do biskupa przemyskiego należące; istnieje pod dzisiejszą nazwą od czasów Kazimierza Wielkiego. Dawniej zwało się ono Lubczynem czy Lubawą. Za Kazimierza Wielkiego zgorzało co do szczętu tak że się mieszkańce jego po świecie rozproszyli.

Król niechcąc aby miasteczko w ziemi, gdzie i tak miast niewiele, znarniało; obiecał korzystne przywileje nadać tym, którzyby tam znowu osiedli.

Pierwsi, którzy się zgłosili, byli dwaj Litwini, Szaynok i Januszkiewicz. Król Kazimierz dotrzymując słowa, wręczył im dla miasteczka wyłączny przywilej kupczenia winem węgierskiem i płutnem. Taki przywilej na gościńcu węgierskim, żebym wyrzekł u bramy Polszczy, lubiącej spijać węgierskie maślacze; niemógł być bezowocnym.

Z Kőreszturu, Ujhelu, Talii, Potoka, Tokaju i innych miasteczek węgierskich wieźli furmani Błazowiacy albo Spizanie brykami antalki i beczki z winami, śliwy suszone, śliwowice, pikwy i kasztany do Brzozowa; a w zamian wywozili płótna, jagły i polską kontuszówkę. Brzozowianie całe miasteczko podkopali piwnicami a w starym Szeynoków domu nieraz po 200 i 300 beczek stało na dębowych ligarach, czekając na kupców

z Rzeszowa i Sandomierza. Owoż u potomka tego Szajnoka a dobrego swego znajomego mieli nasi podróżni zanocować.

Jako dobrzy znajomi zajechali wprost do siebie, gdzie ich gospodyni domu głośném: Witamy! witamy! gości z Rzeszowa przyjęła i niebawem do izby prosiła.

Pochwaliwszy Zbawiciela, jak Bóg przykazał i święty obyczaj, zmoczyli czoło święconą wodą z kropielniczki u drzwi i weszli do wielkiej izby z alkierzem przepierzonym i góreczką nad nim. Goście w izbie przy winie siedzący odpowiedzieli „na wieki“ a gospodarz słysząc obcy głos, wyszedł z alkierza gdzie huczne śmiechy i wesoly gwar niepróżnujących gości zapowiadało.

„A ktotam przyjechał?“ odezwał się rubaszny głos z alkierza. To z Rzeszowa goście Bartłomiej Murski i Pani Miszczańskiej Marciś, „do usług Jaśnie Pana“ odrzekł pokornie Szajnok witając się z przybyłemi. „Ho, ho, z Rzeszowa rzeźnik! a chodź no tu Bartłomiej! tać my się to dobrze znamy, boś już niejedną parę ciolków odemnie kupił“ zawołał Pan Rudnicki, którego okazałej osobie ów głos rubaszny prawem natury należał.

A był to szlachcic otyły, rumiany i wesoly, któryby bez wina był niewyżył na świecie. Maksyma życia jego była krótka a brzmiała tak: *Hungaricum vinum est opus divinum, dum hilarit mentem reddit sapientem*; Maksymę tę nabył jeszcze

w wojsku Rzeczypospolitej; której w randze oficera wyższego służywał.

Bartłomiej przystąpił. Pan Rudnicki mu na przywitanie nalał szklanice wina, którą on spełnił duszkiem i dawcę w rękę z sygnetem pocałował. podobnie i Marciś uczynił.

A co tam słyhać u was w Rzeszowie, czy już wędzicie ozory i szynki dla konfederatów Pana Puławskiego? Przecie się spodziewam, że sąsiedzi Hetmana Branickiego Klemensa, nie będą chcieli z Moskałami trzymać.

My nie jeszcze tego roku nie slyszeli o konfederatach, nieśmiało odrzekł Bartłomiej.

A to źle, żeście nie slyszeli! zawołał pan Rudnicki, kiedy Puławski ze swojemi ciągnie, a Zaręba w Piotrkowie z Moskwą wojuje, w czym mu także rzeźnik Morawski a może jaki kum wasz, dzielnie pomaga; a książę Marcin ma się łączyć z Puławskimi.

— Jużci!— odrzekł Bartłomiej— i my niemyślemy z Moskałami trzymać, a całe nasze miasto pójdzie za Panem Puławskim.

— Niech żyją rzeszowscy mieszczanie! zawołał Pan Rudnicki. Wszyscy goście powtórzyli to samo, i wypili zdrowie Rzeszowa.

Po spełnioném, nastąpiło zdrowie Puławskiego i Zaręby, i „Morawki“ jak Moskale Morawskiego w Poznańskim zwali— i tak szło aż prawie do ranka, bo dopiero przededniem pokładli się pokotem

na świeżem sianie w wielkiej izbie usłaném i białemi prześcieradłami poprzykrywaném.

Jutro pojedziemy razem!— do obu rzeszowian rzekł kładąc się pan Rudnicki. — A proszę gospodarza o antalkę wina dobrego, bo będę miał gości, dodał, obrócił się i usnął.

Z rana zmówił pan Rudnicki pacierze, ubrał się i zapytał: Czy jest wino na wozie?—

— Jest wielmożny Panie!—

— A no to dobrze— po pieniądze sobie sam przyjedziesz, dam ci korzec pszenicy za fatygę.

— Dobrze Jaśnie Panie, całuję rączki Wielmożnego Pana, odrzekł kłaniając się gospodarz. A Pan Rudnicki mówiąc pacierz po łacinie, zebrał się, łyknął śliwowicy, obtarł wąsy, i siadł do kołasy, gdzie puzdro z sobą zabrał. Za nim jechał Bartłomiej, a dalej wóz z Antalkiem.

JARMARK W JAĆMIERZU.

JARMARK W JACMIERZU.

„Poroztwierać gościom wrota,
To mi staropolska cnota.

A znacie wy polskie jarmarki?—

Myślicie że te zbiegowiska szachrajów i ban krutów co chorują na panów, a okpiewają się przy koniach i kartach? albo te klejone galanterye te nibyto francuzkie pachnidła i kwaśne pomorańcze z lancuckimi cytrynami o dębowej korze.... że to są polskie jarmarki? — Jako żywo.— Polski ludowy jarmark jest wiernym ludu i Polski obrazem. Znajdziesz tam jak w grobie Egipcyanina całe życie jego domowe i pospolite, jak ono się ciągnie, jak się ztyka z ziemią i niebem;— Znajdziesz go w całym rozwoju, w całej prostocie swojej.

Pierwszą polskiego ludowego jarmarku koniecznością jest— błoto! choćby i do kolan. Święty Judy nawet niezawsze mu podola. Dalej znaj-

dziesz pokarmu dla ciała i przyodziewkę, jakoto: zboża, jarzyny, nabiał i owoce; płótna półsetkami, obuwie parami na soszkach porozwieszane; kożuchy baranie czarne i białe, swojskiego chowu i kroju, sukmany i pasy kute krakowskie albo szerokie górskie; dalej czapy potężne, futrzane lub sukienne baranem podszyte, na wiechach jak ptactwo wieszące. I dla dzieci twoich znajdziesz niecki do kąpieli i łyżeczki gruszkowe i pieszczalki i rzegotki i pszenne obwarzanki w kobiałkach ogromnych zsypane.

Do gospodarki znajdziesz: garnki i rynki radgoskie czerwono polewane; konwie, wanienki, wazzechy, maślnice, maglarki i skrzynkę do sieczki żarna do chleba, kosę, siekierę, widły, pociask i wszystko, czego ci potrzeba w domu i w stodole. A u kramarzy dostaniesz: rożańca, szkalplerza, „kto się w opiekę podda Panu swemu“ i metalik z Matką Boską Częstochowską, albo malowaną Najświętszą Pannę, królową nieba i ziemi a pocieszycielkę strapionych. Znajdziesz to wszystko gdyby księgę otwartą, w której spisane życie i obyczaje ludu polskiego, który do potrzeb głównych liczy, sól, gorzałkę, słoninę, pas, kożuch, maź i szkalperz zznakiem imienia Zbawiciela albo Matki Jego niepokalanéj.

Jeżeli ma chleb, szuka soli i gorzałki, dalej myśli o omaście, a podjadłszy sobie myśli o zimie i zimnie, lecz niezapomina pasa. A skoro i to ma,

myśli o uprząży, w końcu o Panu Bogu; któremu gdyby odczepnego, kupuje szkaplerz i klepie niezrozumiane pacierze.

Prócz wymienionych potrzeb ciała i duszy ludu; snuły się jeszcze po jarmarku w Jaćmierzu zgraje brudnych żydowskich machlerzy i obdartych żebraków; a pomiędzy wozami stało gromadnie tuczne bydło: woły i krowy i młode *junce* i *sejeczki* z gór napędzone a okrągłe jak jabłuszka, za którym i kupcy i rzeźnicy o kilkanaście mil jeździli, a za którymi i Bartłomiej z Rzeszowa przyjechał.

Wedle zwyczaju chciał Bartłomiej zajechać do sieni której, gdzieby i wózek był bezpiecznym i kupione bydło przywiązać się dało; ale Pan Rudnicki niedopuszczył, wołając, by jechał do dwora gdzie koniom owsa dać każe. Bartłomiej usłuchał.

Z trzaskiem batów jechali wśród ukłonów mimowolnych ludu, pomiędzy wozy chłopskie ustępujące się choćby i w rów na złamanie osi i karku— i wjechali szczęśliwie na dziedziniec dworski. Tam we dworze zastali drugą jarmarczną cizbę, ale całkiem innego rodzaju. Wjeżdżając w bramę nauczony woźnica, potrójnie z bicia trzasnął, jak gdyby chciał zapowiedzieć: „Znajcie, Sam Pan jedzie“, a naręczna klacz licowa szerokim kołem zatoczyła na skręcie, i parskając stanęła przed gankiem.

Pan Rudnicki! Pan pułkownik! ozwały się głosy, a kilkadziesiąt szlachty w części podochoconej — wysypało się na dziedziniec, krzyżując: „Wiwat marszałek sanockiej ziemi!“ — podniosła go szlachta na barki i zdziwionego taką niespodzianką, wnieśli do wielkiej sali.

Nadarmo Pan Rudnicki protestował giestami w około, niepomogło; obnieśli go w koło stołu wielkiego, na którym stał krucyfix i dwie jare świece gorejące. Widząc, że tym okrzykiem końca nie będzie, Rudnicki całą prawicą sygnetem ozdobną, pokręcił pomieciściego węża i nadawszy szeroką pierś, zawołał: Panowie Bracia! proszę o ucieszenie się! A zawołał tak potężnie, aż szyby w oknach zadrżały. Jak fale morza lodowatego w chwili kiedy je odwieczny mróz północy po potopie świata owiał, w mgnieniu oka ucichły i skostniały nie wyrównawszy nawet swój powierzchni; tak ruchliwa szlachta na huk głosu swego gospodarza skamieniała milczeniem i stała się cisza, że mak siej! — Panowie bracia! zaczął dalej Pan Rudnicki, proszę o wyjaśnienie tego wszystkiego co to ma znaczyć.

„Ostaszewski na stół! na stół Ostaszewski!“ zawołały liczne głosy — a Ostaszewski obywatel sanockiej ziemi wyskoczył na stół, wziął podane sobie pismo, i czytał donośnym głosem:

„Uniwersał Marszałka Konfederacji Województwa Sandomierskiego i Prześwietnej Ziemi Stężyckiej.“

Adam na Paryssach, Paryssowicach etc. Parys Starościc Winnicki, Marszałek Konfederacji Województwa Sandomierskiego i ziemi Stężyckiej.—

Wszem w obec i każdemu z osobna etc. z powinnym każdego status et conditionis uszanowaniem do wiadomości podaje:— W wyrokach Prześwietnego Województwa Sandomierskiego i Ziemi Stężyckiej (mnie władzę i moc łaski marszałkowskiej powierzwszy) niedościgłe woli Boskiej, czcze przeznaczenie używając téj wszechmocności, aby ludowi temu, łączącemu się na obronę praw kościoła swego Ś. R. K. i narodowych królestwa naszego błogosławić i prowadzić go litościwie raczyła.— Nie Ja Was JO. JW. WW. Jmć. Panowie bracia Prześwietnego Województwa Sandomierskiego i Ziemi Stężyckiej Obywatele wzywam, ale cnota na Was, kościół Ś. R. K. Synowie! łączcie się bronić praw waszych etc.... Wołają biskupi i senatorowie nasi krakowscy w więzieniach nieprzyjacielskich jęczący, abyśmy szli ich przykładem hazardując się na wszystkie niebezpieczeństwa, bronić swobód ojczystych; jeżeli iść nie chcemy w jarzmo potencji rosyjskiej, nas niewinnie uciemniającej. Woła poseł brat nasz, który circa liberum veto obstawał, ratuje się jeżeli się brzydziecie absolutnym rozkazem rosyjskiego posła. Woła stó-

łeczne nasze miasto Kraków, Coronatix olim regum,... a teraz ręką moskiewską zamknięte, zrujnowane i popiołem obsute. Gromadźcie się Panowie, podajcie rękę upadającemu to w handlach to rzemiosłach, niech więcej nieprzyjaciele prac naszych nietrawią, niech nas z przywilejów dawnych niewyzuwają!! Wołają jeszcze bracia nasi pokrewni, przyjaciele, sąsiedzi, abyście oprócz zwyż wyrażonych przyczyn, przez miłość tych tak zacnych, imion oziębłością wstydliwą nieprzyjaciół w domach waszych nie cierpieli! Woła przestroga, abyście poznali ziemianów duchem przewrotności was lub oddalających lub też podobnie uwodzących, jak cały naród i zagranicznych niegdyś utudzili fałszywemi deklaracyami rosyjskiemi; poznawajcie ich z czynów a nie z pozorów, tu się łączcie z pospiechem, gdzie was miłością św. wiary i miłością zapraszam, a równie na wszystkie gwałciciele tak prawa kościoła św. jako i koronne, mężnie i statecznie powstańcie! Mamy już złączone z nami Przeświet. Województwa i ziem Konfederacye, jużemy sobie Marszałkowie poślubili nieodstępność, by tym sposobem wspólny, jak najprędszy dać ojczyźnie ratunek!— Zbliżają się bracia nasi wielcy mężowie z Konfederacją Barską, ciągnie z niemi sprzyjająca potencya, niechajże wprzód cudza ręka nas nie dźwiga, my nieczułemi stając się!!— Przybywajcie tedy mężni rycerze Województwa Sandomierskiego i ziemi Stężyckiej JO. JW. WW.

MPP. Bracia, a przybywajcie na dzień siódmy miesiąca kwietnia w roku niniejszym na miejsce między Moszenkę i Izby.— Bądźcie ozdobą temu tak godnemu Województwu, że dobrowolnie sami na siebie potrzeby Konfederacyi włożymy.— Przybywajcie ochoczo, honor nasz w tém się zamyka, by nas inne Województwa nieczułem i mniej dotkliwemi nie uznały. Obliguje przytém Województwo całe Prześwietne Województwo Sandomierskie i Ziemię Stężycką na wszelkie obowiązki, wzywam i dopraszam się, zalecając jak najusilniej, aby JW. Senatorowie WW. urzędnicy i wszyscy ziemianie Prześw. Województwa Sandomierskiego i Ziemi Stężyckiej:

1mo. z dóbr swoich dziedzicznych jakimkolwiek prawem dzierzonych, tudzież z starostw i wójtostw na wyprawę konną z ról dziesięcin i każdego wójtostwa similiter, jednego konnego żołnierza w mundurach, to jest: w żupanie popielatym, katance lub kontuszu niebieskim z wyłogami popielatemi, płaszczem niebieskim, szarawarami także niebieskimi a popielatemi karwaszami, mitukiem niebieskim, obszlegami popielatemi, czapka z wierzchem niebieskim, białym barankiem tatarską robotą; na koniu dobrym, choć niezbyt młodym, byle nie kaleką, z moderunkiem pewnym to jest: parą pistoletów, karabinem lub sztućcem, pałaszem i ładownicą.— Ludzi pewnych i śmiałych, zdrowych, silnych i trzeźwych, niezawodnych i nie-

zbiegłych, z których gdyby uszedł który z wojska lub z okazji z nieprzyjacielem, a nie cofnął się nazad do wojska wypraw Województwa Sandomierskiego i Ziemi-Stężyckiej, drugiego za wszystkim jako wyżej— na miejsce zbiegłego nieodwłocznie odesłać pod wojskową animadwersją zalecam i obowiązuję itd.

Każdemu zaś wyprawnemu konnemu żołnierzowi ćwierćroczną Laffę po Złt. 12 Połt na osobę jednego a drugiego na konia, na tydzień jeden rachując. Wyliczyć do rąk Wgo Regimentarza lub WW. Województwa komisarzów przy oddawaniu ludzi powinni będą— a przed wypłacającym ćwierćrocznym czasem drugą podobną Laffę odsyłać lub WW. komisarzom oddawać pod surową exekucją swoją.

Miasta zaś duchowne, świeckie, tudzież sołtystwa ażeby z każdego łanu po jednym piechotnym żołnierzem z karabinem, berdyszem, ładownicą, w kaptankach niebieskich z wyłogami popielatami i taktamiż kamizelkami z pludrami w kapeluszach i sztyblach z Laffą ćwierćroczną na każdego po złotych trzy miarkując, do kasy Konfederackiej czyli WW. komisarzom wyliczyć miano— tudzież z obowiązkiem przy kończącej się ćwierci roku podobnie odesłania i oddania Laffy sami przez siebie lub komisarzów, ekonomów swoich na dzień 7 miesiąca kwietnia w r. terażniejszym 1769 pod wyżej wspomnianą surową exekucją przystawiali na wyż

wspomniane miejsce między Moszynką i Izba, przesyłali — względy wszelkie na dobra ziemiańskie jako mieć przyrzekamy, tak WW. komisarzom, gdy wyjdą uniwersały od JW. Marszałka lub Regimentarza Generalnego prowineyi Mołopolskiej — do wydawania prowiantów też samę animadwersię zalecam.

Żeby zaś ten uniwersał jak najprędzej doszedł wiadomości po całym województwie prześwietném Sandomierskiém i Ziemi-Stężyckiej, najpród do akt grodzkich pilznieńskich do ingrossowania podaliśmy, obowiązując i zalecając JP. Susceptantowi grodzkiemu pilznieńskiemu, aby ekstrakt uniwersału tegoż autentycznie wyjąwszy w jak najprędszym czasie do aktów Grodzkich Województwa tegoż Sandomierskiego i Ziemi-Stężyckiej do ingrossowania jako do miast powiatu tutejszego i Wielebnych księży dziekanów do publikowania rozesał.

Co wszystko także i innych grodów JPanowie Susceptanci wypełnić i wykonać niniejszym są obowiązani uniwersałem.

Działo się w Pilźnie 23 Marca 1769.

Adam Paryss Staroście Winnicki, Marszałek Konfederacyi Województwa Sandomierskiego i Ziemi-Stężyckiej.

„Niech żyją Sandomierzanie i Stężyczanie!“
zagrzemiał pan Rudnicki a zanim jednogłośnie wszystka zgromadzona szlachta. Ostaszewski prowadził

rzecz dalej: — „Niemniej prawi i Ojczyznę miłujący synowie, jak bracia nasi Stężyczanie i Sandomierzanie; my obywatele Prześwietnej Ziemi Sanockiej nie damy się uprzedzić w obronie Wiary św., którą Ojcowie nasi od wieków bronili i wolności naszej szlacheckiej i praw swobodnie od przodków naszych ustanowionych, a teraz przez Moskwę haniebnie znieważonych i deptanych!

Cała Prześwietna Ziemia niechaj się łączy z nami, niechaj na koń wsiada, i niechaj się wylaniem krwi swjej szlacheckiej manifestuje przeciw zgwałceniu swobód ojczystych.

Ciebie godny mężu! kochany bracie i sąsiedzie nasz, Ciebie JWMPanie Rudnicki znając twoje *incontaminatam fidem et selum circa libertatem et jura antiqua Regni*, wzywamy: prowadź nas prowadź na pole bitew i chwały; niech albo zwyciężymy, albo zginiemy z sławą jak przodkowie nasi! Niech żyje JWPan Rudnicki Marszałek Ziemi-Sanockiej! —

Z spokojną uwagą słuchał Pan Rudnicki treści słów Pana Ostaszewskiego, a po chwili tak odpowiedział:

„Jaśnie oświeceni, Jaśnie wielmożni, Wielmożni Mości Panowie współobywatele prześwietnej Ziemi-Sanockiej, a kochani bracia i sąsiedzi! — Wdzięcznością przepelnione serce moje na odebraną oznakę zaufania tak wielkiego, kochanej braci we mnie położonego; a rzewna rozczulenia łza, rosi

oko moje. Lecz za wielki to i za ciężki obowiązek, który na słabe barki moje kładziecie. Jednakowo mimo nieudolności mojej, chętnie bym się go podjął, gdyby..... (Prosimy! prosimy! zawołali razem)..... gdybym był przekonany, że Ojczyźnie mojej usługę przyniosę.... Ale nie podołam! a biada nieudolności co się pnie do władzy; biada tym, którzy ją wspierają! ścielą oni grób sprawie, której rzekomo zamierzają bronić! Niechęć! nie mogę stać się zdrajcą Polski — przez niedołęztwo. Mienicie mnie godnym obywatelem tej Ziemi. Chcę dowieść, że nim jestem. W całym poczuciu uczciwości biję czołem przed zasługą. Wielmożny Antoni Chojnacki pułkownik wojsk Rzeczypospolitej niech żyje! niech nam marszałkuje! —

— Zapraszamy! prosimy pana Rudnickiego!.... przerwały mu liczne głosy.

— Niepozwalamy! Pana Chojnackiego— Prosimy! wołał Rudnicki.

— Prosimy Pana Chojnackiego prosimy! wsparły inne....

— Panowie bracia! proszę o głos! zawołał jakiś szlachcic nowoprzybyły podnosząc w górę pismo jakieś. Gdy się uciszyło, mówił: Nie jakoby był przeciwnym wyborowi, lecz przekonany, że każda elekcyja ma swoje prawa i prawidła, powołuję się na uniwersał J. W. Księcia Marcina Lubomirskiego, regimentarza województw krakowskiego i księstw: Zatora i Oświęcima....

— Co nam do Książąt i Jaśniepanów!... my sobie szlachta my sobie równi!!... my sobie bracia!!!

— Panowie bracia! napomniał pan Rudnicki, uciszcie się!— Prosimy o dalszą rzecz!— Co to za pismo?—

— Oto uniwersał księcia Lubomirskiego Marcina, który jako regimentarz Małopolski wzywa na koło konfederackie pod Muszynką na 12go kwietnia!—

— Zgoda! zgoda! pod Muszynkę!

— Niezgoda pod Muszynkę! tu nasze koło!!

— Niepozwalamy!

— Pod Muszynkę!!

— Niech żyje Rudnicki marszałek Ziemi-Sannockiej!

— Niepozwalamy!

— Prosimy!

— Niepozwalamy!— pod Muszynkę!!

Już się imali kordów, gdy pan Rudnicki zagrział:— Proszę o uciszenie się i uderzył czakanem o stół!

Uciszyło się że mak siej! a on mówił poważnie a rzewnie:

„Zeszłego roku, gdyśmy spisywali krzywdy nasze, dłoń rwała się do korda— ale na wroga! nie na bracią!— Panowie bracia! hetman, biskup, marszałkowie, szlachta i prości nasi towarzysze broni, pędzeni na Sybir!— a my się na siebie rwiemy?!—

Wara! dawać zgorzenie i radować wroga!— Uniwersał, który widzę, nie jest oryginalnym, tylko odpisem ale wielkiej wagi— a wydany w Dębowcu.

Czyż tak daleko do Dębowca?— Jeżeli książę istotnie wzywa na koło, wypada słuchać; boć on jest regimentarzem uznanym przez całą generalicyę. Radzę więc wysłać gońca do księcia prosząc o oryginalny uniwersał i objaśnienie.....; bo snać książę ma rozkaz rozpoczynać na nowo kroki wojenne. Koło wojenne wybierze marszałka.

— Zgoda, zgoda!

— Więc wybierzmy kogo!—

Wybór padł na pana Dobraczyńskiego, towarzysza Konfederacyi sańockiej; człeka śmiałego i obrotnego, któremu zaraz wypisano potrzebne listy.

Kiedy już były gotowe, pan Rudnicki zagadał: Ale! ale! jeszcze jedno, panowie bracia!— Mamy tu dwu mieszczan z Rzeszowa, krewnych Szajnoka — dobrzy i żwawi ludzie. Rzeszów Lubomirskich, a nadworna milicya rzeszowska, przydała się zeszłego roku, miasto téż okazało się życzliwém związkowi. Gdyby ich wysłać do księcia możeby im dał jakie poruczenie do rzeszowskiego zamku, w którym jest broń.... amunicya.. działa.....

— Zgoda zgoda!

— Więc panowie mieszczenie! proszę bliżej!

Kłaniając się pokornie przystąpili bliżej, bo dotąd stali przy drzwiach. Wysłuchali wniosku,

przyjęli chętnie, zapewniając: iż doskonale znają drogę do Dębowca i samego księcia pana. W końcu dodali nieśmiało, iż mają prośbę od siebie samych.

— Cóż takiego?

— Myby sami radzi należeć do związku....

— A dobrze! zgoda!!

— Więcejby nas się tam znalazło w mieście!....

— Bardzo pięknie!

— Ale!....

— Ale cóż?

— Ale z przeproszeniem wielmożnych panów! my by chcieli iść pod samego pana Puławskiego!....

— Otóż to mi ludzie! mają serca i rozum! a to nas naprowadzają na prostą szeroką drogę..... Bracia i my wszyscy do Puławskiego!

— Zgoda! zgoda! do Puławskiego.

— Aleć dobrzy ludzie! zagadał Rudnicki mieszczanin: Cóż będzie z żoną, dziećmi, co z gospodarką?....

— Ja! przerwał mu Bartłomiej rumieniać się, nie mam jeszcze żony, a gospodarstwo Jaśniepana przecie większe od méj chudoby. Cóż z nim będzie?....

— Brawo! niech żyją tacy mieszczanie!

— Służba! huknął Rudnicki, wina— są tu? A pełne gąsiorzy brzuchate gdyby wyrosły z ziemi-

— Niech żyje ksiądz biskup kujawski! Kra-
siński i brat jego marszałek i Puławscy!

— Niech żyją! odpowiedziała szlachta aż za-
dudniało i wypila wraz, co do kropli.

— Marszałkowie nasi niech żyją!

— Niech żyją!!

— Niech żyje Zaręba marszałek i Morawski
rzeźnik, co Ronowi takie sztuczki płata!

— Niech żyją!!

— Niech żyją mieszczenie konfederaci!

— Niech żyją!!

— Wszyscy bracia związkowi!

— Niech żyją!!

— Kochajmy się! niedajmy się!!!

— I uderzyli szkło w szkło, wypili do dna—
a ostatnią kroplę z paznokcia.

KSIĄŻE MARCIN LUBOMIRSKI.

KSIĄŻE

MARCIN LUBOMIRSKI.

Jędrzej Dobraczyński i obaj jego towarzysze, zbliżali się do celu swój podróży bez przeszkody, rozmawiając spokojnie, gdy wtém niespodziany wypadek, wątek rozmowy przerwał.

Od niedalekiego bowiem miasta Krosna, pędził co koń mógł wyskoczyć jeździec młody z dobytą szablą, a zanim z zniżonemi lancami dwóch ułanów królewskich widocznie w pogoni. Uciekający pędził wprost na naszych podróżnych, a przypadłszy bliżej, ledwie co zdołał wymówić: Panowie bracia ratujcie konfederata!

W mgnieniu oka skoczył pan Jędrzej z bryczki, odpiął konia, dosiadł, wziął szablę na tęblak odwiódł ukryte u pasa 2 pistolety. Bartłomiej zaś napomniawszy Marcisia, aby konie dobrze trzymał — skoczył złamał brzosek młodą przy dro-

dze stojącą i stanął obok; a Marciś jedną ręką konie trzymając, sięgnął drugą pod koziół wyciągnął siekierkę podrózną i błyszczącemi oczyma oglądał się w bok na ułanów.

Ułani widząc odpór stanęli i zaczęli wołać: To szpieg z listami, prosimy go przytrzymać!

Młodzian żywym rumieńcem zapłonął i rzekł do pana Jędrzeja: Wiozę list do księcia Marcina, a ułani komendy Dzierżanowskiego, chcą mnie złapać! Wydobyl list i oddał Jędrzejowi, patrząc z obawą czyli się nie zawiódł w zaufaniu.

My także jedziemy do księcia Marcina, odrzekł pan Jędrzej, a młodzian odetchnął i rzekł: Ano, to chwala Bogu! Prosimy bliżej; zawołał pan Jędrzej na ułanów, prosimy bliżej! ale ułani widząc że tu niema co wiele gadać, pomówili coś z sobą po cichu, zawrócili konie i odjechali w bok ku Zmigrodowi. Nasi zaś podróźni jechali dalej do Dębowca ubocznemi drogami.

W pół drogi popasali w karczynie za Targowiskami. Tam się dowiedzieli: że młody jeździec był konfederatem z obozu księcia Marcina, że jeździł do Pilzna, do marszałka Paryssa z pismem zapraszającym do złączenia się i że wioził odpowiedź, jako pan Paryss z Sandomierzaninami natychmiast ku Dębowcu wyruszy po popasie dalej w drogę. Wkrótce zdybali porozstawiane przednie strażki księcia Marcina, które ich do obozu zaprowadziły.

Książę był ważnemi sprawami zajęty.

W pięknym namiocie tureckim, nad którym drugi z drelichu w siwe pasy dla ciepła był rozpięty, słuchał książę raportu rotmistrza swego pana Bojaneckiego, który z listami do generalicyi na Cieszyn wysłany, właśnie z odpowiedzią od Kraśińskiego, generalnego marszałka konfederacyi barskiej, powrócił. Zaklinal marszałek księcia na rany Boskie, aby nie ustawał w usługach Ojczyźnie, ale dotrwał do końca. Zagrzewał do zbierania ludzi i trzymania się w gotowości.

Wysłuchawszy pana Bojaneckiego, podziękował mu książę bardzo łaskawie i wydzielił komendę jako rotmistrzowi. Potém poseł do pana Paryssa oddał list swój, którego treść księcia mocno uradowała i w skutek której, chciał wysłać komendę przeciwko niemu. Pan Bojanecki dobrowolnie ofiarował usługi swoje do tego, co książę chętnie przyjął; ścisnąwszy go za rękę i grzeczny komplement powiedziawszy.

Daléj opowiedział poseł swoje zdarzenie z ułanami Dzierżanowskiego; czém mocno zdziwiono Jego Książęcą Mość że wyrzekł: To dziwna rzecz! Już to po drugi raz słyszę coś podobnego.

Bierzyński i Dzierżanowski gospodarują w województwie mojem jak u siebie. Bierzyński jeszcze jak Bierzyński, bo to zwyczajnie prostak, ani z imienia, ani z rozumu. Gdzieś na boewinie w litewskich borach wykarmiony, chudy podstoli nowo-

grodzki kilku poddanych się dochrapał w sieradzkim, a teraz o hetmańskiej buławie marzy.

Jemu się nie dziwię, ale pan Michał Grzymała Dzierżanowski! — przecie mąż dobrze urodzony, pięknie z kolligacony; mąż, co tyle podróżował, co bywał po dworach królewskich, i któren w mowach a nawet i w dyplomacyi jest biegłym; słowem, mąż kawalerski; że się tak dalece zapomina, i nie zważa ani na ród ani na dygnitarstwa drugich, to mnie bardzo zdziwia. Nieprawdąż panie Bojanecki?

Prawda Mości Książę Marszałku! on ubliża podwójnie Jego Książęcej Mości: ubliża Księżciu i ubliża Marszałkowi legalnemu, który swój majątek cały i zdrowie książęce nam tak drogie, na ołtarzu Ojczyzny składa.

No! ja o tém nie myślę, jednakowo mi to przykro, że pan Dzierżanowski, którego ja od tak dawna znam, tak się zapomina.

A zapomina się i bardzo zapomina; odrzekł pan Bojanecki. Ja się tylko obawiam, żeby tam Rucki jakiego przypadku nie miał, bo jam go (zalecając, rozumi się samo przez się, uczciwe obchodzenie z obywatelami) wyprawił wybierać pobory w województwie krakowskiem i sandomierskiem.

— Ja się sam obawiam Mości Książę Marszałku; odpowiedział Bojanecki z przekąsem, bo on to zlecenie może zanadto gorliwie wypełnić zechce.

— Nie wątpię o jego gorliwości jednakowo

znam jego przychylność do domu naszego i spodziewam się po jego rozumie, że on się dobrze wywiąże z zadania swego. Lecz ja nudzę pana mego, a pan potrzebujesz odpoczynku.

— Proszę JOKsięcia wcale....

— Ale proszę niech pan pamięta o sobie....

— JOKsiążę zbyt łaskaw jesteś na mnie, całując stopki Jaśnie Ośw. Księcia! rzekł Bojanec-ki, i ucałowawszy Księcia w kolano, odszedł. Za nim wyszedł i ów posłaniec, któremu Książę kazał naszych podróżnych przywołać.

Pan Jędrzej Dobraczyński pokręciwszy węża, stanął przed Księciem wyprostowany, salutował po wojskowemu, wyjął w zanadru przygotowane pismo i doręczył, oświadczając pozdrowienie powinne od zgromadzonej sanockiej szlachty; a obaj mieszczanie pocałowali Księcia w kolano.

Książę przeczytał z uwagą i uśmiechem zadowolonia i ścisnąwszy pana Jędrzeja uprzejmie za rękę, rzekł: Miło mi powitać towarzysza broni..... Pan Jędrzej się skłonił, a książę podając rękę mieszczanom, którzy ją z uszanowaniem pocałowali: Was moi kochani! witam jako towarzyszów, co razem z nami walczyć chcecie za Ojczyznę naszą i tém mi miliej widzieć was tu, iż jesteście z dóbr pokrewnych moich z Rzeszowa. Właśnie chciałem wejść w stósunki z panem Tynieckim, generałym rządca dóbr księżnej Chorażyny, i jeżeli weźmiecie obowiązek posłów na siebie chętnie wam

list do niego powierzę. U pana Rudnickiego was uniewinnię, a panu Dobraczyńskiemu przydam kilku towarzyszy z méj dywizyi, aby go (dodał z uśmiechem) ułani Bierzyńskiego albo Dzierżanowskiego nie napastowali.

Nie boję ja się ich, Mości marszałku odrzekł, śmiało pan Jędrzej.

Nie wątpię wcale, nie wątpię! ja tylko żartowałem odrzekł z uprzejmym uśmiechem Książę i zawoławszy hajduka kazał podróżnych naszych odprowadzić na kwaterę i pamiętać o nich i o koniach.

I niezapomniano o nich. Bracia konfederaci mianowicie Kolbuszowiacy, poznali wnet mieszczan rzeszowskich i daleko było od tego: aby im dali zginać od głodu i pragnienia. Całą prawie noc spędzono przy kufiu, a różną gadkę sobie prawiono. O Puławskich, o ks. Marku, o Zarębie, a szczególnie o Morawskim; który, jako rzeźnik naszych rzeźników niesłychanie zajmował.— Nasłuchali się o nim wiele rzeczy jak on, młodszy cechowy, dawszy burmistrzowi swemu w Gnieźnie Gryncynierowi policzek za to, że się trzcinań zamierzył; poczem zebrał kilkunastu chłopców różnych, i tak się z nimi za Moskwą uwijał, że mu Malczewski marszałek, patent na rotmistrza przysłał! Jak on tu cichaczem w samym mieście szyldwachowi łeb odciął— i armatę, przed którą tenże stał, do piwnicy wtoczył i zagwoździł; tam przy obie-

dzie przydybany, wypadł, mając jak zwykle pistolety na taśmie a szablę u boku; kozak mu drogę zastępuje, on go wali z konia, dosiada onegoż i nuż z szablą w ręku na przebój i uszedł! Czasem 2 razy na dzień napadał na Moskwę tak: że pułkownik Renn przez niego nie mógł oka zmrzyć.

Takich historyj nasłuchali się całą prawie noc. Nazajutrz zawołał ich Książę i dawszy napomnienie, aby sobie nie dali pisma wzięść, oddał im listy do pana Tynieckiego, do księżnej Chorażyny i księdza gwardyana OO. Reformatów; oraz uniwersał swój i województwa Sandomierskiego, aby go na drzwiach u fary przybili. Napomniał także wezwać, ażeby nakłaniali drugich do łączenia się, i w razie, jeżeli się dobrze sprawią, zrobił nadzieję wstawienia się do Rzeczypospolitej o udzielenie im nobilitacyi i zapewnił szczególną łaskę swą księżącą, a w końcu pożegnał i za kilka dni w Jaćmierzu stanąć kazał, zkad wprost pod Muszynkę na 12 kwietnia z odpowiedzią pana Tynieckiego zdążyć mieli.

Czém to jest ta Polska, że tak potężnie sercem naszym włada? Czém ona jest? Czy zarazliwą rozkoszą duszy? czy szalem co rozum pęta, i poddaje pod rozkazy téj ziemi naszej i tych rzék, gór naszych, tych błędnych obłoków i błękitnego niebios sklepienia? Czy ona może duszą téj Wandy dziedziczki polskiej co w Wiśle skończyła pasmo dni dziewiczych i srebrzystemi skrzydły pieśni

nad modrą Wisłą unosi, wiadoma tylko tym, co dziedzinę jej szczerze umiłowali? Czy to może Matka Zbawiciela Pana, w Częstochowskim skreślona obrazie, którą przez wieki, miliony ludu polskiego czczą jak Matkę, jak królowę swoją? Czy to może Anioł Stróż od Boga przydany plemionom polskim w postaci orlęcia białego, aby strzegł najdroższego człowieczeństwa skarbu, skarbu wolności i swobody ziemi?

Nie — Polska to ziemia, w której Wanda leży pod mogiłą i obłoki nad nią — i Wisły płynąca — i Przenajświętsza panienska Marya królowa Polska i Matka zbawienia na tronie obłoków i to orle nasze, ten Anioł Stróż wolności i swobody ziemi i czyste sumienie i miłość Boga i miłość bliźniego; to wszystko razem ziemia, obłoki, Matka zbawienia, orle i miłość w jedno złączone: to Polska nasza! Rzuć okiem w niebo, w to niebo ojczyście, bądź ono jaśnieje błękitną pogodą i skowronek chwałą Panu dzwoni, bądź ciemne chmury piorunami biją, a bocian klekocząc w wichrach się kołysze, albo zawierucha śniegawica miecie; czy w każdym razie gdy spojrzysz w to niebo, głębia twój duszy nie poczuje — Polskę? Posłuchajno piosnki przed obrazem Matki Bożej: „Bądź pozdrowiona panienska Marya“ albo „Gwiazdo morza“ onym rzewnym staropolskim śpiewem, jak ją dziadowie nasi nabożnie śpiewali; powiedz czy duszę swoją nie przepelni uczucie nabożne, uczucie

jasności i czystości Maryi niepokalanej królowej nieba i Polski! A orle białe! Cóż o niem powie-
dzieć? czyż jest na świecie człek Polsce przychyl-
ny, albo wróg jój zacięty, coby na widok orłęcia
białego nie uczuł w sercu swém Polski i wolności.
O! to stróż Anioł od Boga zesłany, który nas
ciągle wzywa do miłości polskiej krainy, Boga i
wolności!

Weź polskie niemowlę, wychowaj go skrycie
tak: by nie znało białego orłęcia, gdy dorośnie, a
obaczy to ptaszę — odgadnie że to polskie orle —
że to jego orle, i stanie mężem w orłęcia obronie i
zginie w boju męczennikiem! A jeżeli nie po-
zna orłęcia; aniola Stróża swojego od Boga i przy-
kazań jego, zrzeknie się wolności, stanie się na-
jemcą niewoli, narzędziem zbrodni, będzie — bra-
tobójcą!

Tak marząc o Polsce ojczyźnie kochanej, któ-
rój głos pierwszy raz w sercu swoim uczuł, wra-
cał Bartłomiej do swego Rzeszowa, a rozmyślał
jakby tu rozpocząć posłannictwo swoje.

Z wszystkich uczciwych obywateli miasta Rze-
szowa, najwięcej poważał i czcił księdza gwar-
dyana OO. Reformatów. Tego samego, który się
ujął za Miszczańskim tak niewinnie i dotkliwie
na zamku zesromoconym. U niego się spowiadał za-
wsze, kazania jego zdawały mu się najlepszemi;
a każde słowo z ust jego, mądrością i dobrocią.
Zaleciwszy więc Marcisiowi, aby się nie kręcił po

mieście, zabrał listy, uniwersały i najprzód poszedł do księdza gwardyana.

Z uwagą słuchał pobożny zakonnik opowiadania o księdzu Marku, o Puławskich, o Zarębie.... i co tylko utkwiło w pamięci Bartłomieja, wszystko wy dobył. A uniesieniem mieszczanina radował się, gdyby matką pierwszemu niemowlęcia swego szczebiotaniem.

Uniwersały przeczytał z uwagą — poczem wznosił ręce do Boga! dziękował, iż na naród polski zseła Ducha świętego, że się Polska stara dźwiga z upadku cnót i wiary! — Oh! bo on w zakonnej swój celi nieraz smutno zwiesił głowę spoglądając na to, co się w zamku działo i słuchając mów lekkich, płochych i bezbożnych z ust ludzi, których dziadowie własną krew serdeczną chlują w oczy dzieciom azyatyckim, dzielną pierśią polską, gdyby murem, osłaniali chrześcijaństwo i oświatę Europy! — Był to kapłan polski, który się nie wyrzekał matki swój ojczyzny! a skoro nie był jej nasiennikiem, starał się zostać wonnym pięknym kwiatem. — Więc w końcu błogosławił ludziom co rozpoczęli dzieło zbawienia! błogosławił pokorze mieszczan, których serca Bóg tak piękną miłością rozpromienił; niezapomniał za poległych westchnąć serdecznie — i poczuł: że serce mniej boleje, przeczył, że dźwignie Bóg, Polskę z upadku cnót i Wiary!

Nazajutrz z rana zaraz widać było w mieście ruch jakiś nadzwyczajny. Mieszczanie stawali gromadkami i radzili co to z tego będzie. A na wielkich drzwiach farnego kościoła błyszczał z daleka uniwersał Województwa Sandomierskiego, do którego z dawien dawna miasto Rzeszów *de facto* należało i kasztelanowie sandomierscy od najdawniejszych czasów wszelkie sprawy rządowe załatwiali.

Chmara ludzi ciekawych stała przed farą i słuchała głośnie onego czytanie i różne wrażenia można było zauważać. Starzy mieszczanie przypominali sobie dawne czasy wojny i elekcyje królów. Kobięty bały się wojny i Drewicza, o którym niesłychane okrucieństwa opowiadano: jak jeńcom związkowym ucinął ręce i nogi, jak skórę z ramion łupiąc, kazał naśladować wyloty rękawów, a z głowy ją zdzierając, wołał: masz czerwoną czapkę... A dzieci na spisach noszone! niewiasty i dziewice gwałcone— a pożogi grabierze bez miary i liku!

Młodzież zaś jak młodzież zwyczajnie. Bitną krew w żyłach jęj łatwo poruszyć; a odgłos wojny straszny słabęj płci i za spokojem tęsknącęj starości, zawsze i wszędzie pierś jęj wzdymał odwagą i ochotą bójki.

Jaki taki z młodszych mieszczan, garnął się do Bartłomieja i Marcisia, których podróz i przy-padki piorunem się po mieście rozniosły, i słuchał z pukającym sercem opowiadania o zjeździe w Ja-

ćmierzu i obozie pod Dębowcem. A zagrzany ogni-
stą mową, szedł spieszno do domu i niemogąc so-
bie miejsca znaleźć, chodził od kąta do kąta jak
błądny; aż sobie wypatrzył szablę starą, zarzede-
wiałą lub strzelbę choćby bez kurka, lub przynaj-
mniej kostur okowany, nóż długi lub siekiere.

Z młodymi przyszło i starszych kilku; miano-
wie takich, co to drzewiej proch wachali, a mię-
dzy niemi stary woźny urzędu ławniczego i woj-
towskiego, czyli po terażniejszym woźny magi-
stratu sławetnego miasta Rzeszowa.

Był to chłop niewielki z ogromnym siwym
wąsem i pokarbowaną od pałaszy łysiną, pochy-
lony trochę od starości, zwykle wiele mowny; cza-
sem zaś kiedy się zaciął, milczek ponury, tak: iż
z pod strzechy wąsów jego i tydzień słowa nie
wywabił. Zresztą człowiek najuczciwszy, trzeźwy
i w biedzie swojej rządny, wdowiec bezdzietny, a
werydyk nad *werydyki*.

Jemu wszystko jedno było, kto go zagadał, każ-
demu się zarówno grzecznie, ale nikomu pokornie,
zawsze hardo pokłonił; ale kiedy go kto za język
pociągnął, to mu wyciął prawdę w żywe oczy przed
Bogiem i ludźmi, że mu aż w pięty poszło.

Na imie mu było Jakub i każde go dziecko
znało pod nazwą starego Jakuba.

Ludzie go bardzo szanowali i wierzyli w sta-
re słowa jego jak w wyrocznię; a nawet sama
księżna Chorażyna lubiła go jako starego sługę

męża swojego śp. księcia Jerzego Ignacego, Chorążego Wielkiego koronnego, generała jazdy wojsk saskich; który jeszcze w dziewosłębny do niej, niegdys panny baroniani de Stein, do Saksonii nigdy inaczej, tylko z swoim starym Jakubem przyjeżdżał.

Pobierał on „łaskawy chleb“ od księżnej, ale w zamku niechciał mieszkać, mawiając: że mu już obmierzły książęce pokoje. Wyprosił sobie tylko urząd woźnego i pełnił sumiennie obowiązki swoje w sądzie i jako brat pobożnego towarzystwa „Tercyarzy“ obowiązki ich w kościele OO. Bernardynów, przy cudownym Matki Boskiej obrazie.

Byli jednak ludzie, których on bardzo poważał i lubił, a którzy nim, jak dzieckiem powodowali; szczególnież ksiądz gwardyan OO. Reformatów Szlezyn gier Lektor filozofii w zakonie OO. Pijarów.

Do księdza gwardyana zawsze wstępował na tabaczkę i pogadankę, ile razy na zamek lub do kościoła OO. Reformatów szedł, zawsze po łacinie uprzejmie przywitany, po łacinie odpowiadał i zawsze tabaczką i gdańską wódką uraczony, długo o dawnych dziejach rozprawiał.

Trzeba bowiem wiedzieć, że ksiądz gwardyan uczeń Pijarów w kollegium Lubomirskich w spiskim Podolińcu, przed kilką laty, bo jeszcze na początku 18go stolecia, z szkół pijarskich do chorągwi księcia Jerzego Lubomirskiego, starosty

sądeckiego, przystał, i obok starego Jakuba jeszcze r. P. 1706 za króla Stanisława Leszczyńskiego po Podgórzu wojował. Ciężko ranny ofiarował się wstąpić do zakonu i Boga chwalić całe życie — co i dotrzymał. Jakub zaś tymczasem służywał wojskowo, potem u książąt Lubomirskich; aż się po kilkadziesiąt lat niespodzianie z swoim dawnym towarzyszem, a dziś, gwardyanem OO. Reformatów w Rzeszowie zeszedł. Nie dziw więc, że się obaj starce, bracia trudów wojennych i ubóstwa światowego, nawidzili, i kiedy ich rówiennicy odumarli; po całych godzinach o swoim ulubionym królu Leszczyńskim gwarzyli.

Księża Patrycyusza zaś poważał tylko na słowo księdza gwardyana, którego go jako gorliwego katolika i bardzo uczonego kapłana nieraz wychwalał. — Słuchał Jakub tych pochwał i wierzył w nie co do gorliwości religijnej; ale co do rozumu zawsze miał jakieś ale. — Ogółem bowiem wątpił w obcy, nie polski rozum; a kiedy go ksiądz gwardyan już bardzo przycisnął swemi pochwałami, to mawiał: — Przewielebny księżu gwardyaniel żużćć ja nie wątpię, że ksiądz Szlezynwier mądry; ale bo to tam w ich ziemi wasy gola, a warkocze noszą jak u nas dziewczki; a mnie zawsze uczył mój dziadek nieboszczyk (Panie daj mu niebo) „Długie włosy krótki rozum“.

Ksiądz gwardyan aż się oburącz za brzuch brał na podobne mowy Jakuba, kiedy on go robił

uważnym: że jak przyjąć do jakiego Polaka, to się zapyta, pochwaliwszy Pana Boga: Co tam Waćpan powie? Co tam Waszeci sprowadziło? Widać, że chce wysłuchać i pomódz. A oni tak nigdy nie pytają, tylko: co dasz? coś przyniósł? „*was gibst—was bringst*“.

O! żeby się i nasz król Stanisław Leszczyński był utrzymał, byłoby nam może dziś inaczej.

Takim to był stary Jakub, woźny prześwietnego urzędu i aktów i wójtowskich ławniczych, i takim ksiądz gwardyan OO. Reformatów w Rzeszowie.

Właśnie przy sobocie odnosząc akta do jurysdykcyi zamkowej, zobaczył tłum ludu przed farą, a na słowo: „uniwersał konfederacki“, zadrżała krew konfederata Leszczyńskiego króla. Donośnym głosem przeczytał go zagapionej gromadzie i pokrećciwszy wąsa, szedł prosto do księdza gwardyana, niuchając często tabakę zmieszaną z ciemieżycą, z różka za pasem.

Ksiądz gwardyan jak gdyby czekał na niego. Z otwartemi ramiony, mimo 80 kilku lat, skoczył ku niemu i wołając: *Quomodo valet sodalis martianus et marjanus?* ujął za szyję i serdecznie pocałował.

Oddał pan Jakub uścisk braterski, a zażywszy podanej tabaki, kichnął i na życzenie: sto lat zdrowia! odrzekł dziękując: Proszę na pogrzeb! i dodał: będzie szczęście; i powtórzył — kichnąwszy

powtórnie, aż szyby zabrzęczały: Dalibóg będzie szczęście!

— Daj Boże, daj Boże! bo to Puławskiego sprawa, to tak jak śp. króla Leszczyńskiego; wtorował gwardyan, a prosząc siadać, pokazał listy i opowiedział rzecz całą. Pan Jakub słuchał podkręcając wąsiska i niuchając tabaki, w końcu rzekł: No! niechże przewielebny ksiądz gwardyan nadrabia z księżną i panem Tynieckim, a ja już sam biorę mieszczan na siebie!

Tak więc nie mówiąc słowami, porozumieli się obaj starcy sercém. Pan Jakub odprowadził księdza gwardyana na zamek, po drodze akta oddał; a potem spiesznie poszedł prosto do Bartłomieja Murskiego, gdzie się kupa młodzieży zebrała.

— Jakub idzie! stary Jakub idzie!— ozwały się głosy zapowiadające; a stary Jakub wszedłszy do izby, rzekł: „Niech będzie pochwalony!...“ i maczając rękę w kropielnicze, zrobił krzyż święty podczas, gdy przytomni jednogłośnie odpowiedzieli: „na wieki“.

No cóż! chłopcy, cóż wy na to?

A cóżby my mówili, my sami nie wiemy co robić.

Niewiecie co robić?... a czemuż my starzy, zamłodu wiedzieli co robić, kiedy przyszło obstawać za królem Stanisławem Leszczyńskim, ha! W rękę co Bóg dał... i hajże! bij Moskala kędy się nawinie!... rozumiałeś jeden z drugim! Baba na to, aby

przędła, a chłopu szabla! rozumiałeś? — Bić! i kwita!!

Ale poczekaście, ja was nauczę jak to dawniej w Rzeszowie robiono; bo to wy głupcy młodzi! myślicie: żeście się w kusych kurtkach od wiek wieków rodzili? a to nieprawda, to nie tak bywało dawniej!

Tu wydobyl starą, w skórę oprawną książkę i rzekł: Oto stara księga miejska wasza, jeszcze za czasów króli Zygmuntów pisana; w niej stoi, jak mieszczanie Rzeszowa, mieli o obronie miasta swego myśleć, kiedy wojna nadchodziła: Słuchajcie! — Zażył tabaki z różka za pasem, wyjął okulary z kieszeni pluder, obtarł połą i czytał:

Mandatum Illustrissimi.

„....Iż okrag miasta i przęsa parkanów, nie wystarczą liczbie gospodarzów samych w mieście Rzeszowie ani na przedmieściu; przeto rozkazuję i napominam wszystkich w obec oblicznie będących i w tym opowiedzianych: — Aby na tym jarmarku Jarosławskim tyle rusznie sobie sprawili ile ma czeladzi w domu, otroków (chłopeów) dorosłych, wyjąwszy tylko białogłowy i dzieci ze dwunastą lat. A to pod dwudziestą grzywien winy na każdego gospodarza z domu, mieszczanina i podmieszczanina.

„Także na każdego komornika, któryby w najmniejszej chałupie bądź najmem, bądź u gospoda-

rzaw domu (by ich mieszkało i kilku w domu), tedy każdy aby miał rusznicę długą i ładunków kópę— trzy funty prochu— rusznice z ślusoszami i przy kluczach i zomkach— obficie knoty i ubki i tarty proch na podsypkę. U każdego pod tą dwudziestą, grzywien winy na każdego komornika, ile ich będzie w domu (irremissibilter).

„Także pod tęż winę podpadają żydowie, jeśliby który gospodarz nie miał tych rusznic długich i po kopie ładunków, i po trzy-funty prochu do każdej rusznice, wyjąwszy tylko białyglowy i chłopięta w dziesiąt lat. I gdyby rożków- z tartym prochem na podsypkę, który nie miał, i z swym komornikiem (żyd albo chrześcianin): bądź rzemieślnik, z komornikami albo z czeladzią się nie stawil, z tym rynsztunkiem otrok: A to pod dwudziestą grzywien.

„Którą winę tak każdy żyd i chrześcianin gospodarz, za komorniki pospołu z komornikiem; połowice Jego Mości a połowicę raycom i pospolitemu człowiekowi, na potrzeby obrony miasta dawać będzie powinien. A te pieniądze mają kładź do skrzynki, którą Pan poda zapieczętowaną: Aż wtenczas, gdy Pan sam odpieczętuje i przy raycach i przysietnikach do niej otworzy, otwierać jęj nie mają.

„A iż z wielkim kosztem pańskim i pospolitego czleka, są wały i parkany porobione, i swoim własnym sumptem porobił Jego Mość, broży i ba-

szty wszystkie; tedy pod tąż winą będą powinni: albo świni i kóz nie mieć! albo we wsi chować — w naszych wsiach — oprócz wieprzów w karmniakach. Także do bydła pastuchów trzymać, aby po wałach i po grodzisku nie chodziło bydło i świnię i kozy. Tak na żyda jako i chrześcianina, otóż do skrzynki téjże ut supra dwadzieścia grzywien i na rayce, gdyby zaraz nie exekwowali tych win.

„A iż z ciężkością przyszła naprawa wałów i parkanów, ma być registr tu wpisany — a drugi u każdego na wieki burmistrza i u radca, który ogrodny plac i dom, ma swoje przesło; kto wał budował i przesło na nim stawiał, aby ten czyj plac, albo dom, albo ogród, albo folwark, aby miał przesło swoje, do poprawy i naprawy wału i parkanu. Także i ci co przez dziesiątniki wały robili, aby jak do naprawy tak byli powinni do strzeżenia swoich przesel wałowych i parkanowych; a to pod taką winą ut supra: dwudziestu grzywien do téjże skrzynki i na rayce, gdyby tego nie exekwowali.

„I tém dla lepszej obrony, cech każdy ma mieć kamień prochu osobliwie, i kopę kul do akownic (każdy cech) i po dziesiąci kul do działa, knoty i ubki; pod dwudziestą grzywien winy na cech każdy. Siorfinie a proch suchy i wygodny i funt tarte go prochu na ponewki dla podsypki. — Także żydowie będą powinni mieć trzy kamienie prochu zawsze suchego, dobrego, i u siebie go chować pogotowiu, i kopę kul do akownic i półkopy do

dział; pod taką winą także cztery akownice swoje na baszcie za buźnicą, i mieć jednego, coby to opatrował i z tych akownic strzelał, także pod taką winą.

„A iż do obrony trzeba tych, coby w trwożę każdą miał kto strzelać i tedy przy elekeyi jój każdy ma być obierany hetman miejski, drugi przedmiejski, trzeci żydowski; pod tąż winą na każdégo za konsensem Jego Mości.— Jakoż na ten rok 162 *septimi*, miejski obrany Łukasz Gardzik; przedmiejski Piotr Firalik, żydowski Moszko Aw-tard; którzy mają mieć pod regimentem swoim parkany, haszty, prochy, kule i puszkarze i bębny, każdy swoje.— A ci hetmani mają być wolni.

„Od Radziec, aby na każdéj baszcie pewni byli mianowani i przez nie postanowieni z pospolitym całowiekim, nie dopiero ich szukać, gdy gwałt.

„Pod takąż winą dwudziestu grzywien na rayce okazowanie, aby było co miesiąc. A jeśliby który przed tym porządkiem, z miasta albo z przedmieścia podmieszczanin albo mieszczanin, do książęcych poddanych uciekał; mają ich mieszczanie imać się.

„I ta skrzynka albo i puszka druga, gdzie rewizya zawsze być ma; jeśli dziesiątnicy zawsze są z pełna i pod każdym dziesiątkiem jeśli są poplani pod taką winą, dwudziestu grzywien na dziesiątnika.

„I tem pod tą winą gdyby który gospodarz ze wszystkiemi komornikami domu swego albo folwarku, z najemnikami i z towarzyszami rzemiosła swego i z czeladzią, otrokami, ile ich w domu ma, każdy z rusznicą długą i z prochem ut supra nie stanął, a jeśliby któremu rusznica nie puściła, sześć groszy zaraz położyć, a jeśli trafi w cel, sześć groszy wziąć. A jeśliby który chorował, tedy ma na swe miejsce postawić, albo gdyby nie był doma pod okazowanie. — A hetmani o téj okazji jój i rajcze zawiadomić mają.— I żydowie mają mieć chorągiew i bęben.

8 Augusti
Castell. Sandomir.“ *)

Otóż widzicie tak się działo roku pańskiego 1627 to jest 142 lata temu; a *Castellanus Sandomiriensis* wiecie wy kto to jest? To Spytek Ligęza kasztelan Sandomierski, fundator zamku, ratusza i klasztoru naszego bernardyńskiego, zmarły r. 1637 a pochowany pod wielkim ołtarzem u Bernardynów; którego postać z alabastru wyciosaną, nad drzwiami zakrystyi widzicie; jak zbrojny klęcząc w framudze do Boga się modli: za siebie i nas, którym obronę miasta obmyślił i taki śliczny kościół wystawił. On! miał rozum i wy go miejcie!

*) *Nota.* Wyjęte dosłownie z ksiąg miejskich Rzeszowskich.

Jaki taki niech się postara o broń, kule i proch; niech naprawia parkan i niech czeka aż przyjdzie czas. A babom powiedzieć: żeby się nie bały! boć to djabeł nie taki straszny jak go malują. Powiedźcie im: że jeżelibyśmy ich nie obronili, to ich Drewicz wszystkie swoim kałmukom i żołdatom na gwałt wyda, a potem im nosy i uszy każę poobrzynać!

A teraz każdy ruszaj w swoją stronę! a trzymaj język za zębami, żeby się Moskałowi nie doniosło. A wieczorem, aby zaś mi przyjść na litania do Matki Boskiej i krzyżem leżąc, błagać o pomoc dla polskiej korony.

To powiedziawszy, schował książkę i okulary i poszedł.

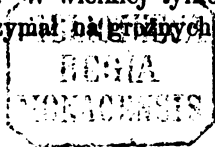
Na litanii było ludu jak napchano, że i szpilki nie było gdzie wetknąć.— Stary Jakub i kilku mieszczan leżeli krzyżem i śpiewali litania, a potem. Bądź pozdrowiona panienko Marya!

A śpiewali z taką rzewnością i szczerotą, na jaką się tylko pocziwa prostota przed cudownym obrazem modląca, zdobędzie. Niejednemu łzy siurkiem płynęły. A obraz cudownej Matki Boskiej jaśniał rześnistym światłem i dym kadzidła unosił się pod same sklepienie.

KSIEŻNA CHORAŻYNA.

KSIEŻNA CHORAŻYNA.

Książd gwardyan OO. Reformatów zapowiedziany księżnej Chorażynie przez jej pokojowca murzyna; prowadzony przez karła brzydkiego, który batożkiem odpędzał pieski małe breszące; szedł po marmurowej posadzce przez kilka komnat wysokich. Przepyszne lustra weneckie, to rogate to okrągłe w brązowych połączonych ramach, w floresy odrzwia i kominy marmurowe wysokie, gładko polerowane; adamaszkowe obicia w przepysznej boazeryi: to jest drewnianych wyrzynaniach; piękne pułapy w złożone krzyżowe belki, między którymi malowania allegoryczne lub z historyi; sprowadzone saskie meble o kręconych nogach z ozdobami złożonemi; ciężkie srebra i herbowe misy w serwantkach; girlandy i sztukaterye. Wszystkiego tego przepychu książęcego, niezauważał nasz poczciwy gwardyan. W wielkiej tylko sali, mimowolnie wzrok zatrzymał na grząnych i mężnych obli-



czu starych hetmanów Lubomirskich, w podgolonych czuprynach z buławami w dłoni; siedł prosto do komnaty księżnej Chorażyny.

W narożnym saloniku z brukatelowemi obiciami siarczystej barwy, w wyciskane gierlandy a wysłanym kobiercem perskim; księżna Chorażyna siedziała na wygodnym fotelu z wysokiem oparciem, ubrana w czarny aksamitny robròn z szeroką szarfą popielic a garnirunkiem cebulasto-barwnych wstążek od szyi aż do pasa; z wysokiem a pudrowaném na głowie szynionem, na którym małeńki, lity korzecik z brylantowemi kwiatami jaśniał. Nogi spoczywały na miękim wale aksamitnym, złotemi sznurami w kutas zakończonemi spiętym, a u trzewików o czterocalowych korkach, mięły się brylantowe sprzączki. Na palcach pełno sygnetów i pierścieni, a na twarzy różowanej, pełno muszek rozmaitej postaci. Na szyi perły uriańskie i krzyżyk na łańcuszku weneckim a u rąk, drogie angażanty. Przed nią stał stolik mały hebanowy, z Gdańska sprowadzony, białym rąbkiem nakryty; na którym stał hebanowy serwis z srebrną galeryjką w koło, o srebrnych także antabach, z imbrykami z saskiej porcelany i takimże garnuszkiem, na śmietankę jajem podbitą. Na małych salatereczkach stały przekąski, jakoto: biszkociki, andruty i niemieckie antypaciki. Obok stał stolik do robót z srebrnym koszykiem. Na ścianie, wolnym chodem siedł zegar duży, z geniuszami w ko-

ło. W oknach wielkie firanki także brukatelowe. W przypierającej alkwie stało złożone łoże z gryfowemi nogami pod muszlinową kotarą, w postaci namiotu nad niém rozpiętą.

Za wejściem księdza gwardyana, oddaliły się panny respektowe, a księżna przywitała go kiepską polszczyzną: *Jegomoszcz gwardyan jak szema?* Ksiądz gwardyan się skłonił nisko i niewiedząc jak zacząć, o małą ją tabaką nie potraktował.

— *Coż tam pofi ksiądz gwardyan?.....* mówiła dalej.

— Mam list od JOksięcia Marszałka, a księcia Marcina Lubomirskiego na szanowne ręce JO. Księżnej Pani, a Dobrodziejki naszój.

— *Od księcia Marczyn?* rzekła księżna z zadziwieniem! *czy tylko znofu nie o moja milicya i ajdukow;* a rozpieczętowawszy go, przeczytała następującą treść:

Z obozu pod Dębowcem.

Madame!

Z tych okolic miło mi Waszój Książęcój Mości, przy zasłaniu powinnego respektu i ucałowania rączek, w następującym interesie umyślnym posłańcem zgłosić się. *l'espere: że Wasza Książęca Mość nie będziesz indifferente et que vous aurer toute la confiance en moi, ażebym Jój przedstawił:*

iz w okolicznościach momentalnych dając Jój dowody mego affektu, radzę szczerze: ażebyś się Madame nieociągala z wydaniem dyspozycy wyprawy, tak ludzi jako i municyi przysposobionej, a osobliwie będącą milicyę swoją z uzbrojeniem i prōwiantem, na niedziel kilka niezwłocznie do obozu przesłać nieomieszkiwała. Je me flatte que vous ne serer pas indifferente i że dla Rzeczypospolitéj, téj małej ofiary nie odmówisz, a zwłaszcza unikając, żeby dobra jój grassacyj jakowéj z strony konfederatów niepodpadły. Wyraziwszy w prędkości se conseil salulaire, zostaję z wysokim respektem.

Votre veritable tres obcissant Serviteur
affectioné cousin

Jerzy M. Lubom.

— *Jak to? coż toznofu nofego? czy książę Marczyń znofu nowe sotysy fyrabia? Ja ne dam nic ani milicya, ani profiant!— cela me plait!*

Ksiądz gwardyan mimowolnie i prawie z niedowierzaniem rzekł: Jakto? Wasza Książęca Mość niechcesz żadnej ofiary ponieść dla poparcia wojny?..

— *Co fojny? fojny?* rzekła, wytrzeszczając z przerażeniem oczy na księdza..... *ja niechęę fojny, ja niechęę fojny je deteste rebellion!* zadzwoniła i zawołała: *Pana Szyloski!*— usiadła w fotel i poczęła płakać, rzuciwszy z oburzeniem nieszczęsny list na ziemię.

Gwardyan się niespodziewał podobnych rzeczy i stał w osłupieniu, niewiedząc co robić. — Wtém wszedł pan Żyłowski i stanął u drzwi, patrząc się na księżną płaczącą, to na gwardyana zdziwionego. — Gwardyan chcąc zakończyć niemiłe położenie: pokazuje mu list i opowiada rzecz całą. — Księżna upamiętawszy się, kazała panu Żyłowskiemu list czytać. Otworzył list i czytał.

Badawczém okiem śledził gwardyan wyrazu na twarzy Włodarza, bojąc się podobnego wyniku jak u księżnej; ale się mocno zdziwił, widząc Żyłowskiego najspokojniej składającego list napowrót i oświadczającego: że w tém wszystkiém nie widzi on przyczynny trwogi, która Jaśnie Oświeconą Księżną Panią przejęła.

— *Co ty mówisz Szylosiu, odezwała się księżna, czy zaprawdę nie będzie fojny?*

Mnie się tak zdaje; bo Puławski jeszcze daleko, a podług wieści, nie ciągnie nawet tędy, tylko górami ku Sączowi.

— *Ach mój kochany Szylosiu! uspokoiłeś mnie trochę, ale czy to tylko prawda księżę gwardyan, czy to prawda?*

— Wszystko w ręku Boga i nikomu bez woli jego, włos z głowy nie spadnie, odrzekł gwardyan.

— *Ale bo ja niechce fojny, ja niechce fojny, niechce,* odrzekła księżna zatykając sobie uszy, *ja nie pozwolę żeby fojna była.*

— *C'est un horreur! Panie Szyłowski, ja czi nakazuje, żebyś niepozwolił tego, żebyś nie puścił ani do zamek, ani do miasta nikogo, co chce fojna zaczynać.*

— A jeżeliby oni przyszli z armatami i chcieli gwałtem wejść? odparł Żyłowski.

— *Ja niechce, ja niechce, ja każe także z armat strelać na nich,* zawołała księżna.

— Dobrze, rzekł Żyłowski, ale my mamy mało ludzi; a jeżeliby Moskale przyszli i Drewicz, a pan Puławski chciał nam pomóc, odpędzić ich?

— *Ja niechce Drewicz, ja sze go boje, nietrzeba go wpuścić; bo by oni nas posabijali. On by myszlal, że ja buntownika, za to, że książę Marczin milicje zabrał,—* i dodała po niemiecku: *Ach Gott die verfluchten Polaken!*

— „A zatem będziemy z panem Puławskim razem, wzbraniać im wejścia; jeżeliby chcieli przyjść, a księżna pani może wyjechać gdzie tymczasem.

— *Dobrze ja fyjadę, ja zaraz fyjadę.*

— Zaraz niema potrzeby, bo niema ani Moskali, ani Puławskiego; a jeżeliby się zbliżali, to ja Jaśnie Panią wprzódę przestrzegę.

Tak tedy uspokoiwszy księżnę, wyszli oba z gwardyanem, który był zdziwionym gotowością Włodarza.

Przeczytawszy z uwagą uniwersał, zaczął się pan Żyłowski odgrażać, najprzód dowódcy 2 kadrow ułanów królewskich, stojących w Rzeszowie załogą, z którym w osobistój żył nieprzyjaźni a

potém Czartoryskim, u których wprzód był w obowiązku, w końcu Moskalom. — Ksiądz gwardyan wyrozumiał z tego poczęści, pana Żyłowskiego gotowość przyłączenia się do konfederacyi, i starał się prócz tych niemoralnych powodów nienawiści, obudzić w nim miłość ojczyzny. Niekoniecznie mu się to udało; ale natomiast obudziła się w Żyłowskim duma szlachecko-wojenna, wynikająca z wrodzonej odwagi i chęci do boju. Zajął się przygotowaniem; a ksiądz gwardyan myślał nad dalszemi sposobami wspomagania konfederacyj i ojczyzny.

**PUŁAWSKICH STYCZNOŚĆ
Z LUBOMIRSKIMI.**

PUŁAWSKICH STYCZNOŚĆ Z LUBOMIRSKIMI.

Roku Pańskiego 1748 d. 18 stycznia we Lwowie. Między JOKsięciem JGMością Franciszkiem na Wiśniczu i Jarosławiu, Lubomirskim; olsztyńskim, rydzkim i t. d. starostą, dziedzicem na Sokolowie, Trynczy i t. d... a WJMPanem Józefem na Pułaziu, Kostrach i Grabowie Puławskim, starostą wareckim, wrzezowskim i świdnickim etc... z drugiej strony stanął kontrakt zastawny.... opisany: w następujący sposób.

— JOKsiążę JGMość starosta olsztyński, wzięwszy i zaciągnąwszy na pilną swoją potrzebę i uspokojenie długów niektórych, summy 100,000 złp. od WJMPana Puławskiego, starosty wareckiego, (z której summy jako.... oddanej i wyliczonej, mniejszém się kwituje);— w téjże summie sto tysięcy złpól., dobra, to jest majątność Trynczą nazwaną, z wsiami do niej należącemi.... z przysiołkami

przyległościami... z osobnemi sianożęciami pod Biało-brzegami leżącemi, z dawna do dóbr Rakuszawy i Trynczy należącemi, (które lubo do Grodziska dawniej należąc, działem do JOKsięcia dóbr rakuszawskich i trynieckich przypadły)... z wszelkiemi dóbr tych przynależnościami — wyjąwszy szpichlerza nad Sanem będącego, który JOKsiążę ku swój wygodzie zostawuje — z dochodami i zyskami, nic a nic niewyjmując ani wymawiając.

— Temuż JMPanu staroście wareckiemu i spadkobiorcom jego: „puszcza“, zastawia i w dzierżawę zastawną prawnie obowiązującą, oddaje. — Która zastawa ma się zaczynać od 25 stycznia rb. 1748, a kończyć się powinna na takowyż czas i termin w roku przyszłym 1749 przypadający, do oddania rzetelnego przereczonój summy 100,000 złpol., której liczenie w grodzie lwowskim, nazajutrz po święcie nawrócenia Ś. Pawła, naznacza się.

— Gdyby zaś na termin w roku przyszłym 1749.... nie miała nastąpić wypłata, tedy ta zastawa od trzech do trzech lat, od przyszłego roku zaczynając się, trwać powinna aż do istotnej wypłaty....

—Wypowiedź o wykupnie niedziel szczęścia!.... Dotrzymanie ugody pod zakładem sta tysięcy złpol....

Ugoda ta zastawna, wciągniona w księgi grodzkie lwowskie, (w wilią nawrócenia Ś. Pawła 1748) rozjaśnia stósunki majątne Puławskiego a tłum-

czy zbliżenie się synów jego do księcia Marcina Lubomirskiego i Sokołowszczyzny, której nieoceniła pożyczka starosty wareckiego. Książę starosta olsztyński zastawił też Sokołów Konarskiemu, a widząc że niewybrnie tegoż samego roku 1748 za 625,000 złp. sprzedał Sokołowszczyznę Grabowskiemu.

ODWET.

ODWET.

Na przedmieściu Rzeszowa stał jeździec młody otoczony garstką młodzieży miejskiej i rozmawiali coś po miesiączku. Jeździec siedział na gnado-srokatym koniu niewielkim, ale żwawym.

Rzęd wcale nie był wymyślny. Koc we czworo złożony, na nim drewniana terlica z podogoniem, na téj skórzana poduszka, poprzęciem dobrze przykulbaczona; dotego prosta uzda rzemienna, stanowiły całe ubranie konia. Sam jeździec o dwudziestu kilku latach, miał na sobie kapotę z taśmami, przepasaną trzosem, czworograniastą czapkę z barankiem, która na lewe ucho posuniona, dobrze odbijała od rumianej twarzy, wąsów i włosów, wedle zwyczaju mieszczan równo obciętych. W rękę trzymał kanczuga potężny, z bernardyńskimi guzami we dwoje złożony; przez plecy drewnianą manierkę z cynowym do wkręcania czopem, znać nie całkiem pełną, bo chlupało w nią, a przed so-

bą sakwy nie próżne. Nie uczono siedział, ale się dobrze trzymał; a koń czuł na sobie jeźdźca dobrego, bo niechciał dostać, tylko się zwracał i nogą grzebał, a głową potrząsał. Był to Bartłomiej Murski na wyjeździe do Jaćmierza, w sprawie konfederacyi z listami księdza gwardyana, pana Żyłowskiego i niektoórej okolicznej szlachty. Czekał na Marcisia, nieodstęp nego towarzysza swego, który się jeszcze w mieście z matką, bratem i bratową zęnał, i świeżo pieczone kiełbasy i schab w sakwy na konia ładował.

Bartłomiej tymczasem rozmawiał ze znajomemi o nadziejach dla Polski i miasta ich, o sposobach i miejscach dostania broni, i napeminał, aby się mieli na pogotowiu, bo Puławski ma lada dzień nadiagnać, żeby się licznie do niego przyłączyli, żeby świat przecie wiedział, co to Rzeszów.

Byliby jeszcze dłużej spokojnie rozmawiali, gdyby Grzesio, znany dworzani n zamkowy, idąc środkiem drogi niebył zwrócił ich uwagi.

— On pewno idzie do waszój Jagusi Bartłomiej! zgałało się dwóch stojących, on tam zawsze łazi, ile razy tylko czuje że was nie ma w domu.

— Oj! dam ja mu Jagusię, odrzekł Bartłomiej i machnął kańczugiem; dam ja mu ją, że pewno zapomni drogi z zamku do mlyna.

— Moglibyśmy Bartłomiej, temu najduchowi przed wyjazdem, plecy wygarbować, bo już ciężka z nim porada.

— A i Mischeńskiego trzeba by mu przypomnieć i kobylicę, a teraz by można; bo jako konfederaka, nieśmiały by was pan Żyłowski tknąć.

— Oj prawda! zdałoby mu się za Mischeńskiego co kobylicę tak ciężko odchorował; oh! żeby mnie kiedy w ręce wpadł ten bęś, tobym wewnętrzności z niego wytrząsał!

Tak kolejno na uboczu rozmawiali, patrząc na Grzesia, który dumno ledwie spojrzawszy po mieszczkach, jak szedł wyprostowany, gdyby kij połknął. Ale mu się coś nogi plątały. Po mocnym wspieraniu się na sękaty kij z siekierką po chodzie i minie widać było, że nie obchodził miodowej arendy w rynku. Bartłomiej stał zadumany chwilę, wreszcie rzekł westchnawszy: ja go tam dopędzę.... i posłał za Marcysiem czemu się tak długo bawi.

Wrócił chłopiec z odpowiedzią, że zaraz przyjedzie; ale Bartłomiej zniecierpliwiony, wyrzekł: Niech jedzie za mną do młyna; bądźcie zdrowi — a nie zróbcie mi wstydu! Zaciął krasę i pomknął dobrym polskim kłusem.

Tymczasem Grzesio przeszedł przez kryty most na Wisłoku, przez błonie miejskie, i zbliżał się ku młynowi.

Jagusia młynarzanka w wiśniowym gorseciku w bławat, siedziała na ławeczce pod oknem, i spoglądała na miasto za rzeką, gdzie w zamku okna, na kościołach zaś banie i galki błyszcząły. W środku prawie dęb odwieczny, poroztaczał ciemne ko-

nary aż pod jasne niebo i stał zadumany, gdyby olbrzym między kretowinami. Młyn szumiał i pyłował.

W pośród wiosennego żegotania żab, przebijał się czasem ostry lot cyranek lub wycie psów we wsi Powitnie, której łąny z młynem i miastem o miedze tylko leżały.

Wieczór był ciepły i jasny, a Jagusia siedziała z opartą główką i marząc o niebieskich migdałkach, nie zważała, że psy zaszczeły, że p. Grzegorz most przeszedłszy, ku niej się zbliżał, że stanął blisko niej, a w końcu zachwycony ładną dziewczyną i dogodną porą, przystąpił z boku, uchwycił w pół i zaczął ścisnąć i całować. Był pewnym, że dziewczka chamska za największe sobie szczęście poczyta, że ją ukochał. On dworzaniek księżnej.

Jagusia przelekniona, krzyknęła. Matka wybiegła, a widząc nieproszonego kawalera, napastującego córkę, pchnęła go dłonią w ramię, aż mało z dziewczyną nie upadł. Tak go to oburzyło, że się odwrócił i uderzył ją w twarz, aż się zatoczyła, upadła i krew ją zalała.

Na krzyk kobiety wypadł młynarz i widząc żonę skrwawioną na ziemi i pana Grzegorza, domyślił się prawdy— A niepójdziesz ty najduchu psiawiaro! zawołał i skoczył ku niemu. Lecz Grzesio przewidział zapęd, odskoczył w bok i laską go w twarz ugodził: Młynarz się chwycił za oczy oburącz, a on się roześmiał głośno— lecz krótko!

Tejże bowiem chwili zadudniało za nim; a wprzód niż się spodział, kańczug Bartłomieja serdecznie go zaczął lizać, nie wybierając czy leb, czy nie leb. Chciał się stawić, lecz tamten natarł koniem, mało niè stratował i bił aż ognia dawało. Opeędził go w koło młyna aż na most. Tam psy gromadą wypadłszy z stodoly, konia sploszyły, bresząc i szarpiąc cynamonowy kontusz winowajcy. Tak podszeztutéj psiarni młyńskiej się oganiając siekierką, musiał pan Grzegorz, dworzanin księżnej rzeszowskiej, rozpocząć odwrót niesławny, bez czapki, w kusym kontuszu i guzami po ciele. Ledwie o stajanie dopiero odczepiły się go sobaki, i zaczął się płaczliwie odgrażać na Murskiego kolibyką i chamma młynarza. Co odszedł kilka kroków, to stawał zlorzecząc i grożąc pięściami zakrwawionemi.

I byłoby tego bez końca, ale Marciś nadjechał. Jeszcze na przedmieściu mówili mu mieszczanie, co się z Bartłomiejem żegnali, że kańczug jego wielką miał oskomeę na plecach Grzesia; a słysząc go lamentującego, i widząc kuso ochłonął poczęści z zemsty za brata, lecz nie całkiem, bo przybliżywszy się doń, zawołał: Grzesiu! co ci to? niechce cię Jagusia kochać? no! cyt synu, cyt! nie płacz obmyj się i idź spać; to się zagoi, bo to tylko z wiérzchu. A tu! masz za mego brata, i liźnął go kańczukiem, ale raz tylko, bo mu się go żal zrobiło. Grzesio począł mu także zlorzeczyć, jak tylko mógł najobelżywiej; ale Marciś się nie

pastwił dalej nad nim, tylko go zrobił uważnym: że jest w jego mocy, a dodawszy: Niegodzienes psu bracie, żebym na ciebie więcej moją rękę podniósł, przyjdzie tobie na koniec zjesz diabła! Zaciął konia i popędził do młyňa.

W młyńie zastał wszystkich w wielkim żalu i zmartwieniu. Młynarka siedziała na malowanej, kolbuszowskiej skrzyni o czterech kółkach, i szlochając zawiewywała sobie na głowie, haftem ozdobną chustkę. Uderzenie bowiem Grzesia, w nieład ją wprawilo. Cienka koszula i gorset były krwią zbroczone.

Młynarz stał oparty o komin, na skrwawioną twarz przykładając mokrą chustkę; a Jagusia rzuwnie płacząca na ławeczce pod piecem, opowiadała Bartłomiejowi bliższe szczegóły napaści niespodzianej.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł wchodząc Marciś, zdjął czapkę z głowy i zmaczał rękę w święconej wodzie. „Na wieki“ odrzekli razem przytomni.

— No! przecieżeś przylazł, zagadał go Bartłomiej, myślałem że ci się już niedoczekam.— Niema nic złego, coby na dobre nie wyszło; odpowiedział Marciś, gdyby nie moje opóźnienie, kto wie co by tu Grzesio był nabroił.

— Alboż to mało nieszczęścia na nas przez niego; patrzcie no, jak nas pokrzywdził i pokrwawił; zapłakała głośno młynarka i poczęła w zwykłe

ludowi naszemu, przeklęstwa, kończące każdy żal: A żeby go Pan Bóg ciężko skarał za naszą krzywdę! a bodajby nogę złamał! bodaj kark skrzył, żeby palarnsz poruszył tego pogańskiego syna!!

— Ale bo, żeby my mu choć w czém zawinili, zaczął młynarz, żeby jedno marne słowo od nas kiedy usłyszał. Zawsze mu z drogi zejde ile razy go zdybę, zawsze czapki uchyle. Niech będzie pochwalony, jak Bóg przykazał i święty obyczaj, a za to ci napaść taka, gotów by człeka zdrowia pozbawić w własnym domu!

Takie skargi wywodzili, niewinnie pokrzywdzeni: Wawrzyniec Luderą, młynarz miasta Rzeszowa i Wawrzyncowa Luderzyna żona jego; a Marciś zdziwiony, stał, słuchał i mało, że nie żałował miłosierdzia swego.

Bartłomiej zaś siedział sobie przy swojej Jagusi, a Jagusia przy nim, patrzyli na siebie i gadali do siebie, ot zwykle jak młodzi ludzie niższego stanu, którzy się kochają, jawnie w obec rodziców i świata, uczciwie i bez wszelkich wymysłów.

Już to że się kochali, wiedział świat i wiedzieli oni oboje, mimo tego, że ani sami sobie, ani ludziom tego nie mówili. Czuli do siebie wzajemny pociąg, jedno za drugim tęskniło, i oglądało się, a ludzie wróżyli z ich stosunków i charakterów, że z nich będzie dobrana para.

I dziwić-że się tu, że młody zalotnik serdecznie okładał Grzesia, który mu jego Jagusię śmiał napastować i całować, a jój rodziców bić i poniewierać, a wara mu od tego.

Wyplakawszy się dowoli, poszła młynarka i przyniosła glinianą bańkę białopolewaną, pełną słodkiego miodu kopowcu; masła, séra, gomulek suszonych z miętą pieprzową i kminem, oraz potężny, ślicznie wypieczony, gospodarski chléb razowy, jakim może Piast dwunastu Wojewodów uraczał.

Po zwykłych zaprosinach, napili się miodu, zakąsili czém Bóg dał, i zapomniawszy na chwilę o swoim żalu, gadali o innych przedmiotach, między innymi o podróży Bartłomieja i Marcisia. —

Bartłomiej niechęcący wyjawiać powodów podróży, a z drugiej strony nie biegły w kłamaniu, rzekł krótko, że jadą do Jaćmierza. Często tam rzeźnicy za bydłem jeździli, sądził zatem, że się tak zwykłą odpowiedzią zbędzie. Ale gdzie tam.

— Dla Boga! zawołała bowiem młynarka, ludzie gadają, że tam są konfederaki, żeby wam co złego nie zrobili; a Jagusia wpatrzyła się w niego, i oczy jój łzami zasły.

— Gdzieżby oni nam có złego zrobili, alboż oni to Moskale, oni tak ludzie jak i my, oni tylko Moskale biją i plon odbierają, odparł zagadniony.

— Ej gdzietam! mówiła dalej młynarka: Pozwczoraj był tu dziad z Babicy od mojego brata i opowiadał nam, jak konfederaki w Korczynie z bli-

chów 800 sztuk płótna zabrali, a przecie tam Moskale płócien nie blichują; a prócz tego ani prosię, ani kura, gęś, ani chleb, but nawet, byle cały, przed nimi się nie ostoi.

— Na co tam konfederaków, rzekł wzdychając młynarz, kiedy lada najduch dworski, lada pacholek, byle na zamkowym chlebie, może cię skrzywdzić i pokaleczyć. A komuż się użalisz? — Bóg wysoko, król daleko! chyba ta cudowna Matka Boska bernardyńska i syn jej Zbawiciel, któremu niechaj będzie chwała wiekuista — chyba ona człowieka pocieszy i pomści. Rozpłakał się, a za chwilę ciągnął rzecz dalej.

— Oni was tam gotowi namówić do siebie, będziecie się bili za nich; możecie i głową nałożyć, a oni ani wspomną o tém; bo oni myślą, że biednym prostakiem można i pogardzić, zbić go i skrzywdzić i dziecko zesromocić, a nawet mu się skarżyć niewolno. A niech im Pan Bóg nie pamięta ludzkiej krzywdy!

Z ściśnioném sercem słuchał Bartłomiej tych skarg młynarza, a każde słowo brzemieniem na przekonanie jego padało. Czuł w duszy, że młynarza skargi są słuszne, bo mają podstawę w prawach i zwyczajach. Lecz z drugiej strony czuł, że te prawa muszą się zmienić; że zwyczaje i nadużycia muszą ustać! Czuł to jak dziecko, co starość i śmierć późną przeczuwa; ale bał się wymówić a nawet-by nieumiał słów do tego czucia dobrać.

Jemu się zdawało: że on nie ludzi kocha, że on ziemię swoją kocha; że miasta z kościołami i tę Matkę Boską Cudowną, i tego orła białego, pięknego na czerwonej chorągwi, co ją jazda królewska przed sobą nosi; a której widokiem nigdy oka nie mógł nasycić. Okropnością było dla niego, myśleć: że ludzie może w samej rzeczy są złemi! Niemógł tego przypuścić; boć go uczono, że ludzi Bóg stworzył na swoje podobieństwo. Dręczony tak przykremi uczuciami, postanowił nie tłumaczyć się, iść za głosem wewnętrznym; za przedsięwzięciem raz powziętem. Dlatego jak mógł najprędzej pożegnał się, zrobił krzyż święconą wodą i wyszedł. Jagusię zapłakaną, która go z matką wyprowadziła, ścisnął za rękę; siadł na krasiego i pojechał. Mlynarce, która go bardzo lubiła, coś się po jego odjeździe, bardzo ciężko na sercu zrobiło; rozplakała się serdecznie, i całując także płaczącą córkę, stały długą chwilę na dworze, i patrzyły za odjeżdżającymi.

MURZYN I OKOPISZCZAK.

MURZYN I OKOPISZCZAK.

Między dworzaninami księżnej na zamku, był stósownie do mody zeszłego wieku, karzeł i murzyn. — Nieszczęśliwemi były te istoty, z bardzo naturalnej przyczyny: z niezwykłości. Bo niezwykłość, jeżeli nie zatrważa olbrzymią siłą; w ciemnej gawiedzi budzi chęć, pośmiéwania i psoty. Anioł z niebios, gdyby zleciał na ziemię naszą, to by go obskubano — a oskubane piórka ludzie-by sobie przypinali, pragnąc zostać aniołami. — Karzeł jeszcze jak karzeł. Chociaż złośliwy, i jak gadzina ciągle od wszystkich dręczony, mógł przynajmniej w pokojach księżnej znaleźć schronienie. Tam, byle tylko się dostał, był pewnym, że uniknie zaczepki. Ale murzyn biedny, przydzielony służbie zamkowej, największe od niej cierpiał przykrości. A co najgorsza, nie mógł się z prześladowcami swemi ujadać, nieumiejąc dobrze po polsku.

Nieraz pieniał się ze złości, bełkocąc niemieckie i francuzkie przekleństwa; któremi dawał powód do śmiechu i nowych zaczepk. Był bowiem księżnie darowanym, czy sprzedanym od jakiejś pani general-leitnantowej saskiej, która go z sobą, z podróży zkadś tam z za morza, przywiozła. Niedokuczał mu, kto sam niechciał. „Ty czarny diable— ty czarcie osmalony“— to były jego zwykłe tytuły. Szczególniej zaś płodnym w wymyślaniu przydomków dla niego i psot złośliwych, był przed wszystkimi pan Grzegorz, czyli Grzesio. Za jego namową, rzucała czeladź zamkowa biédaka w wodę, żeby się obmył; za jego doradą, chwytano go i smarowano wapnem, żeby wybielał. Rzewne cuda z nim wyrabiano. Takie prześladowanie, wywarło na gorącej, afrykańskiej krwi, nieochybny skutek. Charakter marzyna był mściwy, ponury; zemsta tylko niemocą krępowana, czychała na sposobności. Wiara nie łagodziła groźnych jego namiętności; bo bez niej był wychowanym na wielkim świecie, jak psina pokojowa, albo małpa lub inne stworzenie, dla rozrywki pańskiej chodowane.

Niemiał przyjaciela, niemiał nawet istotnego zatrudnienia; o czémże zatem miał myśleć, jeżeli nie o środkach zaspokojenia ślepych namiętności swoich

Jednego tylko znał człowieka, równie jak on, spodlonego i prześladowanego; równie jak on nienawidzącego ludzi, w pośród których żył; a nim

był żyd rudy jedno-oki, dozorca żydowskiego smentarza, czyli okopiska, a najzaciętszy wróg wszystkich ekimów, to jest niewiernych. Jemu się mógł zwierzyć, i skarżyć przed nim; bo żyd lubił słuchać złorzeczenia ekimom.

Ach, ekimów on nie cierpiał! z całej duszy i z serca. Nienawidził ich jako pogan, co wierzą w Trójcę świętą, którą żydzi Trójbogiem mienia; — bo wierzyli w wykład wiary, wychodzący z Rzymu, a Rzymianie zburzyli kościół Salomona; zburzyli państwo Dawidowe! Więc w każdej modlitwie błagał Boga: o poniżenie wyniosłej Romy, o pogniębienie jej zwolenników. Co piątek wieczór, przy modlitwie brał prózną łupę z jaja i prosił Boga, aby wszystkich ekimów, tak słabemi i niedołężnemi zrobił: jak oną łupinę, aby ich naraz zgnieść można! Patrząc w świeczkę szabasową, przed którą wielką pieśń Salomona niezrozumianą, pochylając się na oba boki, mruczał; prosił Boga, aby wszystkich niewiernych w on płomyk szabasowej świeczki zamienił, aby ich jednym tchem zagasić można!

Takim był żyd okopiszczak, jedyny przyjaciel murzyna. Najważniejszą zaś przyczyną, że go stary żyd polubił, było: że murzyn był obrzezanym; a zatem podług wszelkiego prawdopodobieństwa, nie ekimem trójbożnikiem, lecz mahometaninem, wyznawcą Boga jedynego. Właśnie siedział na przyspie wieczorem i dumiał nad narę-

dem swoim i przeklętymi goimami, kiedy nadszedł z boku murzyn.

— Choć ze mną nad Wisłok. Dziś przed świtem złowiłem dla ciebie w sadzawce zamkowej szczupaka dużego, i zaniósłem go w krzaki nad rzekę. Tam zawadziłem go na miątkę brzożową; puściłem w wodę i przywiązałem do łoży; jeżeli jeszcze żyw, to sobie go weźmiesz na jutro, na szabas; zaprawisz cebulą i pieprzem, to i ja zjem dzwonko.

Niech ci Bóg da zdrowie na 120 lat i błogosławieństwo dzieciom twoim! odrzekł mu żyd stary; wstał i poszli oba, biorąc się około wielkiej bożnicy, około bramy miejskiej nazwanej żydowską, około łaźni żydowskiej z studnią o wysokim żurawiu; brzegiem starego wisłoczyska, w łożowe krzaki. Właśnie chciał murzyn odwiązać rzucającego się, łokciowego szczupaka, kiedy usłyszeli głos ludzki na drugim brzegu.

Był to Grzesio. Odczepiwszy się psów i Marcisia, szedł prostą drogą; łamiąc sobie głowę, jakby się tu pomścić. Już był na moście przez Wisłok, kiedy sobie przypomniał: że tam młodzież miejska nienawidząca go, i zawsze do szydzenia skora, stoi; a on dworzanin zamkowy, bez czapki i obszarpany!— Wrócił się i szedł wzdłuż brzegu rzeki krzakami łożowemi, aż do brodu wprost naprzeciw zamku. — Tam się rozebrał, zgrzytnął zębami z boleści i wstrząsł się z gniewu i wściekłości, maczając wodą bolejące guzy i basy po

głowie, karku, twarzy, rękach i plecach. Kiedy wlaź w wodę, stęknął z bólu i począł w głos złorzeczyć Bartłomiejowi, młynarzowi i Marcisiowi.

Murzyn z żydem, przyczajeni w krzakach z obawy odkrycia kradzieży szczupaka, wysłuchali stękań i złorzeczeń; a widząc z poza krzaków ciemne hieroglify po karku i plecach białych Grzesia ubierającego się o kilka kroków, odgadli prawdę.

Gdyby kto murzyna był na sto tarantów wsadził, nie byłby go tak uszczęśliwił, jak odkrycie: że Grzesio zбитy; bez czapki i w obszarpanym żupanie, ukradkiem do zamku wraca. Po oddaleniu się jego, wybiegł z za krzaka i począł skakać i w ręce klaskać; aż się na ziemię kładł od śmiechu niepohamowanego. — Żyd podjął szczupaka, włożył rękę w dziurawą kieszeń opończy, i tak ukrytego, trzymał pod suknią; a napomniawszy murzyna do uciszenia się, wracali do miasta. Przez całą drogę stawał murzyn co chwila, śmiał się i chichotał, jak małe dziecko, nie zważając na upominanie żyda— a w końcu pożegnał go i pobiegł do zamku. — Zwykłym sposobem, za pomocą lekkiiej drabinki, ukrytej w pokrzywach, wylazł na basztę z ocienionej strony; zrzucił drabinę za sobą, i skradł się pod okno Grzesia na dole w ofieynie. Grzesio zaś krzakami i dołami do zamku się przekradłszy, wylazł podobnie na basztę; z tamtąd do izby i położył się w łóżko.

Murzyn widząc okno ciemne i eiszę do koła, czekał chwilę, wreszcie się także spać położył.— Ale niesposób mu było oka zmrużyć. Każdy okrzyk czaty u zwodzonego mostu przy bramie, powtarzany za każdym uderzeniem godziny na wieży zamkowej, budził go, i przez otwarte okno, mógł każde słówko miejskich stróży noenych wyrozumieć, co chodzili ulicami z halabardą w ręku, i przeciągłą melodyą, jakby dumkę podolską śpiewali donośnie. „Posłuchajcie gospodarze, wybiła już północ na zegarze; strzeszcie ognia i złodzieja, chwalcie Boga, w nim nadzieja!“— A jeżeli nie śpiewanie stróży, to kury na odmian piejące, szczekaniem i wyciem psów, młyn szumiący, hukanie bąków na stawie, i żab rzegotanie; a czasem sowa chrypliwie sycząc: jak gdyby się zmówiły, niedać spać murzynowi. Przed świtem dopiero usnął na chwilę, ale się wnet obudził.

Księżna i cała służba dworska, jeszcze dobrze spała, a on się spuścił z baszty i pobiegł do młyna. Młyn jak zwykle męł na wszystkie eztery kamienie. a chłopiec młynarczyk krzątał się to koło pytla, to koło kamienia, to koło łotoki.— Właśnie wyszedł wodę zastawić, żeby kamień omieść, kiedy psy na murzyna zaszczekały. Odpędził je, i wysłuchawszy zmyśloną potrzebę: jako-by go Grzesio przysłał po zapomnianą wczoraj czapkę; roześmiał się, i pobiegł do młynicy, a murzyn za nim. Tam mu oddał czapkę z boberkiem, pęknio-

na z boku, aż klaki wylazily, i spory płat kontusza cynamonowej barwy, który pan włodarz Żyłowski swojemu Grzesiowi na wielkanoc sprawił. Murzyn wziął płat i czapkę, wypytał się o wszystko, i pełen radości, pobiegł nazad do zamku.

Grzesio był synem naturalnym pana Onufrego Żyłowskiego, którym go jakaś hoża pokojowa żony jego, obdarzyła; co nawet wedle podania złych języków, miało być głównym powodem zmartwienia i przedwczesnej śmierci nieboszczki jego, której imie ludzie z czcią i żalem wspominali.

Był zaś pan Żyłowski wielkiego wzrostu, kościasty, trochę dziubaty, burech oczu i podstrzyżonego wąsa. Ponure wejrzenie jego, zwykle w ziemi tonęło. Wszyscy przed nim drżeli, bo miał u księżnej wdowy, matki i opiekunki trzech małoletnich synów Chorążego, nieograniczoną wiarę. Kiedy mówił z nieznanymi alboż księżną, uśmiech obłądy igrał po szerokich ustach; a ostre długie zęby i dziąsła czerwone, widzieć się dawały, czyniąc jakieś niemile wrażenie. Oczyma tylko czasem na chwilę błysnął. Dla księżnej i pana Tyńieckiego, pod którego kontrolą włodarzył dobrami rzeszowskiemi: był podłym niewolnikiem, dla gości słuźalcem, a dla poddanych tyranem. Księżna go miała za skarb nieoceniony.

Był pan Żyłowski jak już wiemy, wdowcem bezdzietnym; prócz swojego pobocznego syna Grzegorza, którego kochał nad życie, i dla którego nie

jednego dukacika i talarka złożył. Przekonany zaś, że miejsce włodarza dóbr, wcale dobrą jest posada; jako zapobiegliwy ojciec, najprzód umysł księżnej oswajał z myślą: że z Grzesia będzie dobry gospodarz. Często go brał z sobą, objeżdżając folwarki, by się uczył gospodarstwa. Czasem przecie, kazał mu zostać w domu; nigdy jednek nie zapomniał nahaja potężnego i dużego psa burego z koleczastą obrózką, na grubym karku. Pies ten był jego nieodstępnym towarzyszem. We dnie pod stołem, w nocy przy łóżku jego leżał.

Niech Bóg tego ma w swojej opiece, ktoby temu psu śmiał wyrządzić przykrość jaką. — Rano, po oniej nieszczęsnej dla Grzesia nocy— sam pan Żyłowski wypuścił psa z izby, gdyż drapaniem tego zażądał; a ponieważ poranek był piękny i słońce prosto w drzwi zaświeciło, zostawił je otworem; zawołał na chłopca usługującego, przeżegnał się i zaczął mówić pacierze. A trzeba wiedzieć, że nigdy nie opuścił rano i wieczór zmówić 5 pacierzy. Mówił je zaś po łacinie wszystkie 5 naraz w ten sposób: Pater noster, pater noster, pater noster, pater noster, pater noster— quies, quies, quies, quies— itd.

Właśnie klepał akt wiary i mówił już: passus est, passus est, passus est— kiedy pies jego szybko wbiegł do izby prosto ku niemu. Na żelaznej obróżce miał przyczepiony płat z kontusza Grzesiowego.

Przerażony stanął i wytrzyrzył oczy na dobrze mu znaną materyę— a Pontius Pilatus uwiązgnął mu w otwartej gębie.— W tój samėj chwili wszedł kozaczek jego, niosąc wodę w wielkiej miedzianej mydlnicy i spory kawał mydła.— Piorunując zagrzmiął ku niemu głos pana Włodarza, wskazującego na psa. Kto to zrobił? Chłopeczyna przestraszony, mało mydlnicy nieupuścił, i spoglądając trwożliwie na pana, z którym zarty niechodzily, rzekł: To murzyn. „Zaraz niech tu przyjdzie“, krzyknął pan Włodarz, tupiąc nogą o podłogę. Chłopiec wyszedł schylony, i za chwilę wrócił z drżącym murzynem. Pan Żyłowski tymczasem kończąc *Credo*, zdjął charap z kropielniczki, gdzie go zwykł był wieszać, i krzyknawszy na wchodzącego murzyna:— Ty pogańska duszo! jak ty śmiał to robić?! nie czekając odpowiedzi, zaczął go batem smarować, gdzie się udało. Murzyn aż podskoczył z boleści i jęknął przeraźliwie: To wczoraj Grzesia w młynie zbili.

— Zbili?— Grzesia zbili zdziwił się pan Żyłowski, ustając murzyna smagać— zbłądł i trzęsąc się z gniewu, zapytał surowo kto go zbil?— Murski Bartłomiej rzeźnik. — Rzeźnik! mieszcuk! cham! pogańska dusza! bił mego Grzesia?!— śmiał podnieść rękę na moją krew szlachecką!!?? — gdzie on jest?— Zaraz mi tu przyprowadzić tego pogańskiego syna!— zje on mi sto par djabłów! nauczę ja go Grzesia bić— hajduk!

Hajduk w białym, opiętym mundurze z czerwonymi wypustkami, stojący już za drzwiami, wszedł wyprostowany jak deszczka, schyliwszy się do ziemi, rzekł: Niech będzie pochwalony! Żyłowski za nadto był rozjuszony, aby mógł odpowiedzieć: na wieki — tylko głośno zawołał: „Zaraz mi tu Murskiego przyprowadzić, i przygotować ciężkie kamienie do kobylicy — 50 nahajów na gołej ziemi, aż piasek będzie gryzł — potem na cały dzień na kobylicę — po pół centnara u każdej nogi — a potem na 3 dni do piwnicy, bez kawałka chleba i ździebła słomy!“ Taki zabrzmiał wyrok kary na Murskiego.

Hajduk nie przerywając, wysłuchał mowy pana Żyłowskiego — potem dopiero rzekł: Kiedy on poszedł do konfederaków do Jaćmierza.

— Poszedł do konfederaków?

Prawda! rzekł pan Żyłowski, i ponuro marszcząc czoło, dodał: Grzesia mi wołać! a teraz chyba jeden z drugim. Murzyn splakany najprzód — za nim kozaczek, w końcu hajduk sążnisty wyszli jeden za drugim; kłaniając się pokornie, a Żyłowski siadł w dużym poręczowym stołku. Chwilę już siedział i dumał i czuprynę ręką do góry głaśkał — a pies leżał mu u nóg i patrzył w niego z bojaźnią, nieśmiejąc się przymilać.

Przyszedł w końcu Grzesio; ale to już nie ów przystojny, wesoly Grzesio, z lekka zakrzywionym noskiem, błyszczącym czarnym okiem i przyglądzo-

nym włosom; ale pochylony, oczy podbite i czerwone, twarz zapuchła i zsiniała; na rękach i czole sińce. Drzwi uchylił tylko tyle, aby się zmieścił; wszedł nieśmiało i z bekiem do nóg ojcu swemu, którego zwykle „Jegomość“ tytułował, upadł jak długi, całując obie nogi i powtarzając: o mój jegomość kochany o mój dobrodzieju najukochańszy! Pan Żyłowski zczerwieniał się na smutny widok swego jedynaka; łzy mu w oczach stanęły i rzekł łagodniej: Kto cię to tak skrzywdził Grześio?

— A Murski Bartłomiej, ten rzeźnik.

— A za co to?

— Alboż ja wiem?— A gdzie to?—

— W młynie.— Cóż tam robił.— A ja sobie tam poszedł trochę, a on mnie tak zbił i psami poszczuł, że mi cały kontusz cynamonowy poszarpały.

— Wiem o tém.— A za cóż on cię tak zbił, czyś mu co powiedział?—

— Ja go ani nie widział, on wyskoczył na koniu i zaczął mnie bić.

— A cożeś wtedy robił, kiedy on wyskoczył na koniu? rzekł pan Żyłowski, niecierpliwiąc się.

— A ja nie robił — ja tylko rozmawiał z Jagusią—

— Cóż to za Jagusia?—

— A Jagusia młynarza córka.—

— A to jaka mała jeszcze, czy już wielka?

— A już wielka—

— A to ma młynarz już wielką córkę?—

— A ma—

— A ładna ona?—

— O bardzo ładna!—

— Bardzo ładna?— A wieleż ona może mieć lat?—

— A może z 19cie—

— 19cie lat już! proszę; a ja nic nie wiedział, że młynarz ma już tak dorosłe dzieci.— On tylko ją jedną ma?—

— Jedną tylko, proszę—

— Proszę — powtórzył pan Żyłowski. Coraz bardziej udobruchany.— Bo to pan Żyłowski był człowiekiem, jak to mówią: nie z kamienia.— Najślabszą stroną jego było serce— kiedy ładna kobiéta do niego zapukała.— I wiedzieli o tém ludzie, i nieraz kiedy przyszli z prośbą jaką do niego, czy to ze wsi o zapomogę, czy mieszczan jaki o uwolnienie od strofu jakiego, lub o poczekanie podatku; powypędzał, powyrzucał za drzwi— i cud-to był wielki, jeżeli kto prócz policzka lub kułaka, co więcej uzyskał.— Ale jeżeli jaka ładna, młoda kmiotka, w białym rańtuchu, siwym gorsecie, w koralach z krzyżem, lub hoża mieszczka w krótkiej przyjaciołce i ładnym kornecie poprosiła o co, i za kolana ścisła, i w rękę pocałowała; topniało serce jego jak lód od wiosny, i nie mógł odmówić prośbie.

Wiedziały o tém szczególnie niewiasty i dziewczęta— i nieraz ładna wyszczerzycha, a zaczepnica do tego, dokazywała z nim i żartowała tyle, że by 2 chłopów za to na śmierć był zasmagał. Słowem była to jego słaba strona. I teraz, kiedy mu powiedział Grzesio, że to o ładną Jagusię chodziło, mniej się gniewał na Murskiego, za jego, jak się domniemywał, zazdrość; tém bardziej, że nad konfederatami niepodobna zemsta. Ciekawość tylko i chęćka silnie się odezwała w nim. Zapomniał o zemście, zbył czém mógł Grzesia, i przemyślał nad sposobami zaspokojenia swój ciekawości.

Że w sprawie z podwładnym młynarzem niewiele korowodów potrzehywał, łatwo odgadnąć. Popołudniu zaraz był w młynie. Z groźną twarzą wszedł tam i pytał się młynarza, ktoto śmiał tak skrzywdzić Grzesia. Młynarka załamała ręce, kiedy ujrzała potentata, zajeżdżającego konno przed młyn; ale widząc go mniej rozgniewanego, nabrała otuchy i opowiedziała rzecz całą.—

— A gdzież to jest ta Jagusia wasza, co mi za nią mało niezabili chłopca?

Młynarka widząc, że rzecz nadspodziewanie dobrze idzie; zresztą jak każda biedna matka rada się popisać ładną dziewczką swoją; zawołała na nią, a gdy przełękłe dziewczę przyjsć się wahało, poszła i przyprowadziła ją za rękę, mówiąc:

— A idźże przeproś Jegomości.

— Jagusia nieśmiejąc oczu podnieść, przystąpiła do pocałowania buta — kiedy pan Żyłowski przemówił:

— No popatrz-że się przecie na mnie ty bałamutko. Ja nie Grzesio niegrzeczny.—

Rada nie rada, biedna dziewczyna, podniosła oczy łzawe, a panu Żyłowskiemu aż się mdło zrobiło koło serca, tak ładną była. Bo to świeżutka i rumiana jak łątowa wiśnia, a usteczka: że trudno było patrząc na nie, nie myśleć o pocałowaniu; a trudniej jeszcze przychodziło panu Żyłowskiemu udawać zagniewanego.

Bywało dawniej, że przy mniej pięknych dziewczętach, daleko mu się gorzej obrywało niż Grzesiowi. Zsiadł więc z konia, obejrzał młyn, pochwalił porządek, a przypatrzywszy się jeszcze raz młynarzance, odjechał pokręcając wąsa, z postanowieniem: bodaj gwałtem wzięcia Jagusi do służby na zamek. Wrażenie, które zostawił, było różne. Młynarka się cieszyła i dumnie spoglądała na swoją Jagusię; Jagusia była rada, że się kłopotu pozbyła, a młynarz westchnął i był smutnym przez cały dzień.

W kilka dni potem, przyszła stara klucznica dworska do młyna, mówiąc: że księżna ją przysłała po Jagusię, którą chce widzieć, a może i zatrzymać u siebie na pokojowej służbie. Zaczęła oraz wyszczekana baba, zachwalać to nadzwyczajne szczęście, jakie spotyka dziecko biednego mły-

narza, i że jój wszystkie mieszczyki będą zazdrościły.

Z przerażeniem słuchała młynarka niemiłego żądania, i mimowolnie chcąc sobie dopomódz, rzekła: Jagusi niéma w domu, bo jest u ciotki w Babicy.

— O! nieoszukacie wy mnie, odrzekła jój stara, wiem ja dobrze, że ona jest tutaj; a kiedy jój młynarka nie dała w izbę zaglądnąć, gdzie młynarz poszedł przestrzedz dziewczynę: odeszła, odgrążając im obojgu.

Nazajutrz przed świtem jeszcze stał wóz 3-konny, zaprzężony, na którego młynarka z Jagusią siadły, a za nimi błogosławieństwo skłopotanego młynarza. Woźnica zwrócił na tyczyńską drogę, aby na Sielce zjechać do Babicy. Ale nie tak to łatwo było otumanić pana Żyłowskiego. W pół mili koło przewozu na Białej, stał hajduk w mundurze i 3-graniastym kapeluszu; a mimo próśb i płaczu, mimo ofiarowanych mu 6 sznurków kořali, zawrócił ich na przewóz ku zamkowi.

Pierwsza osoba ludzka, która ich na dziedzińcu zamkowym zdybała, była stara klucznica, w zielonej, kuczabajowej spodnicy; niosąca faskę jakąś w prawej, a pęk kluczy w lewej ręce. W złośliwym śmiechu pokazała zęby mocno przerzedzone, i zawołała kiwając głową pomarszczoną.

— A witamy, witamy gości z Babice — cóż Jadziu, jakże się tam córka miewa, czemużeś to tak rychło wróciła? — i t. d.

Młynarka i córka zapłakane, nie odzywały się do niej, tylko szły za hajdukiem; który je w długi korytarz poprowadził, i przed drzwiami pana Żyłowskiego, widząc że go niema w domu, czekać rozkazał. Czekwały dość długo, i już się dowoli napłakały, gdy usłyszały głosy kobiece, zbliżające się ku nim. Była - to księżna ze swoją ochmistrzą; za niemi karzeł z batożkiem ugaśniał się za pieškami.

Nowy promyk nadziei blysnął młynarce— i jak się księżna zbliżyła, upadły jój obie do nóg, i z głośném płaczem prosiły o miłosierdzie i cofnięcie danego wyroku służby. Księżna niewiedziała o niczém, i zdziwiona, słuchała próśby; kiedy karzeł śmiejąc się i przykuczając, całą jój rzecz wyjaśnił, mówiąc:—

— Ale bo - to za tę ładną jedynaczkę niedawno Grzesia rzeźnicy zponiewierali kańczugami; za to, ażeby się pomścić, pan Żyłka chce ją dla siebie na garderobianą, żeby go ubierała i rozbięrała.

Księżna się rozśmiała; a stara ochmistrzyńni tém zgorzszona, wygadywała na niemoralność pana rządcy; do którego w sercu swoim czuła odrazę, że niechciał jój afektu ku niemu zrozumieć. Koniec końcem, księżna kazała im pójść do domu, a hajduk dostał nakaz: żeby się nie ważył im marnego słowa powiedzieć, ani téż żadnej przykrości wyrządzić młynarce i córce jój. Powtórnie upadły

jěj do nóg, ucałowały obie i wyszły z zamku zwracając się już nie do Babicy, ale do młyna. Pan Żyłowski jak się dowiedział o tém, pienieł się ze złości; lecz cóż było robić, obawa narażenia księżnie i skutki tego, przemogły. Niemniej i Grzesio uradowany, że nie będzie mógł nękać i prześladować niewinną ofiarę pustoty i złości swojej, aż zębami zgrzytał. A co mu najboleśniejším było, to te ciągle drwiny murzyna, którego w końcu dopadłszy, zbił, jak to mówią, na kwaśne jabłko.

KONFEDERACYA SANOCKA.

KONFEDERACYA SANOCKA.

W Jaćmierzu tymczasem zjechała się tłumem szlachta i wszyscy ci, co do konfederacyi należeć chcieli. Chojnackiego obrano marszałkiem. Jak gdyby na wesele, tłumnie i ochoczo, zalali dwór i miasteczko; a każdy miał u boku szablę, a w olstrach lub za pasem pistolety.

Mnóstwo kobiet przyjechało na pożegnanie. Podczas, gdy matki po kątach łezki ronily; panny i śmielsze mężatki, przy hucznej kapeli hasały wesoło z obrońcami ojczyzny, albo patrzyły na wojenne popisy.

Gdy nadbięgl goniec z wiadomością: że Puławski już w pochodzie; wyruszono naprzeciw niemu szczęśliwie, około południa, wśród dźwięków muzyki, płaczu dziewic i niewiast, a błogosławieństwa matek i starców.

Prowadził rej pan marszałek Chojnacki; obok niego jechał pan Rudnicki na tęgim, gwieździstym

gniadoshu, z miną poważną; ręką w bok podparłszy swą wspaniałą postać. Dalej jechał stary, chudy szlachcic białowłosy i białowąsy, w zielonym żupanie i żółtym kontuszu. Na piersiach dźwigał zbroję starą i narękawki stalowe po łokieć. Niósł chorągiew strojną herbem sanockiej ziemi, i Matką Boską Częstochowską.

Za chorągwią jechała starszyzna, kilku jako towarzyszków husaryi narodowej; lecz ogół w zwykłej odzieży: kurtkach i żupanach, wszyscy przy szablach. Pomędzy nimi byli obaj mieszczanie rzeszowscy. Z tyłu szły wozy, których część większą, mianowicie kuchnię Rudnickiego, wysłano przodem na stanowisko.

Po dwumilowym marszu wypoczęli, bo wielu tak było strudzonych jazdą: że musiało wsiąść na bryczki, a nawet i do domu odjechać. Tylko stary chorąży, nie zdjął zbroi z piersi; słowem i przykładem zawstydzał zniewieściałą młodzież. Tak ciągnęli krętymi drogami, pomiędzy bujne łąny i ciemne lasy naprzemian; wciąż dalej i dalej, aż pod Sufczynę; gdzie drugi nocleg odprawili.

W Sufczyźnie zetknęli się z Puławskim. A było to rano i przed samą cerkwią. Po przyzwolonym z daleka i bliska przywitaniu, rozłożyli się obozem, na miejscu spotkania się pomiędzy cerkwią i karczmą.

Pan Rudnicki, wierny swém zasadom, rozmawiając o potrzebach rzeczypospolitej i konfедера-

cyi barskiej, kazał właśnie pozdejmować puzderka z winem i śliwownicą ku rozgrzaniu żołądka w chłodny poranek, kiedy się w dzwonnicy ozwały dzwony cerkiewne.

Najprzód dzwięczał najmniejszy, cieniutkim dziecinnyim głosem, zwabiając serca do domu Bózego. Drugi grubszy, niby rozumnymi słowy, namawiał: aby człek ukląkł, i oddał cześć i chwałę Panu. W końcu trzeci, najgrubszy, zabrzmiał potężnie, rozkazując śmiertelnikom w proch twarzą upaść i krusząc wolę i jaźń własną, korzyć się przed Stwórcą wszechmocnym i strasznym Panem zastępów ziemi i niebios. W końcu się wszystkie połączyły razem i zgodnym dźwiękiem kruszcowej swęj piersi, głosiły światu: że się rozpoczyna uroczystość chwały i służby Boga. Jęczące brzmienia rozniosły się w koło, a nabożni ludzie odkrywszy głowę, zegnali się znakiem męki Pańskiej, rzucali pracę i spieszyli do cerkwi.

Kazimierz Puławski wspomniał sobie ojca swego nabożnego, który nie rozpoczynał bez poprzedniego wezwania pomocy Boga; zwróciwszy się ku przytomnym, rzekł: Najprzód pomódlmy się Bogu. Nie czekając na drugich, obrócił się ku przybytkowi Pana, odkrył głowę, zmaczał rękę w święconej wodzie, zrobił krzyż święty i wszedł do cerkwi. Za jego przykładem poszli wszyscy, a pan Rudnicki przymknąwszy spieszno puzderko

z esencją tokajską i śliwowicą, kwapił się za nimi, chowając kluczyki w zanadrze.

Kilku jednak wyuzdańców wzgardziło domem i służbą Boga, a między nimi Giżycki z Taliowki, ten sam, któremu pismo: rozmowa króla z kancle rzem w obronie Baru, zdradę zarzucało. Znany-to był krzykacz i postrzeleniec, który tchórzem podszyty, za junaka chciał uchodzić. Konfederaci go nie lubili, bo był niedowiarkiem i żartował z księdza Marka i cudów jego, mianowicie po pojmaniu i uwięzieniu przez Rosyan zakonnika tego natchnionego wiarą i poświęceniem. Kiedy więc konfederaci szli do cerkwi, mrugnął Giżycki na kilku równie jak on bezbożnych, i udali się między wozy. Wydobywszy sakwy z jadłem i baryłki z napojami, popasali w szopie opodal od cerkwi, wśród sprośnych żartów i hałasów.

W cerkwi bożej zaś, ksiądz stareńki i siwiutki jak gołąb wychodził ze mszą żałobną, o którą pan Puławski prosił za duszę ojca swego i konfederatów poległych. Po mszy świętej Puławski, odwiecznym sławian zwyczajem, złożył trzy bułki chleba, jako objatę za dusze zmarłe, zgiął pokornie kolana, pochylił głowę podczas, gdy kapłan Boży palił wonne kadzidło i śpiewał psalmy z Trebnika bułharskiego, zaczynając parastes zwykłymi słowy: „*Placzu i ridaju jehda pomyszlaju smert...*“ potem psalm dziewięćdziesiąty „Kto się w opiekę podda Panu swemu“, dalej psalm *Boharodyczen*—

gdzie między innemi stoi: „Milszy mi zakon ust twoich, niż tysiące złota i srebra“. W końcu błagał „*hospodyna o spasenie duszy raba Jozefa*“ i wszystkich druhów jego. A orszak djaków z poddajczkami nucili im „*Wiecznaja pamiat*“ powtarzając śpiew swój coraz to żałobniejszymi głosy. Cała drużyna konfederacka modliła się klęcząc lub stojąc i prosiła Boga o ojczyzny zbawienie i powodzenie, prosiła za sobą i swoimi.

Tylko kilku onych pustaków pijanych z Giżyckim, naigrawali się z Boga i służby jego, jak gdyby się mogło cò stać, mimo woli Stwórcy, jak gdyby sprawie której służyli, niepotrzebném było błogosławieństwo Pana zastępów! W tém! gdyby na okazanie gniewu Boga, nadleciał wichur szalony, a ponad niem czarny obłok. Wichur zawył i skręcił się w tuman gniewliwîe, a czarny obłok wypuścił piorun i rozplątał suche, rosochate drzewo trzy kroki od szopy, w której pustacy bluźnili. Jaki taki przelękniony, przykląkł żegnając się krzyżem świętym, tylko Giżycki pijany nieukląkł. Zerwał się pijanica szalony, wyciągnął pistolet z za pasa, odwiódł i krzycząc: Ty do mnie, ja do ciebie! wystrzelił w chmurę. Obłok odpowiedział ponurym rykiem, jak gdyby chciał wyrzec: Czekaj! zuchwalczel! przyjdą na ciebie straszne sądy Boga.

Na strzał wybiegli konfederaci z cerkwi i zgorzszyli się wielce bluźnierstwem opilców. Byliby ich na szablach roznieśli, gdyby nie ksiądz stary i

kilku pocziwych ludzi, co się za nióm wstawiali. Ludzie to pobożni i kmiotkowie, jako ruś słowiańskiego obrządku, co ich zbudowało nabożeństwo. Puławki i Rudnicki gorszyli się i mówili między sobą: *Za toho laszka pohanoho, bude hospod haraw wsich dobrych ludziw i panyw.*

Po nabożeństwie nasi dwaj mieszczanie poszli oglądać obóz konfederacki, który w samęj rzeczy ciekawy widok przedstawiał. Wśród natłoku wozów i koni, bez wielkiego ładu i porządku grupami stojących, siedziało i stało przy ogniach na prędcie roznieconych kilkaset ludzi najrozmaitszėj broni i odzieży. Tu towarzystwo konnicy narodowėj, niegdyś hussarya i pancerni sama szlachta, rozmawiali przy winie lub kontuszówce, opowiadali szlachcie o potyczkach z Rosyaninami, o oblężeniu Baru, Berdyczowa i Okopów św. Trójcy nad Dniestrem, miasteczka przez króla Jana III założonego, bratali się z Sanoczanami i Przemyślanami. Tam ułani królewscy i z różnych pułków pozabierani pili z piechotą królewską o harcapach i trójgraniastych kapeluszach, lub grali w karty z dragonami ubranymi w łośiowe kurty i palone buty, a bośniacy w czerwonych feschach i niebieskich hajdawerach, gawędzili po swojemu i rozmawiali z jańczarami tureckimi, co się pod Żwańcem dobrowolnie do nich przyłączyli. Kilka kuf wódki i parę beczek piwa ożywiało obóz, prosięta i gęsi piekły się na drewnianych roznach, a nim się obiad

zgotuje, skracano sobie czas rozmową i grą w karty. Grano zaś w trzydzieści i oko, albo w straszaka o czterech żydówkach czyli szantałach licytując i pędząc się wzajemnie na wyższy grosz; Ćwiek także był w robocie, i niejednen co wpadł w labet, prócz kary zapłaconej, musiał znosić żarty i pokpiwania od swych towarzyszy. Bięda wyglądała łokciami i podeszwami, ale mimo to, była mina tęga i dziarska, było goło lecz wesoło.

Zajęty niewidzianém widowiskiem, chodził i stawał nasz rzeźnik młody z założonemi w tył rękoma, pomiędzy tą ciżbą ludzi i koni do proporców, wozów i płotów poprzywiezywanych, niemógł się nacieszyć i niemógł się napodziwiać. Już był przeglądnął prawie cały obóz, już zbliżał się ku karczmie, kiedy pan Rudnicki potężnym głosem zawołał nań po imieniu i przezwisku. Bartłomiej zdjął czapkę z głowy, przyskoczył i pokłonił się nisko.

— A gdzie tam łazisz mój panie Bartłomieju, pan Puławski chce cię widzieć i żebyś mu coś o twoim Rzeszowie opowiedział. Trzymajże się ostro, żebym się nie powstydział za was mieszczan.

— Dobrze Jaśnie Panie!

Puławski i starszyzna byli na probostwie, gdzie ich ksiądz pleban ruski, na śniadanie zaprosił. A miał go zaco zaprosić, skoro panowie Puławscy byli obrządku greckiego i Podolanie jego tak samo, z Ukrainy także kilku, a wszyscy coś na ofia-

rę w cerkwi dawali. Kto miał pieniądze rzucał hojnie na patynę, która jeszcze tyle dukatów, talarów i tymfów na swém posrebrzaném łonie nie widziała. Niektórzy kładli pierścionki złote i srebrne, a dwóch szlachty pasy słuckie złociste na dwie strony, ofiarowali do cymborium na firaneczki i na sukienki Sanctissimi.

Lecz i bez tego wszystkiego stareńki pleban był im z duszy rad; bo to był prawdziwy i nieobłudny kapłan i sługa Boży, bo widział ich szczerze modlących się.

Bartłomiej wchodząc, rzekł pokornie: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, i skłonił się w koło, stary pleban i przytomni odrzekli: Na wieki amen, a Puławski Kazimierz wstał i podał mu rękę, którą rzeźnik z uszanowaniem ucałował.

— Witamy, witamy mieszczana i obywatela Rzeszowa! A dużo was tam takich?

— Za pomocą boską, znajdzie się dosyć!

— Więc wy podemną chcecie służyć?

— Tak Jaśnie Panie hetmanie! Pisze się na to i Wielmożny pan Rudnicki i Jaśnie Oświecony książę. Bo my wszyscy chcemy być Moskala a nie radzić.

— Więc wiécie, że drudzy chcą tylko radzić?

— Wié cały świat, że panowie co się pod Muszynką zjechali, nie myślą z tamąd wyruszać, ale chcą radzić i czekać, aż Drewicz ku nim przyjdzie. Jak téż Moskwa przyciągnie już do Mu-

szynki, to téż już całą Polskę ma; a cóż wtedy pomogą rady! — Późny żal po niewczasie! —

— Dobrze mówi! rozumnie mówi! zawołali przytomni.

— Któż was wyczył tych zdrowych myśli pocziwych?

— A któżby! Po Bogu ksiądz gwardyan Reformatów i stary nasz Jakub, woźny miejski a niegdyś towarzysz króla Leszczyńskiego — i Jaśnie Oświecona księżna pani z Głogowa, a matka Jaśnie księcia Marcina. Nasza księżna Chorążyna to ją bardzo nienawidzi za to: że jak mówi, buntuje ludzi; lecz ludzie dobrzy proszą Boga za nią.

— A co, niemówiłem! przerwał Rudnicki, z puderka swego, czerwonym suknem wyklejonego, dobywając potężnej flachy garncowej. Nalał tęgi kielich bez nogi i zawołał: W ręce obywatela rzeszowskiego a naszego towarzysza broni, co pod nikiem niechce służyć, tylko pod samym panem Puławskim....

— Niech żyje Wielmożny Kazimierz Puławski, regimentarz konfederacyi sanockiej ziemi! przerwał marszałek Chojnacki! —

— Niech żyje!! krzyknęli wszyscy jak jeden.

Pokłonił się Puławski w koło, nieco zmieszany tak doraźną elekcyą, — podziękował za darowane mu zaufanie, ale dodał stanowczo i powtórzył: że nie przyjmie żadnej godności nowiej, dopóki się z marszałkami pod Muszynką nieporo-

zumi. Nie przeszkodziło to jednak, aby w całym obozie zabrzmiało potrzykroć jednogłośnie: Niech żyje Kazimierz Puławski regimentarz sanocki! a Sanoczanie zakłinali się na ciało i duszę, że nieścierpią nikogo innego, że tylko z Puławskimi chcą walczyć za wolność, szlachecką wiarę i ojczyznę.

Bartłomiej zakłopotany zbytciem grzeczności pana Rudnickiego, powtórzył wzniesione zdrowie i wypił duszkiem. Ostatnią kroplę wylał za paznokiec wielkiego palca i wypił mówiąc: Ostatnią kroplę krwi za panów Puławskich.

Puławscy podziękowali mu ściśnieniem ręki, poczem Kazimierz wziął podany puchar, szepnął coś Chojnackiemu w ucho i zawołał żwawo: Zdrowie Wielmożnego Rudnickiego, pułkownika dywizyi sanockiej.

— Niech żyje!! powtórzyli obok stojący, i na dworze obóz cały.

— Pan Rudnicki się skłonił i podziękowawszy, pił zdrowie obywatela miasta Rzeszowa a konfederata barskiego i wszystkich braci konfederatów: „Kochajmy się!“ i pocałował Bartłomieja a za nim pan Puławski i wszyscy.

Potem postawił stary kapłan krzyż na stole i dwie świec jarzących; a pan Puławski Franciszek, starosta Łomżyński, czytał akt i przysięgę konfederacyi barskiej; a szlachta, Sanoczanie i na-

si dwaj Rzeszowiacy, powtarzali słowo w słowo, punkt za punktem, związkową przysięgę.

Przysięgam Panu Bogu w Trójcy Świętej jedynemu! Najświętszej Pannie Niepokalanej! Wszystkim Świętym— Patronom korony polskiej, i Tobie głowo kościoła Chrystusowego, Ojczy Święty Papieżu:

1. Wiary św. katolickiej-rzymskiej własnym życiem i krwią obligowany każdy bronić.

2. Żadnych gwałtów, rabunków między katolikami, żydami, ani osobiście, ani przez subordynowane osoby nie powinien czynić.

3. Komendy każdy słuchać powinien, wiernie rozkazy pełnić, choćby z azardem życia było, oraz karze za występki ściągającej się podlegać; zaś sama komenda ma surowo zakazać, aby w obozie żadnej kobiety nie było.

4. Chorągiew katolickiego sprzysiężenia jedna najpryncypalniejsza: Pan Jezus ukrzyżowany na łamie złotej lub srebrnej, drugą najświętszej Matki na takimże dnie. Inne pod znakiem krzyża św. być mają, których - to chorągwi osobiwie dwóch najpryncypalniejszych trup na trupie padając wydrzeć sobie nieprzyjaciółom wiary świętej niedamy.

5. Hasło generalne, Jezus Marya.

6. Żadnej korespondencji ani porozumienia czynić nie będą z nieprzyjaciółami wiary św., tudzież z nieprzysiężonemi katolikami.

7. Każdy sprzysiężony rycerz nie powinien mieć więcej koni, tylko parę. Pistolety, pałasz, proporczyk, pocztowego z całym moderunkiem, kogo stać będzie, oraz znak krzyża św. na boku lewym i czapkę według danego modelasza, wierzch ponsowy; nie pierwój go ma przyjąć, aż na generalnym zjeździe. Lecz gotową powinien mieć z sobą czapkę tatarską wysoką, a mundur zielony cały, lub granatowy; więcej zaś ekwipażu ani wozów, nie wolno oprócz komendantom.

8. Chorągiew każda być ma stokonna, złożona z samych rycerzów sprzysiężonych; oprócz szeregowych, których oficerów czterech być ma, t. j. rotmistrz, porucznik, chorąży, strażnik, trębacz i dobosz.

9. Płaca nasza Chrystus i Opatrzność jego najświętsza; który zaś będzie w sytuacji wsparcia i dopomożenia drugiemu, obligowany jest do pomocy.

10. Furaż niewiększy i prowiant ma być wybierany tylko, gdzie generalna komenda brać i wiele każe.

11. Komendant ma być obrany z serca i afektu; inni oficerowie przez losy, którzyby chorągiew krzyża i hasło prowadzili. Każdy komendant ma przysiądz na wierność, miłość i posłuszeństwo.

12. Żaden luter, kalwin, schyzmatyk nie będzie przypuszczony do tej konfederacyi. Sekretów nie

objawiać żadnej osobie, ani żonie, ani matce, ani żadnej kobięcie.

13. Każdy powinien zachęcać drugich i obli-gować.

14. Na zdrajców kara i śmierć.

15. Pieczęć na piersiach orła: Pan Jezus u-krzyżowany i pałasz w szponach, z napisem: albo „umrzeć albo zwyciężyć“.

16. Każdy od Boga zaczynać i przenajświęt-szemi sakramentami kończyć ma: Unikając wszel-kich zbrodni, żyjąc w czystości sumienia; a tak Pan Bóg da tryumfować nad nieprzyjaciółami imie-nia swego i zawstydzi ich hańbą przed narodami; któremu niech nieustaje cześć i honor, a nieusta-nie brzmieć w ustach prawowiernych katolików chwala jego. Jezus Marya Józef.

Po skończonej przysiędze daño śniadanie, na którym przed innemi przysmakami, kielbasy rze-szowskie walczyły o pierwszeństwo ze zbaraskie-mi, równie jak gomulki z mięta, szły w zapasy z węgierską bryndzą, a schaby i wędlina z sar-niemi łopatkami i drobiem. Wina o mało co nie-zabrakło, bo to się piło, począwszy od zdrowia biskupa Krasińskiego, zdrowia marszałków i regi-mentarzy, szlachty i mieszczan, prawie bez koń-ca.— Pan Rudnicki jak się rozpił, to mu niemożno było nastarczyć dolewać. Podczas tego, szła poga-danka, i nasz Bartłomiej, na powszechne żądanie, opowiadał po swojemu (ku wielkiemu pocieszeniu

wszystkich) o swoim Rzeszowie i swęj księżnie Niemkini, o gwardyanie starym konfederacie i jego towarzyszu Jakubie Woźnym. A Rudnicki się nim cieszył, aż go całował i podobno o mało co nie spoił. Już kończono śniadanie i proponowano karty, które pan Puławski po hurcach z moskalami i ćwiczeniach rycerskich, dla rozrywki lubił: kiedy wielka wrzawa i krzyki w obozie, wszystkich uwagę zwróciły.

Otoczone tłumami konfederatów, jechały dwa wozy z półkoszkami, pełne butów, a kilku szewców z miasteczka Rybotycz sąsiedniego, sławnego po całej koronie polskiej wyróbnami obuwia swojego, klęcząc lub siedząc oganiało się ściągającym gwałtem buty z wozu. Kilku pancernych pomagali obronie; lecz to wszystko niebyłoby pomogło, gdyby pan Puławski niebył sam wyszedł naprzeciw. Na jego widok odstąpili napastnicy a zapoceni szewcy: złożyli dar patryotyczny swoich współobywateli miasta Rybotycz, i prosili aby ich przyjąć do związku.

Pan Puławski uradowany, podziękował im, a pan Rudnicki pił zdrowie rybotyckich obywateli i nowoprzybyłych Sodalisów i wszystkięj braci konfederatów.

Po rozdaniu obuwia, zawołał pan Puławski: konia. A miał konia karego tak zwinnego: że mu tylko siwka niejakiego pana Bilskiego wydołała. Siadł na niego, wielu poszło za jego przykładem,

między niemi i Murski, dumny ze swego krasego, co popasiony i napojony wraz z kasztankiem, wesoło odrzewał i białą nóżką grzebał. Przyciągnął popręg zwolniony, zrobił kańczukiem krzyż na ziemi, splunął od uroków, siadł i wmięszal się w ruchliwą grupę jeźdźców. Wtém pan Puławski dosiadł karego i krzyknawszy: „dalej kto pierwszy u figury!“ puścił się błoniem. Figura była o parę tysięcy kroków. Pierwszy, kto przypadł do niej, był B. M. Krasny o 3 prawie łokcie wyprzedził karego a o 6 siwego. Pan Puławski aż się zapomniął, wszyscy się zdziwili i otoczyli krasego, który stał i nozdrza czerwone roztwierał, rzucając się w tę i ową stronę; jak gdyby niezadowolniony ze zbyt krótkiej mety.

„A no! udało się wam tą razą,“ rzekł pan Kazimierz Puławski do Bartłomieja, „ale nazad do pierwszego wozu!“ Zwrócili. Tuman się wzniósł za niemi; wmgnieniu oka przybiegli, a najpierw znowu Bartłomiej na swoim krasym. „Tam do karta!“ zawołał pan Kazimierz, „niespodziewałem się tego; niepozorny koń i jeździec, a zawstydza nas wszystkich!“ Spróbowali jeszcze kilka razy, a zawsze to samo. Pan Puławski się zaczął palić do krasego, chciał go drogo odkupić, ale B. byłby za żadne skarby w świecie, nie dał swego krasego.

Po gonitwach, zaczęto strzelać z pistoletu w pełnym biegu konia; Bartłomiej także szczęścia próbował; w Jaćmierzu trochę przeciwiczony i choć

raz i nie drugi chybił, jednak w końcu czasem trafił, bo dobrze na koniu siedział i oko miał dobre. Szablą wywijał ot tak, niby kańczukiem; ale mu powiedzieli, że to o nie więcej chodzi, tylko aby śmiało natrzeć a dobrze rąbnąć, co on już z rzemiosła doskonale umiał. Tak tedy naharcowawszy dowoli, powrócili na swoją gospodę. W wieczór była wielka narada, i uchwalono: aby się brać węgierskim traktem na Dynów, Krosno do Biecza, a ztamtąd do Muszynki; albo może i wprost do Krakowa i Częstochowy. Nazajutrz przed świtem zagrano, uderzono w tarabany, i cała konfederacya pana Kazimierza Puławskiego na czele, puściła się w dalszą drogę, podziękowawszy wprzód księdzu plebanowi za jego gościnność; zostawiając długie pasmo przypomnień ludowi wiejskiemu w Sufferynie.

50 BATOGÓW.

14*

50 BATOGÓW.

Młynarz zdziwiony niespodzianym powrotem żony i córki, nie dzielił radości ich, z powodu wdania się księżnej w tę sprawę; wolałby był ich widzieć okrom tego, bezpiecznych w Babicy. Przeważał on, że pan Żyłowski się będzie mścił, a wiedział: że gniew jego nie żarty. Zaczął więc przemyśliwać, jakby się zabezpieczyć od tego. W dwóch tylko rzeczach miał styczność z zamkiem, w mlewie grębli z mostem. O mlewo był spokojniejszym, ale co grobla i most, te mu na sercu leżały. Wiedział że są, jak zwykle w Polsce, w złym stanie, a naprawić je, nie było w jego mocy; nie miał ani robotnika, ani materyału. Tak jedno jak drugie zależało od miasta, które je powinno było dostarczać. Zamek tylko miał nadzór nad miastem, a o ciężarach nie wiedział.

Wdział zatém siwą, staropolską sukmanę z czerwonymi wyłogami i sznureczkami; założył wysoką, baranią czapkę z białymi wstążkami, wziął w rękę grubą trzcinę z rzemykiem u srebrnego uszka; przeżegnał się święconą wodą i poszedł na ratusz.

Ratusz, jako wielka chałupa z pruskiego muru o piąterku i wieżycy na zegar, był jak maszyna jaka, lub fabryka w pełnym ruchu. W sieni zaraz na wchodzie, gdzie obok starego tarabana wiszącego i halabart na kółkach w ścianie, hajduk z halabartą po straży chodził, uderzyła cię mocna kratka w podłozie. Było to okno od turmy podziemnej, w której największych zbrodniarzy chowano. Wówczas t. j. roku 1769 siedział tam niejaki Kamicki za rabowanie kościołów; później kołem łamany na Przybyszowskiej górze, gdzie teraz męka Pańska, a wtedy stała murowana szubienica i 2 pale ostre. Smutne tylko westchnienia przez kratę zapowiadały światu o życiu nędzarza, który niechciał szanować praw stowarzyszenia ludzkości. W kordygarni bili hajducy bykowcami wrzeszczącego złodzieja — i ostrzygali głowę płaczącej nierządnicy; a mnóstwo żydów, w najrozmaitszych sprawach kręciło się po korytarzu. W izbie ksiąg, siedział pisarz miejski i zapisywał w wielkie księgi miejskie, kupna i sprzedarze domów i ogrodów: *cum sadis plotis rabetis arboribusque*, a w izbie zwanój: dębowe, ławy — Rajce miasta i ławnicy, odwilżali

gardła miodem w cynowych dzbankach, od przypadku koło każdego z nich na ziemi stojącym — radzili nad potrzebami miasta swego. Pan wójt Marcin Klimkiewicz przewodniczył, a stary Jakub woźny, siedział w pierwszej izbie pod piecem i niuchając tabakę z ciemną z rożka u pasa, z użytych już gęsich skrzydeł, branych od szkólnika żydowskiego do omiatania prochów, z zabitych na szabas gęsi; wyciągał pióra, które potem w atramencie z dębówek maczane, przysparzały albo ujmowały niejednego śmiertelnika mienia.

Wawrzyniec Luđera, udał się najpród do niego:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki.

— Dzień dobry Panie Jakubie.

— Dzień dobry; a co tam powiecie młynarzu.—

— Ja też przyszedł prosić łaski panów wedle tego mostu.

— Wedle jakiego mostu?—

— A jużćić wedle mostu koło młyna. Trzeba by co pomyśleć o nim, bo już dyle bardzo zbutwiały; ja się obawiam, żeby się Panie-broń pod lada kim niezałamały.

— Prawda, że on-to już kilka lat nienaprawiany.

— O i z okładem trzy lata.

— Oj! trudna to pono sprawa będzie, zauważał stary Jakub, ciągnąc z całej siły pióro z zaschłego skrzydła, trudna, bo to do samego pana burmistrza należy. A pan burmistrz teraz kamienicę muruje i dodał, racząc tabaczką młynarza, (który ją na odwrotną od dłoni stronę ręki przyjął i z wielkim smakiem zażył) i sam niuchając... i.... prędzój złoto i srebro zobaczy, niż pana burmistrza Baczyńskiego. I wzniosłszy głowę z otwartą gębą, kichnął aż szyby brzękły..... — Sto lat zdrowia! odpowiedział mu, i sam kichnął młynarz.

— Proszę na pogrzeb!— a widzicie że prawdę mówię....

— A widzę, widzę— dodał młynarz, lzy z oczu ocierając dłonią— ale cóż tu robić?— kieby choć z parę dylów, tobym sam most naprawił.

Tak, tak, dylów..... tać ich tu było podostatkiem i dębowe nawet, ale pan burmistrz ich zabrał, bo mu się do jego domu przydały. Ale poczajcie; pójdę ja do pana pisarza, pogodom z nim, to on na pierwszym targu kupi.

— Pogadajcie też, pogadajcie jakeście dobry. I wstał stary Jakub wspierając się lewą ręką, omiół kapotę swoją skrzydłem gęsim, zgarnął nogą w kąt swój gęsi towar, i pomaluśku po schodach zużytych, poszedł do pana pisarza. — Za chwilę wrócił i przyniósł obietnicę pana pisarza, kupienia dylów na najbliższym targu; a młynarz zaprosiwszy pana Jakuba do młyna na pszenną

pyzę z świeżem masłem i na miodek dobry, odszedł uspokojony.

Minał jeden targ, minął drugi, a dylów jak niebyło, tak niebyło. Nadarmo chodził co drugi dzień na ratusz i do pana wójta. Zamiast po winnych dylów, burę tylko odbierał za to, że się naprzyksza. Podczas tego, przybiegł konno zadyszany podstarości z dóbr księżnej, z nowością: że Puławski i konfederaci od Dynowa ciągną.

Księżna przelękniona, kazała natychmiast pakować. Dwie bryki ogromne obładowano samą garderobą. Długo-ogoniaste szasty, robiony, szamerluki i szomprzy; wszystko do gorsu i na obręczach, ogromne pod nie rogówki wycięte, podobniejsze do wiatraka, niż do spodnicy; dalej jupki, szustokory, karakinki, bruswille jako suknie wierzchnie, a ogromne szyniony t. j. czupidla płucienne, pakułami wypchane, z przyprawami włosyma, a pudrowane króchmalem, przez skórę przesiewanym, opięte — dalej kornety, duety itd. itd. na głowę... za niemi krocie angażantów, alamedów, burdalonów, butonierów, halsbandów, inderaków, brandeburów, ormentelów itd. itd. — cudzoziemskich szmatek, latek i świecideł tyle: że jeżeli je chceć wszystkie spamiętać, to głowa z cokolwiek polskim muzgiem, nieochybnie zaboli.— Wszystkie te jedwabie, obręcze, puchy, kłaki i blaszki, jak zwierzęta przed potopem, kręły się w ogromne, cztero-kołowe arki, aby wyjść na jaw

w Warszawie i zdziwionym gapiom dworskim gęby na ościesz pootwierać.

Cały ten kram obozu mody, a za nim wozy z leguminami, eskortował przodem Grzesio, aż do granicy dóbr księżnej.

Sama księżna nałajawszy dowoli biędne dziewczęta respektowe i *kamerkacle*, siadła szczęśliwie w landarę ogromną, ośmiokonną, na której samego żelaza kilkanaście centnarów było, z swoją głupią, chudą ochmistrzynią, która pieski ulubione niosąc, czułém spojrzeniem i czulszém jeszcze głosem: *Au plaisir du revoir!* (co znaczy: do miłego widzenia), żegnała także dziubatego a obojętnego dla niej p. Żyłowskiego.

W drugą taką landarę niby arkę Noego, siadły panny i kamerkacle z papugami i kanarkami; a w trzecią karzeł i Leib-kamerdyner Placer z pościelą, bańkami do wygrzewania — itd.

Murzyn został dla utrzymania porządku mebli i pokoi.

Woznica księżnej z *harcopfem* w 3-graniastym kapeluszu, palnął z bicia, forysie powtórzyli toż samo, a dwóch laufrów, opięto i lekko ubranych w strusio - pierzaste berele, rozpedziło się przodem, smagając batami w koło i trzaskając aż echo oddawało. Galopem leciała cała kawalkada po dyłowém bruku miasta, jarosławską bramą przez zwodzony most na Wisłoku, prosto na lichy most pod młynem.

A był to most szczéropolski. Na kilku pa-lach wbitych w koryto strugi, leżały podwaliny, a na tych w poprzek niepoprzybijane dyle i okrę-glaki, ruszające się z osobna pod kołami wozów. Poręcz słaba, uchylała się w kilka-sążniową prze-paść. Ciężkie bryki z rzeczami, ostrożnie i powoli jadąc, -jakoś przejechały szczęśliwie z wielką po-ciechą młynarza, który z młynarczykami, jak mógł popodpierał słabe dyle.

Właśnie podstawiali podpórki, naprędce wy-szukane pod najslabsze miejsca, kiedy usłyszeli trzask bicza i turkot 8-konnój, ciężkiej karety. Sko-czył młynarz czémprędzej zatrzymać wodę, aby się konie szumu nie zlekły— i z odkrytą głową sto-jąc, uspakajał psa na łańcuchu— kiedy konie całym pędem na mostek wjeżdżały. Znane przysłowie: „Polski most, niemiecki post, żydowskie nabożeń-stwo, wszystko to błazeństwo!“ nie zawiodło. Bo ledwie ogromna karéta przednimi kołami na śro-dek mostu wjechała, zapadło się z lewej strony pare przegniłych dylów, kareta się przechynęła i z pewnością wraz z słabą poręczą byłaby wpadła w wodę, gdyby nieprzytomność woźnicy. Czując bowiem przechylenie, zaciął konie z przeciwnój strony; te szarpnęły tém samém, i skręciwszy dy-szel, wprzódy prawe, potém lewe koło wyciągły, a zad zwrócony już trochę krawędzią, wylomu, przeszedł szczęśliwie.

Księżna i jej ochmistrzyni, przełknięte okrutnie, krzyczyły ze strachu: *Ach Herr Jezus*. Pan Żyłowski, który konno przy powozie jechał, ze skoczył z konia, chcąc przytrzymać powóz, który atoli już był w bezpieczeństwie. Stangreci zatrzymali konie, a rozgniewana księżna wyglądając z karety, ujrawszy Grzesia powracającego z konwoju, zawołała na niego:

— *Gregos! 50 batof daj młynarzofi natychmiast! a ty panie Syłofski, obracając się do nadchodzącego, mókłbyś lepiej pamiętacz o porzątek szebym niepotrzebyfala życia narażać fe sfych fłasných dobrach.*

Zmieszany pan Żyłowski, chciał się uniewinniać, ale księżna się odwróciła od niego, i zawołała na stangreta: *Jedz, a ostrosznie*, potem Grzesiowi powtórzyła jeszcze raz: *50 batof! natychmiast na moszcze.*

Grzesiowi aż oczko radością zabłysło na tak miłą wieść. Krzyknął na hajduków — i nim księżna małe stajanko od młyna do powicienskiej karczmy na wzgórzu ujechała — doszły ją jęki biednego młynarza. Grzesio bowiem zemsty spragniony, własną ręką co mu sił stało, smagał nahajem biedaka, aż się wił jak robak zdeptany, ziemię i własne ciało kąsał z okropnej boleści. Jęki jego i nieszczęsnej żony i córki, nadaremnie załamujących dłonie i targających włosy, których hajducy bez miłosierdzia bijąc, oddalali, w więk-

szą go jeszcze wściekłość wprawiały tak: że mu się aż piana z ust toczyła. Za każdym razem krew młynarza przez odzież wytryskała; a jęki stawały się coraz słabszemi, wreszcie począł tylko chrypliwie charczeć i to coraz ciszej!.... kiedy przecie mściwa Grzesia ręka sił odmawiając: ustała. Młynarka zemdlona, leżała z sińcami po twarzy, ocucala ją Jagusia, a Grześ w zapale wściekłości zawołał:

—Ej! kieby-to jeszcze twojemu rzeźnikowi taką łaźnię sprawić, spokojnie-bym umierał!

—Oj i tak przepadniesz marnie, Pan Bóg cię skarże za naszą krzywdę!

Grześ przyskoczył i silnie ją w twarz uderzył. Jagusia krzykła, a on tryumfując, wsiadł na konia i odjechał.

Bolesny krzyk dziecka, matce siły przywrócił. Pierwsze jęć słowo było: Wawrzyniec żyje? Żyje! odrzekła córka. Matka zapłakała i lżęć się jęć zrobiło. Obmyła się podaną wodą, wstała i z córką wraz za pomocą kilku ludzi litościwych, konającego prawie młynarza zaniósł do młyna i położyły na skromnej łożczyni. Po zmyciu posiekanego ciała wodą ocknął się z boleści ale mówić nie mógł. Kilkakrotnie zapadał w niemoc i ledwie w kilka przepłakanych dni i przesłęczanych nocy: żona i córka uspokoiły się cokolwiek widząc ustające niebezpieczeństwo śmierci. Za radą chłopca z Albigowój, słynącego: że umiał nogi złamane napra-

wiać gorzałką często obmywane, a później masłem niesioném i pajęczyną; w końcu dla przegryzienia skóry zjątrzonej, slazowym liściem okładane ciało, goiło się powoli.

W trzy tygodnie mógł o kiju wyjść do kościoła. Prowadzony pod ramiona od żony i córki, zawlókł się do klasztoru OO. Bernar., z tamtąd do kaplicy przed obraz na gruszcze, kmiotkom objawiony wystawiający Najśw. Pnę, po dziś dzień cudami słynącą. Tam na marmurowej posadzce, krzyżem leżał młynarz z żoną i córką podczas, kiedy ksiądz gwardyan wotywę śpiewał, na którą złożyli: dukata z Matką-Boską, długo chowanego i kilka razy na 3ch króli wraz z ambrawą, mirtą i gromnicą poświęcanego. Młynarka błagała przeczystej, cudownej dziewicy o szczęście męża i dziecka. Jagusia ofiarowała opiece Matki-Boskiej rodziców i Bartłomieja kochanego. A młynarz stary, skrzywdzony, niemą modlitwą błagał o zemstę!! Najokropniejsza to z wszystkich klątw—podług żywej wiary polskiego ludu—jeżeli kto pokrzywdzony, na intencją o zemstę do nieba wołając, w wielką niedzielę pości, albo przez całą wotywę krzyżem leży. Kara boża pewnie go nie minie. Po wotywie powoli, nie wstępując do nikogo, zawlókł się do młyna.

Zdrowe z przyrodzenia ciało, wzmagało się widocznie i przybierało dawną czérstwość, ale duch był zmieniony. Oko jego tonęło w zie-

mi, a jeżeli spojrzęło w niebo, to chyba wołając o pomstę do nieba. Po całych wieczorach z opartą oburącz, ociężałą głową siedząc, zapadał w czarno-dziką zadumę, która się rzadko łączyła z częściej zgrzytnieniem zębów i ściśnięciem pięści, kończyła.

Żona jego i córka także pomizerniały.

Biędną Jagusia osobliwie, nędznie widocznie i schła, jak młoda latorośl wiosennym mrozem owarzona. Jeden tylko jeszcze promyk zabłysnął czasem w zasmuconej duszy: promyk miłości. Wtedy mimowolnie westchnąwszy, nie bronila z czystej źrenicy jeszcze czystszej lezce spłynąć po zbladłym licu na niewinną pierś, w której serce boleśnie pukało.

Po całych wieczorach z opartą główką na lewej, a prawą ręką na serduszku, okienkiem wyglądała w stronę ku Jaćmierzowi. Codziennie wieczór westchnęła do cudownej Matki-Boskiej rzeszowskiej,— i ofiarowała Bartłomieja Jój świętej opiece.

**POTOCKI JOACHIM
I PUŁAWSKI.**

POTOCKI JOACHIM I PUŁAWSKI.

Świętej pamięci Józefa Puławskiego mogiła na mohilewskim—stepie, pozieleniała i okwitła!— Biedne jego dzieci, nadludzkiem wysileniem wytrzymały natłok zastępów moskiewskich, podczas, gdy dwaj z nich widocznie pod opieką Boga zdolali ująć; najmłodszy z nich popadł niewoli i zapędzon za Wołgę, z krakowskimi jeńcy razem zapłakał. — Tureckie nadzieje widocznie pełzły na niczém: a Joachim Potocki podczaszy litewski, ani zemsty uśmierzyć zdołał, ani uwierzyć w siłę żywotną narodu, której żywym wyrazem byli: Puławscy, nie chciał. W Puławskich, co cały naród chcieli poruszyć, widząc burzycieli, społecznych pojęć i stósunków, mienił i głosił ich zdrajcami i wrogami kraju; a byli ludzie, którzy mu wtórowali. Nie tak sam kraj i naród.

Więc się utworzyły dwa patryotyczne, królowi i moskwie przeciwne stronnictwa, Potockiego wyczekujące obcej pomocy, Puławskiego pragnące czynu samodzielnego, narodowego.

Książę Marcin Lubomirski, pełen poświęcenia szczerego, w Krakowie i pod Makowem uczył swą wojenną nieporadność. Uczucie to, upokarzające całą jego uwagę, zwróciło ku dzielnym a prawym Puławskim, których męstwo i obrotność wojenną podziwiał i wielbił. Więc sam z własnej dobrej chęci, podawał im rękę niosąc w pomocy całe miennie i wpływ swój cały obywatelski i marszałkowski. Napisał téż do Francyi, zmawiając do wojska związkowego zdolnych oficerów.

Potocki Joachim przeciwnie, w oddaleniu jeszcze prześladował ich do ostatka, przez swych wysłanników i sprawców. Do pierwszych należał: Bohdanowicz, do drugich: Bierzyński. Za ich zachodem ogłoszono walny zjazd konfederacki pod Muszynką; sądy zawezwano i księcia Marcina, który sam ten zjazd z początku popierał.

W dobrodusznosci swój sądził książę Marcin, że zjazd ten uznając marszałkostwo jego krakowskie, pójdzie za jego dobrą radą; w otwarte ramiona przyjmując sławą wojenną okrytego Puławskiego Kazimierza, jemu powierzy główne regimentarstwo. Chcąc zaś przygotować wcześniej potrzeby wojenne, z ramienia swego mianował rotmistrza swego Bojaneckiego poborcą podatków

wysłał na komendy, za ludźmi, przyborami i żywnością.

Bojanecki, ulubieniec księcia, posłannictwo swoje pełnił nietylko z bezwzględna szorstkością, lecz nawet niesumiennie. W Opryszowie majątny ksiądz Stadnicki umierając, pieniądze schował w skarbcu kościelnym. Był to człek skąpy, konfederacy niezyczliwy. Bojaneckiemu w pobliżu bawiającemu, dano znać o śmierci i skarbach księdza zmarłego; przypadł, dobrał się do skarbcza, który wypróżniwszy jeszcze zabrał konie przydatne i rzędy na nie. Oburzył tём duchowieństwo.

Nie więcęj miru miał tęż i Wny Rucki stolnik pilźnieński dziedzic wsi Małěj. Wybierając pobory, ochraniał majątki osób przyjaźnych, i ogółem nierównie rozdzielał ciężary, więc go tęż znieawidzono wraz z jego podpoborcami: Kozłowskim i Pstrągowskim. Do tego nie spieszył się z oddaniem pieniędzy wybranych, dusił je w kieszeni i samėj nawet konfederacy nieprzysparzał pożytku. Wątpliwą nawet było rzeczą, do którego on właściwie należy stronnictwa.

A stronnictwa oba wzrastając w siły, coraz bardziej przeciwko sobie występowały. Stronnicy Potockiego kwapili się pod Muszynkę, kędy w poselstwie od Potockiego, Joachima z świeżem kieli chem goryczy dla Puławskich, przybył oboźny generalny znany Bohdanowicz. Przywiózł on wyrok na Puławskich: wzywający całą Małopolskę do

wytopienia zastępów dzielnych i poświęconych, które mienił zdrajcami i wrogami kraju.

Książę Marcin oświadczył się za Puławskim. Więc też Bierzyński nieuznając powagi regimentarskiej księcia Marcina, ani Paryssa, z swego znowu ramienia porozesłał poborce i komendy ku zbieraniu furazów i wypraw.

Książę Marcin nieprzypuszczał nawet w myśli, że Potocki upiera się w błędnym swym zapatrywaniu. Dziecko rodziny, w dziejach polskich poświęceniem jaśniejącej, według siebie sądził Potockiego, przypuszczał błąd chwilowy, lecz niezawistny. Więc wszystko kładł na karb winy Bierzyńskiego, pragnącego znaczenia i zaszczytów. Aby więc poskromić pychę jego, wydał uniwersał następujący:

Jérzy Marcin, hrabia na Wiśniczu i Jarosławiu, na Wielkim Połonnym, Barze, Lipowcu, Kolbuszowej i Grodzisku; świętego państwa rzymskiego książę, generał - lieutenant wojsk koronnych, marszałek prześwietnego województwa krakowskiego, orderu św. Huberta, kawaler. — Wszem w obec..... oraz całemu wolnemu narodowi tak w koronie, jako też i Wielkim Księstwie litewskim..... do wiadomości podaję.

Kiedy pod pozorem konfederacyi, różne swawolne kupy ludzi próżnujących, własnego swego zysku szukających; różne podatki i dochody, tak skarbowe Rzeczypospolitej, jako i od prześwietnej

konfederacyi uchwalone, wybierać i one z ostatnią ujmą władzy mnie powierzonej, marszałkowskiej! do rąk swych zabierać poważają się. Więc zapobiegając takowym niesłusznosciom i bezrzędom, niniejszym uniwersałem województwo krakowskie, księstwo oświęcimskie i zatorskie obwieszczam.

1. Aby wszystko, przez kogokolwiek uczynione exekucye, *quovis titulo* wybrane pieniądze, furáže i wiktuały zarejestrowawszy i do grodu mnie na miejsce podawszy, gdzie się znajdować będą, odsyłane było.

2. Wszelkie obywatelów lub mieszkańców, do czyjejkolwiek bądź komendy miane pretensye, też zarejestrowawszy, mnie odesłać zalecam.

3. Ostrzegam, iż ktoby-kolwiek ważył się palety lub wybory jakie, po województwie krakowskiem czynić i wymagać, a nie był ordynansem i dyspozycją moją, lub regimentarza mego generalnego: Jaśnie Wielmożnego Kazimierza Puławskiego, starośty zazulinieckiego, do tego umocowany i takiemu nietylko nic niedać; ale żeby chciał gwałtem wymagać, odpór dać, jako żadnego ku temu prawa nie mającemu — zalecam i przykazuję.

4. Wszelkie poczynione od komendy mojej podziśdzień exakcye, aby też zarejestrowawszy, mnie ekstraktem przysłane były.

5. O przystawienie wypraw i łączenie się: Jaśnie-Oświeconych, Jaśnie Wielmożnych Ichmościów

na rany boskie, na miłość ukrzyżowanego Boga, wiary, ojczyzny i wolności, obliguję i zapraszam! Że zaś kassa nasza szczupła: na afekt wzwyż wyrażony, zaklinam: ażeby każdy z JOO. JWW. WWielmościów dziedziców, jakiembądź prawem dzierżących dobra; aby w przeciągu dni 12 od dziśdnia, każdy z dochodów swoich od 10,000 intryaty swój, jeden tysiąc do komendy mój przystawił. A to pod surowością grabieży wojskowej! — Zaklinam na sumienie! zbawienie duszy! aby nikt nieważył się jakimkolwiek pozorem odłączać, lub dochodów swych umniejszać ilości i tać sprawiedliwego dochodu. Idzie albowiem ten podatek na obronę téj wiary, którą Syn Boski zaszczepiwszy, krwią swoją najdroższą, odkupił i umocnił. Idzie o tę wolność, którą nasi przodkowie krwią swoją zafarbowawszy, życiem i majątkami utrzymywali! Bądźcież JOO. JWW. Wielmożni Bracia i Dobrodzieje ochotni! przystawiajcie na wsparcie jak najprędzej wyznaczone posiłki. Bóg i Ojczyzna będą wam wdzięcznymi.

Oświadczam się niniejszym uniwersałem przed Bogiem i światem: iż najmniejszej krzywdy czynić nie chcę, ani każę. Bezpieczeństwo wszelkie w marszach i kontramarszach zapewniam; oraz zalecam: ażeby, jeżeli najmniejsza stanie się krzywda, jako najprędzej do mnie, lub do komendy regimentarza mego generalnego, dawano znać.

Wszelkim rządcom i skarbowym urzędnikom niniejszym uniwersałem przykazuję: aby znajdujących się w Województwie krakowskiem, prowentów kumor Rzeczypospolitéj, pod utratą życia i honoru! nikomu, chyba do mnie albo regimentarza mego generalnego, do tego umocowanego, bynajmniej nie wydawali kassy. Którento uniwersał, aby do prędszej każdego przyszedł wiadomości, zalecam, ażeby wszelkie jurysdykcyje w miastach, miasteczkach i wsiach, spiesznie obwieszczali, pod nieochybną i surową exekucją nieczyniącym zadość niniejszemu uniwersałowi. Wielebni księża, dziekanie, proboszcze i plebani z ambon i przybiciem na drzwiach kościelnych, do ogłoszenia tego uniwersału mego obowiązani.

Działo się 7 kwietnia 1769 w obozie pod Barwinkiem. (na granicy węgierskiej za Duklą).

Wny Antoni Grabski, chorąży związkowy krakowski, zaraz nazajutrz uniwersał ten zaciągnął w księgi grodzkie w Bieczu— a 13 kwietnia wpisany w księgi grodu sądeckiego.

Książę Marcin sądził: iż zapobieży rozdwojeniu konfederacyi małopolskiej. Joachim Potocki chcąc się koniecznie utrzymać przy władzy, przeciwko Puławskim postawił człeka zbyt przewrotnego i zuchwałego; aby mu książę mógł podolać, a człkiem tym był Bierzyński. Od Potockiego, równie jak od króla i Moskwy, będąc pewien nagrody, przebiegle jął się dzieła; licząc na słabost-

ki i niedoleźność szlachty małopolskiej pod Muszynką zgromadzoną. Zgromadzenie powiększanej części składało się ze sejmowych i trybunalskich dostojników, z których niektórzy mieli tytuły wojenne; lecz prócz Dzierżanowskiego, żaden nie był prawdziwym wojownikiem. Bierzyński wiedząc, że słabiąc wziętość księcia Marcina, tém samem poderwie nogi Puławskim: rozpoczął od krytycznego rozbioru działań jego wojennych i administracyjnych; poczem bez trudności utrzymał wniosek swój postawiony: aby księcia jako nieudolnego, złożyć z regimentarstwa małopolskiego. Dalej znając próżność i pychę rodową kilku panów obecnych, rozwodził się nad uchybieniem godności całego, przez wybory na marszałków, ludzi niemających, ani starożytnego rodu jak Paryss, Chojnacki.... Wzywał do uwzględnienia zasług pradziadów i rodzinnych.... W końcu generalicyą i jej porucznika, Potockiego Joachima stawiał jako prawy i jedyny rząd narodowy, jak jedyną władzę powstańczą. Przechwalał związki jej z zagraniczną dyplomacyą, zalecał posłuszeństwo i uwzględnienie kandydatów od niej podanych. Zjazd zaś pod Muszynką, podniósł do wysokości sejmu związkowego walnego, bo wcześniej rozpisanego zwołującami uniwersałami.

Zgromadzona szlachta uderzyła czołem przed jego słowy. Przystąpiono do wyboru nowych marszałków, a potem regimentarza małopolskiego, któ-

remu przydano konsyliarzy. Księcia Marcina zaś, Paryssa i Chojnackiego złożono z urzędów.

Marszałkami obrano: Ignacego Potockiego, oślawionego starostę kaniowskiego i czorstyńskiego, ruskim; Rafała Amora Tarnowskiego sandomirskim; Wilkońskiego zatorsko-oświecimskim, a generalno-małopolskim marszałkiem został: Szwarceberg z Witowie Czerny. Prócz wymienionych, przyłączyli się marszałkowie: Morzkowski, wieluński, — Cielecki, łęczycki, — Doliwa Głębocki, brzesko-kujawski, — Wereszczyński, chełmski, — Kossowski, podlaski, — i Dzierżanowski, gostyński wraz z konsyliarzami. Wszyscy razem generalnym swym regimentarzem czyli wodzem, obrali Bierzyńskiego!

Najpierwszą ich czynnością było: ogłosić światu, koronie i Litwie: że Lubomirski, Paryss i Chojnacki, nie są marszałkami, ani mają prawo wybierania podatków, wypraw i żywności.

Krom tego, marszałkowie złączeni do generalicyi związkowej, do Cieszyna a nawet do Wiednia rozpisali żale na księcia: że wyłamując się z pod zwierzchnictwa i władzy ich, łączy się z Puławskim, zdrajcą i wywołańcem.

W poparciu potępiających swych wyroków, Bierzyński z silnym oddziałem wyruszył przeciw Puławskim; a Bohdanowicz do Grodu w Bieczu podał manifest przeciwko Puławskim, obwiniając ich o nieposłuszeństwo generalicyi, o sprowadzeniu

Turków i Tatarów do Polski; o gwałt osobie swęj zadany pod Mohilewem; ogółem o zdradę!....

Puławscy o tēm wszystkiēm niewiedzieli. Złączeni z konfederacyą sanocką, ciągnęli w Podbieszczadzie, pełni otuchy: że w księciu Marcynie i Sandomierzanach znajdą pomoc, a złączywszy się z drugimi marszałkami, będą mogli rozpocząć walkę z najeźdźcą Moskwą, pomścić się krzywdy wyrządzonej Polsce i swęj własnej. Spiesznym pochodem zdążali do Biecza, zkąd ruszyli dalej pod Muszynkę, w celu porozumienia się z połączonymi marszałkami. Franciszek Puławski wiódł straż przednią.

Pod Kobyłanką zetknął się z Bierzyńskim, który mu zastąpił drogę w szyku bojowym. Franciszek Puławski zdziwiony, posłał trębacza, pytając: co to ma znaczyć? — Bierzyński odpowiada żądaniem: bezwarunkowego poddania się! w moc wyroku Joachima Potockiego stwierdzonego podpisem nieudolnego marszałka Krasieńskiego wraz marszałków złączonych. W razie nieposłuchu odgraża się siłą!....

Franciszek Puławski, ledwo 20-letni młodzian, oburzony takim postępkim, rozkazuje dobyć broni, i staje w pogotowiu. Już miała płynąć krew bratnia, bo Bierzyński pragnął jęj; lecz Morzkowski, jeden z marszałków złączonych, wzdrygnął się przed tą ostatecznością i odmawiając pomocy

bitnego swego oddziału, powstrzymał Bierzyńskiego zapęd, i skłonił go do ustąpienia ku Gorlicom.

Puławski Franciszek zwrócił się do Bieczy, dokąd téż zdążył i ksiązę Marcin z Parysem.

SĄDY KONFEDERACKIE

W BIECZU.

SĄDY KONFEDERACKIE W BIECZU.

Przy wjeździe konfederacyi do grodowego miasta Biecza, żelom i tarabanom, oraz komendzie konnej, głosem trąbki przerywanéj, wtórował uroczysty odgłos dzwonów, powołujący do służby bożéj. Wspaniałe *Te Deum* rozpoczęło nabożeństwo przy huku dział i palbachach ręcznéj broni, dziękowano Bogu: że się dozwolił złączyć ku obronie wiary świętéj i ojezyny ukochanéj. Po skończoném nabożeństwie, Ducha świętego wezwawszy o oświecenie umysłów; ruszyła szlachta przed stary grodzki dom.

Grodowe akta spoczywały. Bo tak jak podczas bezkrólewia, po ogłoszeniu zawiązanéj konfederacyi, ustawały sądy zwykłe; a ich miejsce miały zająć sądy kapturowe, związkowe; czyli konfederackie. Odwieczny bowiem obyczaj był

w Polsce podczas bezkrólewia, sędziom doraźnym w kapturach, na znak żałoby, nakazujący sędzić sprawy kryminalne wszelkie, aż dopóki sobie naród króla nowego nie obierze. Zwyczaj ten zachowywano w każdej konfederacji; lecz dla różnicy nazywano je „sądami konfederackimi“.

Zbrojno na koniach stały województwa złączone i każdy powiat wybierał z grona swego czterech sędziów — prócz tego, wybierały dywizye z swego grona sąd wojenny, składający się z każdej szarzy; a oba sądy zwały się w sąd konfederacki.

Pod gołém niebem, wedle dawnego zwyczaju, przed chorągwią konfederacką z odkrytą głową, podniesioną do przysięgi ręką lewą, a prawą na rękojeści szabli wpółwyciągnionej, przysięgali sędziowie na rotę sędziów trybunalskich, mówiąc donośnie każdy dla siebie:

„Ja N. N. przysięgam Panu Bogu, iż sprawiedliwie, wedle Pana Boga prawa opisanego, słuszności i kontrawersyj stron sędzić i rekognicye przyjmować będę. Na bogatego i ubogiego, przyjaciela i nieprzyjaciela, obywatela i przychodnia, żadnego względu nie mając; ani na przyjaźń, ani na nieprzyjaźń, ani na podarki, ani na przegroźki patrzeć i dbać nie będę; ale w sądeniu samego Pana Boga, prawa pisanego słuszności, kontrawersyj stron rekognicyj, i w tém wszystkiém sumienia mego rozsądku naśladować i słuchać będę.

dę; insze sprawy mnie należące, wiernie i wedle
możności mojej, czynić będę; praktykowania też
żadnych spraw z nikim czynić nie mam, ani prze-
strogi, ani rady dawać, ani podarków brać nie
będę; a iżem się też o to nie starał: abym był do
sądu obran; tajemnicę też sądu nikomu objawiać
nie będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i krzyż
święty Zbawiciela!”

Potem przez większość głosów, wybierali z po-
między siebie sądowego marszałka. Wszystkie gło-
sy zgodziły się na Kazimierza Puławskiego.

Młodzieniec ten ledwie dwadzieścia kilka lat
liczący, stał w zamyśleniu oparty na dzielnej swój
szabli; a blada twarz jego, nieskończenie wdzię-
czna wyrazem jakiegoś cierpienia mimowolnego a
szczerego, wyrazem cierpienia całej Polski uko-
chanej: zajaśniała żywym rumieńcem; zadumana
głowa wzniosła się hardo, i zwoje jasnych wło-
sów wstrząsnęła nagłym ruszeniem. Niby ze snu
zbudzony, spojrział w koło, a stłumiwszy westch-
nienie, wydobywające się z wzdętej piersi, rzekł
spokojnie:

— Panowie bracia! Nie mogę być wybranym,
bo zakąła honorowa cięży na mnie. Wojciech
Bohdanowicz chorąży kijowski, towarzysz znaku
pancernego, rotmistrz i oboźny generalny konfe-
deracyi; przed kilką dniami w tutejszym grodzie
manifestował się przeciwko mnie, w sposób hań-
biący osobę moją. Pokąd ze mnie zdjętą nie bę-

dzie ta zakała, wedle wszelkich praw ziemskich i wojennych, jako człowiek zhańbiony, jestem wykluczony z grona uczciwych mężów. W imieniu więc sprawiedliwości, wzywam was: złoście bracia czémprędzej sąd konfederacki bratni, a sprawa moja niechaj będzie pierwsza, która się rozstrzygnie na majdanie ziemi téj, co ją krwią i życiem naszém bronić usiłujemy.

Ponure milczenie owiało obecnych— i na powtórne wezwanie jego, gdyby posłuszne dzieci, niemo wypełnili wolę Puławskiego i obrali innego marszałka. Wybrany wedle ódwiecznych praw, złożył w ręce sędziów grodzkich przysięgę, ślubując sprawiedliwość i zachowanie tajemnic, zakończył: Tak mi Boże dopomóż i święty krzyżu Chrystusa.

Potém przystąpiono do urzędowania.

W sądach konfederackich doraźnych, nie potrzeba było instygatora— Kazimierz Puławski jako pokrzywdzony, wnosił sam sprawę swoją w następujący sposób:

— Imieniem i z poręki JO. Joachima Potockiego, podczaszego litewskiego, generalnego regimentarza konfederacyi barskiej; zarzuca mi manifestant Wojciech Bohdanowicz, nieposłuszeństwo i niewykonanie woli generalicyi konfederacyi barskiej. Tak jest — byłem nieposłuszny!— Ś. p. Józef Puławski, ojciec mój, za powodem biskupa Krasieńskiego, zeszłego roku zawiązał konfederacyą

w Barze, w celu oswobodzenia biédnej, utrapionój ojczyzny.

Bracia kochani! Czy ojczyźnie naszój mowa sama i pióro wystarczy? Jeżeli tak, to skruszmy orężę nasze; zanieśmy głosy w niebo i z płaczem żebrząc, prośmy o pomoc Boga i ludzi; rozpiszmy manifesta po świecie całym; zapukajmy do serc ościennych dworów i dalekich narodów, a wnet ruszą poganie: Turcy, Prusacy, Rakuszanie i daleka Francya morzem nadpłynie— i orężami swoimi dobiją się praw wydartych, i oddadzą je nam w całości na to: abyśmy je znowu wkrótce utracili! Jeżeli zaś Turcy tylekroć razy, orężem naszym gromieni, nie zapomnieli zwycięstw naszych i nienawiści chrześcian— jeżeli sąsiednie państwa zamiast dopomódz, zechcą korzystać z osłabienia Polski? jeżeli Francya daleka, grzeczném słówkiem i dodaniem otuchy, obojętność swoją pokryje, cóż wtedy stanie się z nami? „Pracuj nieboże— Bóg ci dopomoże“ było odwieczném przysłowiem, przodków naszych— jam weń uwierzył— i ojciec mój i wszyscy Puławscy i bracia wszyscy, którzy razem z nami w Barze, w Berdyczowie, w Podhajcach; Okopach i Zwańcu krew swą przelewali. Tylko Joachim Potocki, podczaszy litewski, nie wierzy w to przysłowie. Z założonemi rękoma każe nam spokojnie czekać, aż obca pomoc nadejdzie— a téj pomocy nie widać. — Porta wchodzi w układy z Moskwą, inne dwory milezą, a tu je-

nerał Apraxim, stary Kraków dobył, bracią powlekl w Sybir! a tu Drewicz miasta pali, wsie pustoszy, domy i kościoły łupi, niewlasty gwałci, niemowłeta morduje i pastwi się nad nami! gdyby wściekle, dzikie zwirze jakie! A my spoglądajmy na to suchém okiem, z założonemi rękoma, wstajmy tylko i piszmy!! — Jeżeli bracia moi! dzielicie zdanie podczaszego, to sądzcie i karzcie mnie jako winowajcę, jako buntownika przeciw konfederacyi barskiej; strzelajcie do mnie zdradliwie! jak Wojciech Bohdanowicz w Mohilewie; lub natrzyjcie jawnie na komendy moje, jak tenże manifestant nad brzegami Dniestru, a Bierzyński pod Kobyłanką! — Albo okujcie w kajdany prawicę moją, jako straszną wrogom Polski i wydajcie Turkom, jak Joachim Potocki wydał ojca mego: abym równie jemu, jako buntownik konfederacyi, którą zawiezywałem, marnie zgnił i skonął! jak ojciec mój w Konstantynopolu na wieży Jedykułą zwanęj! jak niegdyś Koreccy i Wiśniowieccy na haku wieszani!! Jeżeli zaś bracia moi! krew polska płynie także i w waszych żyłach, jeżeli święta miłość ojczyzny jest i goreje w waszych sercach — to uwierzcie wraz ze mną i dobędziecie ostrych szabli waszych. Ostrém więc cięciem Krzyżowém zażegnajmy to piekło niewoli, co nas chce pochłonać, zwyciężmy za Boga i Ojczyznę! albo legnijmy trupem męczeńskim na umiłowanęj ziemi ojczystej, która nam już wtedy ciężyc nie bę-

dzie! — Kto chce pisać i wołać, niech godzi w mą pierś! kto wraz ze mną za kraj walczyć i umierać zamysła, na tego wołam: Do broni!!

—Do broni!!— do broni!! tysiączne powtórzyły glosy. — Pochwycono Puławskiego na ramiona i obnosząc w koło, obwołano regimentarzem generalnym złączonej konfederacyi, oraz marszałkiem stowarzyszonego koła — a odgłos dział, strzelb i dzwonów, opowiadał jednomyślny wybór. Pisarz grodzki, wedle statutów prawa, obecnie pisarzem sądu konfederackiego, wpisał w księgi grodzkie remanifest Kazimierza Puławskiego, przeciwko Wojciechowi Bohdanowiczowi ułożony i osobiście przez Puławskiego wniesiony, w którym się uniewinnia z czynionych mu zarzutów, przytaczając okoliczności z pod Mohilewa.

W skutku tego: uniewinnił sąd Puławskiego. I dopiero wtedy przyjął Kazimierz dowództwo i i złożył przysięgę regimentarską.

Księżciu Marcinowi dopiero teraz otworzyły się oczy! że to nie sam Bierzyński tworzy rozdwójnienie! ale i lepiej urodzeni, czyli Panowie magnaci!...

Dziwne wrażenie zostawiło to pierwsze posiedzenie sądu konfederackiego, na umysłach szlachty, wojska i mieszczan. Dywizya Puławskich, więcej przyzwyczajona do podobnych rzeczy, ponurym okiem w bolesnym milczeniu patrzyła na tę całą scenę; podczas kiedy ruchliwa szlachta sandomiecka i sandomierska, różnym uczuciom się odda-

jąc, różnie je objawiała. Dwaj zaś mieszczanie nasi, istni synowie przyrody, nieumiejący taić, czego serce pełne było, gorzko i jawnie płakali nad marnym zgonem Józefa Puławskiego i nad niewinném udręczeniem zacnych jego synów.

Pan Rudnicki był świadkiem łez tych i zamucenia w dzień sobotni, kiedy dzień ten wedle praw hetmańskich, sądom wojennym przeznaczony, zakończyła uroczyste huczna uczta obozowa; po spełnieniu zdrowia JW. Regimentarza, JO. i JW. Marszałków, tudzież wszystkiój starszyny; pił zdrowie mieszczan polskich, których szczególnie przywiązanie do osoby i cnót rodziny Puławskich wszystkim przypomnieć nieomieszkał.

Ciemną nocą zebrała się rada wojenna, pod przewodnictwem nowego regimentarza; na której odbierano raporta komend wysłanych. Między nimi czytano przejęty list z obozu pod Muszynką, mianowicie od regimentarza Morszkowskiego do JW. Kuropatnickiego, kasztelana Bełzkiego, następującej treści:

Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Jako najniższe niosę JWWD. podziękowanie za łaskawą na mnie służbę swego, pamięć i Jego dla mnie respekt, żeś mi raczył swoją, na tém tu miejscu wielce strapionego, solari expressią. Uznaje tu każdy wielkie JWWD. Dobrodzieja dla wiary, ojczyzny i wolności sentymenta i przywią-

zania, kiedy dla obrońców onychże swoją oświadczasz dobroczynność i prowiantem suplementować deklarujesz, którym kiedy in toto, to przynajmniej per medium, kontentować się JMP. Sieradzki będzie na moją partykularną interpozycją; a jeżeli można go w naturze sprowadzić, to adequato pretio kontentować się będzie; oraz obowiązki w liście Jego dopełnię. Ja tylko oddawam mnie szanownej łasce i zostaję z najpowinniejszém uszanowaniem JWWP. Dobr. szczerze życzliwym i najniższym sługą.

Morszkowski.

List ten był wielkiej wagi. Stanowił bowiem dowód: że kasztelan Kuropatnicki, dignitarstwem i majątkiem osoba znakomita, sprzyjał obozującym pod Huszynką Marszałkom; a więc tém samém sprzeciwiał się Puławskim. Po długich naradach i obronie kasztelana przez księcia Marcina, kilkakrotnie podejmowanej, dołączył Puławski następujący przypis: „Ja przyłączam uniżony ukłon. Donoszę oraz, iż wyszedł uniwersał Jaśnie Oświeconego księcia, marszałka Województwa Krakowskiego: ażeby obywatele tegoż Województwa tak furáže, jako i inne oznaczenia wojskowe, za niczyją dyspozycją nie dostarczali, tylko za Jego, lub Regimentarza generalnego tegoż Województwa. Inaczéj byłiby do powtórnych pociągani. Uniwersał oryginalny przyłączam, kto będzie pierw-

szy do wykonania onegoż, pierwsze odbierze względy. JWP. Dobr. upadam do nóg..

Kazimierz Puławski
regimentarz.

List wraz z dołączonym uniwersałem zamknął pieczęcią regimentarską, i oddał raportującemu oficerowi z nakazem: aby czata dotarła, a jeżeli nie samemu panu kasztelanowi, to komukolwiek-bądź, byle pewnemu, pismo wręczyła.

Dalój ozytano list JP. Jana Ruckiego, stolnika Pilźnieńskiego, któremu książę Marcin polecił pobierać podatki w Pilźnieńskim powiecie, niezaprzyśiągłszy go wprzód. Puławski zaś koniecznie żądał przysięgi od lustratorów i poborców. Żądaniem tém poruszony, przysłał pan Rucki cokolwiek pieniędzy, ludzi i furazę z następującym listem:

Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju! — Nie taję wiadomości strasznych, względem nakazanych dystrybutorom, na grunta dóbr naszych, przysięgi. Które są strofowaniem dziedziców sumienia w uchybieniu, albo punktualności w wymierzeniu gruntów; a zatem dobra powszechnego ukrzywdzenia zakala, albo niesforności umysłu. Z innymi kolegami moimi w ohozym wypełnieniu ordynansu, przy dzielnej JWWMPana Dobr. powiatu całości i naszej zasłonie; byśmy już od nadchodzącej JW. Kochanowskiego kasztelana żarnowskiego próżnej

roboty: wypraw, ba osób naszych bardziej natychmiast potrzebującej— byli bezpieczni i ocaleni, tedy ja i z owym majątkiem i przykładem nie samój wyprawy, ale tyle łożyć będę, ile mi miłość powszechnego dobra i gorliwość zaszczytów wiary i wolności i własna sposobność rozkażą. Wszak wiem: iż przyjdzie pod komendę jednego z najwaleczniejszych; którego sławie głowę moją uchylam, i jestem z najpowinniejszą czcią JWWPana Dobr. najniższym sługą

26go Aprila 1769.

Jan Rucki
stolnik Pilźnieński
z Małój.

Niepodobała się Puławskiemu ta cała sprawa i to odciąganie się Ruckiego od złożenia przysięgi. Prócz widocznego bowiem nieładu i niedbałości ze strony księcia, przeczuwał bowiem co do pana Ruckiego, coś gorszego jeszcze. Niezważając zatem na gorliwą obronę Ruckiego przez księcia Marcina, który swój główny dowód opierał na dawniej znajomości i zażyłości z panem stolnikiem Pilźnieńskim, czemu także marszałek Parys wtórował, nie zważając na to; umyślił Puławski nacznie przekonać się o tém wszystkiém, i wydał rozkaz: aby część dywizyi Puławskich i komenda sanockiej konfederacyi, stanęły przededniem w pogotowiu do pochodu.

BOCLANY

GIŻYCKI, RUCKI I BOJANECKI.

BOCIANY

GIŻYCKI, RUCKI I BOJANECKI.

Była-to wilia św. Wojciecha. Matka-przyroda nie patrząc na czynności i krwawe zabiegi ludzi, rozwijała się wedle woli Boga i prawideł wrodzonych. Prześroczyste mgły, otuliły doliny Wisłoki i Ropy, a unosząc się powoli w górę, jaśniały rozsypane po niebie, jak gdyby jakie nadpowietrzno białe stado skrzydlate. Ranne słońeczko przezierając się pomiędzy chmur gromady, i podnosiło mgły na łągach, a przygrzewając dobroczynnie, wywoływało z nasion w łonie ziemi ukrytych: złocisty jaskier, skromne fiołki, podbiał w nizinach na glinie rozłogiem wzrastający, wileze tylko rzégawki i skrzyp! od którego, wedle zdania

ludu, najtwardsze kosy pryskają. Złotawo-zielone maiki i żółta cytrynka: pierwsze wiosenne motyle, latały cicho od kwiatka do kwiatka, od ziółka do ziółka, sysając słodycz wiosennych kwiatów. Stada kaczek i kaczorów ciągly i zapadały po wylewach wód; a biało - sine dzikie łabędzie, na zaciszach Wisłoki i Ropy, kulony po ługach; szczebiotliwe pliszki wlatywały co moment, siadając po drogach, a wrony kracząc ciągnęły do lasów. Lud wiejski w płutniankach białych, wcześniej ruszył w pole i korzystając z ciepłego dészczyku nocnego, uprawiał rolę pod len, konopie, owies, jęczmień, pod groch, soczewicę i inną paszę dodając wołom roboczym ostatki siana.

Kazimierz Puławski po odtrąbionėj w obozie zorzy, dosiadł karego; przedniėj straży, złożonėj z ludzi księcia Marcina, i kilkunastu Barszczan, kazawszy ruszyć przodem, z wolna jechał na czele całej swėj komendy. Jechał zaś zwyczajem swoim, działami gór: na Święcany, Lipnicę, Zawadę, Błazskowę i Dębożyńskie przygórki.

Tam uderzyło go zjawisko natury nieznanemu dotąd. — Jak gdyby śniegiem świeżym przypadłe doliny Wisłoki, bielity się tysiącami bocianów, a tysiące nadlatujących wywodząc górne zakręty, czyli mową ludu: „odprawując wesele“ wracały od Cieplic z poza gór i okrywały niziny Ropy i Wisłoki, aż do morochowskich lasów; kędy na połoninach sańockich główna bocianom waga,

tak jak w okolicy Gorlic piérwszy ich przysadek. W nizinach tych bowiem znajdują skrzęki zabieczyli ikrę obfitą od matki - przyrody im ku pożywieniu wydzielone. Dziwny - to widok tych poczciwych ptaków, kiedy po półrocznej niebytności przez wysokie Karpat progi wracają do ziemi ojczystej, do swój Polski ukochanej, gdzie się wyłagły i wyżywiły, i która ich obfitym żerem i gościnnymi gniazdy wita, i ludowi swemu obok jaśkulek za ptaki Bogu miłe i święte, uważać każe. Ranném opromienione słońcem, stał Kazimierz Puławski przez chwilę na wzgórzu i poił się widokiem tak pięknego zjawiska rodzimój przyrody, a po nad głową jego wzlatywał skowroneczek polny, prostopadle pod obłoki i śpiewał tak wdzięcznie i rzewnie: jak gdyby chciał przemówić: „Patrzcie ludzie! co to może opatrzność boska! miłujcie i chwalcie Boga; miłujcie tę ziemię waszą i współbraci waszych a stwórca na was wglądnie opatrzności okiem; burze was nie rozbiją i morza was nie pochłona; ciernie przepaści i głogi przebędziecie bez szkody, jeżeli zaufacie Panu i sobie nawzajem; jeżeli wytrwacie w miłości Boga i braterskiej zgodzie“. Puławski wzniósł oczy ku niebu i korząc się Bogu, westchnął do matki zbawiciela królowej i opiekunki Korony i Litwy i prosił w duszy o wstawienie się za biédnym narodem.

Zwolna krok za krokiem, zjeżdżał z ostatniego pagórka w sam prawie środek nieprzeliczonego stada bocianów, a skowroneczek spuścił się z obłoków i pełen ufności usiadł na szczycie chorągwi nie zważając i nie lękając się lekkiego jój powiewu. A bociany ustępywały się z drogi na kilkanaście ledwie kroków, i stęsknioném okiem wpatrywały się ciekawie w niewidziane dawno współziomków oblicza i w konie rodzime, a białe orłęta na znakach wojennych umieszczone. Puławski powtórnie wstrzymał konia i mimowolnie z bolesném westchnieniem rzekł do otaczającej go drużyny: „Mój Boże! bezrozumne ptactwo ufa nam i świętej naszej sprawie, a zaślepieni bracia nasi niedowierzają, i przesładują nas!“

Téj chwili z przedniej straży padł strzał! Z okrzykiem trwogi śmiertelnej, zerwały się tysiąckrotne stada bocianów i klekocąc gniewliwie, były wprost w miejsce wystrzału i szaloném tumanem na chwilę okryły całą przednią straż, a skowronek z bolesnym cwirkiem zerwał się z chorągwi, a milcząc, kamieniem zapadł w bruzdy roli. „Co to się ma znaczyć?“ zawołał gniewliwie Puławski. „Pewno to nowa szalonego Giżyckiego sprawka!“ Istotnie Giżycki strzelił do bocianów! Powoli, powoli przeredniał tuman ptactwa, i dzi kim, nieprzyjaźnym rojem wzniósł się w taką wysokość: że pojedyncze bociany wielkości ledwo skoronwka dostrzedz było można. W końcu ptac-

two rozdzieliło się na pojedyncze stada, które w różne strony lecąc, znikły w widokregu, jak gdyby mara lub złudzenie jakie.

Przednia straż stała, gdy Puławski nadciągnął. Gromada ludzi zastąpiła mu drogę, na której jeden zabity a dwa postrzelone bociany leżały mocając się z śmiercią, jasną krwią brocząc ukochaną ziemię. Siwy jak gołąb, odwieczny starzec uchylił pokornie srebrno-włosą głowę i pochwaliwszy Pana Boga; pytał: A który to: z was, moi panowie, pan Puławski? Puławski z lekka zarumieniony, wyjechał naprzód i oddając pozdrowienie, rzekł spokojnie: „Jam Puławski.“ „A jam stary wojak króla Leszczyńskiego gadam waszeci: że za naszych czasów, bylibyśmy na szablach rozmieśli bezbożnika, co święte ptastwo bije, i tych waszych komisarzy, co po dziesięć razy wybięrają pobory i w własne trzosa pchają; a biedną chudobę, nędznego ludu ostatnią podporę, do własnej obory zaganiają! Niezważni na płacz ludzki! — Tak nie nie zrobicie, bo łzy ludu i krew ptastwa onego, zwoła zemstę na głowy wasze. Powiedziatem waszeci, com miał powiedzieć! Teraz jedźcie zdrowi, kędy wam droga, niech wam Bóg niepamięta“.

Cięrpkłość i boleść owiała serce Puławskiego. Piorunującym okiem spojrział na Giżyckiego i księcia Marcina, potem łagodnie rzekł do gromady: „Ludzie! Kilku z pomiędzy was, niech pójdzie za

mną do Pilzna. tam złożę sąd wojenny i uczynię wam sprawiedliwość“.

Gromada wybrała kilku kmieciów, a smutny Puławski, nieodpowiadając zagadującemu do niego księciu z zwieszoną głową, ciągnął ku miastu Pilznu.

Przed sądem wojennym stanęli posłannicy kilkunastu gromad, i skarżyli się na zdrzierstwa i łupieztwa panów komisarzy. Przekonany wreszcie książę Marcin Lubomirski, wysłał Bojaneckiego z rozkazem imienia i przystawienia poborców; a Puławski zgromiwszy Giżyckiego, jak mógł pocieszał rozżalonych kmieci. Pokazało się: że stolnik Rucki ochraniając szlachtę, sąsiadów i krewnych, bez rachunku i zakwitowania, zdrierał chłopów i żydów, z czego małą częśćkę pieniędzy do Biecza przysławszy, resztę zatrzymał. Zrażony oziębłością i ociąganiem się szlachty tego zakątka, napisał gorzkiemi wyrzutami zapelniony uniwersał, i natychmiast posłał obwieścić go w grodzie Bieckim.

Nazajutrz: w sam dzień św. Wojciecha, wrócił Bojanecki z kilką tylko żołnierzy przeleżeli i zadyszany, opowiadając rzecz następującą:

Pan Rucki był właśnie u JP. Wyszkowskiego, dzierzawcy starostwa pilźnieńskiego; gdzie się zjechał z JP. Łubińskim, rotmistrzem Bierzyńskiego, podobnież w celu wybierania podatków, zjechał. JP. Wyszkowski, miał piękne konie, które pan

Rucki, równie jak pan Łubiński, obaj dla swoich marszałków w odplacie kwarty rekwirowali. Pan Rucki przysłał do mnie o sukurs, i już na koniu odebrałem depeszę JO. księcia Marszałka i JW. regimentarza, z którą przybrawszy poczet ludzi przywołanych w liczbie 60, ruszyliśmy do p. dzierzawcy Wyszковского. Tam najprzód zabrawszy konie rekwirowane, wziąłem w areszt pana Ruckiego i odebrałem znalezione przy nim pieniądze w liczbie 27,000 złp., z którymi niezwłocznie do Pilzna jechać chciałem. Ale pan Bierzyński nadciągnął z potężną siłą, prawie całą dywizją i armatami, co pod Gumniskami mnie rozbił. Przyaresztowano JP. Ruckiego i pieniądze i konie znalezione pozabierał. Mnie pod wolniejszy, a pana Ruckiego zaś pod ściślejszy areszt oddał, a ludzi w liczbie 56, JP. Parysowi, marszałkowi i JW. regimentarzowi zaprzysięgłych, do powtórnej sobie przysięgi zmusił. Za pomocą przyjaciela dobrego, przypadkiem w obozie pana Dzierżanowskiego zdybanego, zaopatrnością boską i ciemnej nocy, szczęśliwie ujechałem. Ruckiemu odgrzązał się Bierzyńskim, że go jako rozbójnika każe rozstrzelać wraz z panem: Kozłowskim i Pstrągowskim, których wprzód zabrawszy, do obozu pod Muszynką okutych odeśłał.

Każde słowo Bojaneckiego roziskrzało bardziej Puławskiego wzrok i wzdymało pierś jego żalem, boleścią i odwagą. Książę Lubomirski sie-

dział jak struty i niewiedział co począć, czasami tylko rzekł urywkowo: A to okropna! tego-bym się nigdy był niespodziewał.!

Kilka dni jeszcze zabawił Puławski w Pilźnie, a zabrawszy cokolwiek pieniędzy i koni, porzucił to niemile gniazdo i wracał do Biecza z zatrętem spokojem i z zakrwawioném sercem.

Ranne słońce przyświecało mile; zieloność łą-nów znacznie się wzmogła, obłoki jaśniały, jak gdy-by stada nadpowietrzne odbijając się w czystém zwierciadle Wisłoki; lecz bocianów już nie było,... skowronek nie siadał na chorągwi Matki-Boskiej; tylko płaczliwe czajki wrzeszczały nad błotami i drapieżny jastrząbek myszkował po polu, a łakoma kania, szybowała wielkimi kręgi, czychając na młode piskleta drobiu i gołębi. Rolnik za pługiem idący, odwracał głowę od ciągnących konfederatów, w siołach uciekały dzieci przed nimi, tylko wzrok ponury i przekleństwo towarzyszyło im z tyłu; a z Puławskiego serca odleciała nadzieja i otucha, jak gdyby stado spłoszonych bocianów, lub jaka mglista, złudna mara.

Bierzyński złożył sąd doraźny na Ruckiego, i bez wielkich korowodów, jako stronnika i poborcę Puławskiego, kazał rozstrzelać na miejscu. Padł Rucki kulą bratnią ugodzony— ale nie śmiertelnie! Rannego żona oddała opiekę Matki Boskiej rzeszowskiej!

Puławski Kazimierz z zamętu myśli czarnych, wyszedł jasny i biały, gdyby anioł! — Przełamał poczucie swęj własnej godności, przełamał dumę młodzieńczą i obrażoną zacność. On! poświęcony wojownik, dzielny i główny przewodca konfederacyi barskiej; upokorzył się ludziom nieudolnym i niezasłużonym, którym przewodził zdrajca przewrotny. List jego do marszałków złączonych, w pokorze serca pisany, stanowi może najpiękniejszy listek w wieńcu sławy tego człeka: czystego w miłości ojczyzny i pokorze ducha.

*List Puławskiego, starosty Zazulińskiego do JMPP.
Marszałków w Muszynie.*

W jednostajnych chęciach i życzeniu ojczyźnie zostając, żadną rzeczą chociaż najprzeciwniejszą, wstrętu nie wezmę do czynności publicznych. Stałem w kraju tutejszym, byłem na szali straty życia, czyli dopięcia mety swojej; sądziłem zawsze znaleźć względy u obywatelów i być użytecznym ojczyźnie. Ta nieszczęśliwość rozróżnienia się, dopiero mnie zwycięża, czego moc nieprzyjaciela uczynić nie mogła. Byłem w początkach konfederacyi barskiej pilnym zawsze komendantem, znałem rewerencyą do starszych, bez których wiedzy niebyłem porywezy w sprawach moich. W województwach tutejszych: krakowskiem i sandomierskiem, których zastałem marszałków, uznałem za

rzecz sprawiedliwą, udać się do nich i tychże słu-
chać wyroków: Obowiązek regimentarski, na mnie
nie dopiero włożony, gdy w tychże województwach
pełnić mi zlecili marszałkowie. Któż grzechem to
sądzić może: że taki obowiązek przyjąłem? ile
w czystych myślach wykonywania usług moich
dla ojczyzny, niewnosząc sobie ztąd żadnego mię-
dzy obywatelami zamieszania. Niedawno docho-
dzi mnie uwiadomienie, odmiany marszałków, w co
wchodzić nie należy; a jako nie zimne były chęci
moje, do żadnej prywaty niezmierzające, tylko do
wsparcia interesu konfederacyi, bez wszelkiej tru-
dności z zupełną ochotą wzięty na siebie obowią-
zek złożyć gotów jestem.

Małe są nader zasługi moje, żadnej niewycią-
gające nagrody; w szczerych chęciach zupełne jest
uspokojenie moje. Bóg na to patrzy, do czego
mnie powoła; w tém dopełnieniu zostanę najszczę-
śliwszy. JWPanowie Dobr. tak kierujcie swemi
zamysłami: abyście w potomności z nami byli jako
twierdzą tych dwóch filarów: „wiary i wolności.“
Moja komenda, lubo uszczuplona przez krwawe
hazardy z potęgą nieprzyjacielską, uznaję zawsze
Boga wszechmocność, która komu asystuje: ten
ma ubezpieczenie swoje. Ja bez obłudy to oświad-
czam: że mi miło będzie zostawać prostym gemaj-
nym, pod ich komendą w takim rozrządzeniu, któ-
re wszystkich współobywatelów uszczęśliwić mo-
że. To jest moje wyrażenie i ta chęć zasłużenia

sobie na łaskawe ich serce jako z najpowinniejszszym szacunkiem zostają. „Kazimierz Puławski.“

List ten, pełen świętej pokory i najgorętszej miłości ojczyzny, przesłał do Muszynki, wyczekując i spodziewając się odpowiedzi życzliwej. Doznał okropnego rozczarowania!

Z jednej strony nadbiegła wieść: że Bierzyński kazał rozstrzelać Ruckiego, jako stronnika barskiego. Z drugiej zaś od Bieszczada, rozbitki donieśli: że księcia Marcina obóz pod Grabiem, po nieprzyjacielsku napadnięty od konfederatów z pod Muszynki; załoga z 100 tylko ludzi złożona, po krótkiej obronie, pokonana i zniewolona do przysięgi na wierność i posłuszeństwo Potockiemu Joachimowi i marszałkom złączonym. Zasoby wszelkie też zabrane. A prócz pieniędzy gotowych, było tam wiele koni, sukien, mundurów i namiotów. Nawet pieczęć marszałkowską księcia i blankiety z podpisami jego, zabrano.

Takie postępowanie stronników Joachima Potockiego, oburzyło Puławskiego do ostatka. Poznał, że w Bierzyńskim i marszałkach złączonych, ma wrogów, mało co gorszych od Moskwy, gotowych Moskwie rękę podać, byle jego zgnębić. Umyślił więc zejść im z drogi i gdzieindziej nadstawić pierś w obronie ojczyzny. Jasna, nowa myśl błysła w umyśle dzielnym!

POCHÓD NA LITWE.

POCHÓD NA LITWE.

Niezwłocznie zajął się Puławski przygotowaniem do poходу. Mieszkał w Bieczu w klasztorze OO. Reformatów, i niewiele się udzielał szlachcie, której oziębłość tak boleśnie go razila. Zakonnicy utrzymując związki z klasztorami swémi, dostarczali mu najpoufniejszych posłańców i doradców. A służyli mu chętnie, widząc w nim pokorę prawie zakonną a poświęcenie bez miary i wiarę nieograniczoną.

Wiedzieli o tém świeccy księża, których obawę, narażenia się na straty dochodów, ciekawość czasami przemagała. Tak np. ksiądz Karwicki kanonik i pleban w Machnówce i wikary jego ks. Leopoldi. Ci bezustanku poséłali do ks. gwardyana w Żmigrodzie pytając o wiadomości świeże,

bo klasztor Żmigrodzki z Lublina od braci zakonnej, często miał wiadomości. Odebrawszy jaką, spieszyli zaraz do dworu, do pani Bukowskiej, stolnikowej sanockiej. Ta co tchu wysłała posłańca do Tarnowca do Wgo Kuropatnickiego, kasztelana bełzkiego, zapraszając na nowiny, a przytém i na ślimaczki świeże, a w zamian prosząc o książki do czytania. Więc pan kasztelan bełzki, choćby nie na nowiny, toć na ślimaczki przyjechał; kazał sobie pokazać listy z nowinami, a gdzie tylko parę słów o konfederacyi było, zabierał i składał jako materyał dziejowy. Mimo troskliwości o dzieje, nieraz utyskiwał na podwoły dawane żywność itd., w czém mu wiernie pomagali, pani Bukowska z księdzem kanonikiem.

Między taką szlachtą, cóż tam miał robić Puławski? — a takich było nie mało! ci więc byli jeszcze lepszemi, bo przynajmniej nie wrogami.

Księżę Marcin częściej się udzielał, mając krewnych, znajomych i przyrodę po temu. Do pani Bukowskiej zakwaterował nowoprzybyłego oficera Delamotte, z Francyi sprowadzonego.

Nie mógł bardziej uszczęśliwić stolnikowej i jej sąsiadek, a francuzka paplanina i ślimaki bez ustanku były w obrotach. Zaś wesoly i grzeczny Delamotte, wszystkim paniom pozawracał głowy.

W połowie Maja wyruszył Puławski napowrót w Czerwoną Ruś. I w tej drodze jeszcze musiał spełnić świeży kielich goryczy.

Puławski poznał: że książę Marcin z ulubieńcami swými więcj konfederacyi zawadza, niż pomaga. Chciał się go odczepić, a okoliczności téj użyć do pokrycia swych zamysłów. Przemyślanie garnęli się do Puławskiego, a prowadził ich dzielny Radziwiński. Książę Marcin zapraszał ich do złączenia się z sobą, wychwalając dogodność obozu pod Grabiem, umocnionego lepiej przez Delamotta. Puławski Kazimierz kazał im wyruszyć pod Grab, udając jakoby tam zamyślał założyć główny, utwierdzony obóz, któryby marszałkom muszynieckim zagrażał— i do działań przeciw Moskwie dogodną był podstawą. Wyruszyli więc z taborem wozów z chorymi i wszelkimi obłogami. Wszyscy sądzili: że Puławscy tam się usadowią.

Bojanecki, ulubiony rotmistrz księcia, regimentował tam pod Grabiem. Uważając się za gospodarza oboźnego, sądził: że będzie hetmanił w obozie. A tu Barszczanie z Przemyślanami żądają wydania dwu dział sandomierskich w obozie będących i zdziwionemu, okazują ku temu pisemny rozkaz Paryssa, marszałka sandomierskiego. W żaden sposób niechciał tego uczynić, sierdził się i odgrażał bronią; w końcu jednak rad nie rad wydał.

Barszczanie zabrawszy działa, pożegnali zdziwionego Bojaneckiego i ruszyli górami na wschód! Radziwiński zaś z Przemyślaną, z rannymi i chorymi ruszył na bliską granicę węgierską, a umieściwszy ich w Zabieszczadziu, złączył się z nimi.

Dopiero poznał Bojanecki: że się to co innego święci. Wyszedłszy więc z Grabia, odszukał księcia i jego oddział rozproszony po kwaterach, i ruszył dalej w ślad za Puławskimi, którzy narzekając na omylone nadzieje, jakimi ich karcił książę Marcin, radzi byli: iż się odczepili.

Bojanecki podrodze zabrał jeszcze płótna z błęchu w Korczynie, a pokrzywdzeni właściciele wyprzedziwszy go, płacząc żalili się nań przed Puławskimi. Pod Liskiem dopędził książę Puławskich, i zaraz na wstępie jał gorzkie wymówki im czynić. Kazimierz Puławski w pokorze serca swego łagodnie mu odpowiada, lecz Bojanecki obecnością pana swego ośmielony, ubliżająco zagadał o porwaniu dział sandomierskich. Przepelniło to miarę cierpliwości Puławskiego Franciszka, stryjecznego starościców wareckich brata, a dzielnego rotmistrza ich barskiego. Śmiało, po żołniersku wypomniął mu grabież skarba w Opryszowie i ruchomości po ks. Stadnickim; wypomniął zabranie płócien w Korczynie, i nazywał złodziejem. Książę oburzony zniewagą rotmistrza swego, uniósł się gniewem, a Bojanecki zapamiętały, zawoławszy na swoich, uderzył na oddział Puławskich. Porwał się z motyką na słońce! — Barszczanie z swęj strony uderzyli i książęcy ustęp rozbili. w puch! Puławski, rotmistrz pędząc na czele, dybał na księcia chcąc go imać. Już! już! dopędzał go i chciał brać, kiedy książę strzelił po za siebie: —

Śmiertelnie ugodzony spadł z konia i wyzionął ducha! — Pogrzebion w Lisku z wielkim żalem wszystkich, i samego księcia.

Przemyślska szlachta chcąc okazać szczerý swój udział: Franciszka Puławskiego, starostę augustowskiego, obrała marszałkiem swym w Przemyślu 23go Maja 1769.

Niebawem wybrawszy kilkaset najdzielniejszych ludzi, nagłym pochodem ruszyli Puławscy pode Lwów, nikomu nie objawiając dalszych swych zamysłów. Radzymiński z Przemyślaný szedł w odwodzie, zasłaniając pochód ich.

Ksiązę Marcin, czynem wałeczności chciał odpokutować śmierć rotmistrza Puławskiego i wszystkie swoje błędy. Zaciągając po drodze ludzi ochotnych, szedł w trop za Przemyślanami, i w Ustrzykach połączył się z Radzymińskim. Spiesznym pochodem szli na Lwów i nawet wyprzedzili Puławskiego. Pode Lwowem ustanowiwszy się, ksiązę Marcin, jako marszałek małopolski, zawezwał do poddania się komendanta miasta, generała Korytowskiego. Użył do tego towarzysza Marcina Korzeniowskiego, któremu przydał trębacza.

Korytowski odpowiedział górno, a oraz z dział po wałach rozstawionych, kazał dać ognia. Ksiązę Marcin z oddziałem swym, uderzył na bramę halicką. Przykładem Delamottego zagrzani zwawo pięli się konfederaci na mury — kto wié jakby się było skończyło, gdyby nienieprzewidziany wypadek.

Korytowski bowiem dowiedziawszy się przed kilkoma dniami, o zbliżaniu się konfederatów, posłał o pomoc do najbliższej komendy rosyjskiej, która spiesznym pochodem zdążając właśnie w chwili szturm, od Nawaryi nadeszła i na konfederatów z tyłu uderzyła. Delamotte odważny, padł, a konfederaci zostali bez dowódcy, bo księżę Marcin stracił zupełnie głowę; a widząc bagaże swe w ręku Rosyan i ludzi swych padających od kul i spisów moskiewskich, umknął co tchu wraz z swym Bojaneckim, nie obzierając się aż w Kulikowie. Moskwa uradowana zwycięstwem, rozłożyła się na pagórkach koło św. Jura. Tam ją Puławski nadciągający od Gródka przydybał i pobił, a pobiwszy: natychmiast atak do miasta przypuścił. Działo się to 1go Czerwca.

Atak trwał od siódmej wieczór, do szóstej z rana. Trzy razy konfederatów z wałów zpedzano. Dworek naprzeciw Jezuitom stojący, z poza którego konfederaci garnizon mocno parzyli: Korytowski puszkarzowi swemu zapalić kazał; przez co wiele domów, dworców i klasztorów w perzynę obrócił. Największej klęski doznali konfederaci przy odwrocie swoim koło bramy krakowskiej, lecz gdyby nie przeważna potęga rosyjska, byłiby niezawodnie Lwów opanowali.

Giżycki miał tu sposobność odznaczyć się szaloną odwagą. O zakład: 300 złp. wąską ścieżką jechał wzdłuż rzeki Pełtwi; podczas rżęskiego o-

gnia z wałów od halickiej aż do krakowskiej bramy, przechylając się tylko ciągle na koniu to w prawo to w lewo, pokrzykując i odstrzeliwając się pistoletami. Żadna kula go ani drasnęła i zakład wygrał.

Po bezskutecznym szturmie, rozdzielił Puławski swe wojsko i wysyłając większą część dla złączenia się z księciem i Radzymińskim, sam z wyborem kilkuset ludzi: na Belz ruszył do Brześcia litewskiego, gdzie omyliwszy kolumny rosyjskie, dostał się szczęśliwie. W Brześciu zawiązał konfederację litewską dnia 30 Czerwca, której ogłoszenie: Moskwę, króla i wszystkich jój stronników mocno przeraziło.

W skutek tego wypadku, wojska rosyjskie ruszyły ku Litwie, a za nimi pospieszył i Bierzyński; ciągle maską gorliwego naczelnika konfederacyi, zdradę swą pokrywający. Książę Karol Radziwiłł wodził rej na Litwie. Bierzyński umiał go tak pięknie podejść: iż mu milicyę swą nadworną i główne dowództwo powierzył. Zapuścił się potem pomiędzy kolumny rosyjskie aż wreszcie w nocy pod Białymstokiem przez pułkownika Galicyna napadnięty, stracił oddział od Karola Radziwiłła sobie powierzony, i na oczywistą zgubę wystawił z pod Muszynki przywiedzioną szlachtę. Sam ujechał — a resztę niedobitków i niewoli uiszłych, uprowadził znakomity oficer Puławskiego: Szye, rodem węgryz.

Klęska ta zgubiła wojsko, lecz nie złamała ducha Puławskich, którzy powzięli myśl rozpaczliwą: przerznięcia się przez środek kolumn rosyjskich. Z kilku tysięcy pozostało się ledwie sześćset ludzi. Franciszek prowadził przednią straż. Ta za daleko się posunawszy, nie mogła mieć udziału w bitwie pod Włodawą, którą Kazimierz Puławski z dopędzającymi go kolumnami rosyjskimi stoczyć musiał i przegrał. Walcząc jak lew! ostatni schodził z pola bitwy; a fałszywa wieść: jakoby był wzięty do niewoli, do ostatniej rozpacz przywiodła brata jego. Odwraca się Franciszek, szuka nieprzyjaciela i niebacząc przewyższającej siły, pod Łomazami rzuca się na Rosyan, gdzie pośród zapalczego boju, ginie ofiarą przywiązania braterskiego. Kazimierz Puławski z dzieścioma tylko towarzyszymi swoimi przerznął się szczęśliwie w Lubelskie a ztamtąd w Sandomierskie.

Radziwiński, regimentarz przemyski, z pułkownikiem swym Chojnackim, wiernie wykonywali Puławskich rozkazy; maskując pochód ich na Litwę i potzymując konfederację przemyską, do której niedopuszczali nieporadnego księcia Marcina.

Z Kulikowa puścił się książę ku Sandomierzowi. Radziwiński złączył się z nim na chwilę w Wielkich Oczach zagrażając moskiewską za Puławskim pogoń. Poczém się rozstali. Książę Marcin zdążył do Jarosławia, gniazda rodu swego.

Zastał tam już Chojnackiego z Przemyślanami i bramy zawarte. Książę miał ochotę nabrać sukien i innych potrzeb wojennych za samym kwitem. A tu Chojnacki nietylko do miasta go nie puszcza; lecz nawet za pieniądze zabrania mu kupować sukien i innych przyborów, wymawiając się własną potrzebą i odesłał księcia w Sandomierskie i Krakowskie, kędy marszałkował.

Oburzony tą okolicznością, poszedł książę koło miasta: na Grodzisko, Leżajsk, Rozwadów aż pod Wrzawę. Tam zastał Przyłuskiego, marszałka Czernichowskiego, z komendą swą, trzymającego przeciwny brzeg Wisły; który słysząc o jego niedoleżności i zdzierstwach z winy jego popelnianych, niechciał się z nim złączyć, i w żywe oczy mu gorzką prawdę powiedział, dodając: iż gdyby nie zważał na jego dobre serce i na poświęcenie jego majątkowe, nie wahałby się nań uderzyć. Tylko na usilne prośby, pozwolił mu promów na przewozy, z warunkiem omijania Sandomierza. Książę jednak z pod Wrzaw, wioski nad Wisłą położonej, pod Sandomierz kazał podpłynąć czyli podhalować.

W Sandomierzu znówu panowie: Łubieński i Moszczyński nietylko przewozu niedopuszcili, ale nawet promy zabrali. Książę do żywego tknięty takim przeciwieństwem, powziął rezolucją uczynienia recessu od marszałkowstwa krakowskiego, i udania się z komendą swą w Województwa Wiel-

kopolskie, byle mu dozwolono przewozu. A kiedy to wszystko nie pomogło, rad nie rad, ruszył do swój Kolbuszowy, dawszy panu Parysowi kilkadziesiąt ludzi do dóbr swych Pacanowa.

Nie długo jednak spoczywał. Konfederacya przemyska z całą usilnością gotowała się do wojny. Że zaś Rzeszów należał do województwa ruskiego, więc księciu Marcinowi polecono zabrać arsenał zamku rzeszowskiego.

Zjechał więc do Rzeszowa (3go Lipca) i jako pokrewny księżnej chorążyny, wpuszczony ze czcią, a za nadejściem swój komendy zabrawszy wszystką broń zamkową, dał rewers. Komendant zamku i zwierzchność miejska, przed gniewem księżnej swój zabezpieczali się zapisem w księgach miejskich rzeszowskich.

—Osobiście stanąwszy przed urzędem i aktami wójtowskiemi i ławniczemi rzeszowskiemi: Jędrzej Raczyński, instygator (z dyspozycyi jurisdycyi zamkowej zamku rzeszowskiego i miejsk.); *obtulit* rewers JO. Księcia Józefa Lubomirskiego gen. lieutenanta *hujus tenoris*.

Jako według ordynansu skonfederowanej Rzeczypospolitej, wojska w związku zostającego do mnie wydanego; wziętem na potrzebę tegoż wojska niżej specyfikowane z rzeszowskiego Cekhauzu rzeczy, to jest: Armat trzyfuntowych z lawetami i rekwizytami in Nro cztery dico 4. Armatek żelaznych jednofuntowych dwie. Karabinów pie-

chotnych nowych z rekwizytami 50. Pistoletów różnych 50. Pałaszów różnych 74. Dwa małe miedzianki żelazne; 200 żelaznych 3-funtowych granatów. 100 żelaznych kul 3-funtowych; sto kartaczów; 90 funtów kartaczów i 20 funtów kartaczów. 4 baryłki ze skórą; 5 szuffad ładunków różnych; 9 wag do armat; 1 belbrach mosiężny. 2 panew; 18 motyk; 8 par kajdan; 4 siekier; 800 skałek; jeden palonflen; 6 cyngratów wielkich; 18 detto małych; jedną cienką grubości palca. Na co się podpisuje. 3 Julii w zamku rzeszowskim 1769.

Jérzy Lubomirski.

RZESZOWIACY.

RZESZOWIACY.

Widok księcia Lubomirskiego i konfederatów jego; widok dział, jaszczyków, pałaszy, pistoletów i karabinów, widok granatów, baryłek z kartaczami i wszystkich tych potrzeb wojennych; rozżarzył przytłumioną iskrę konfederacką w mieszczanach, a szczególnie w starym Jakubie, woźnym sądu ławniczego i wójtowskiego. W żar zaś i płomień jasny rozdmuchały ją olbrzymie wieści o początkowych zwycięztwach Puławskiego na Litwie, gdzie jak słyhać było: Moskala tam już ani na lékarstwo by nie znalazł.

Na pełne posiedzenie rady wójtów i ławników zagajonej przez burmistrza: Baczyńskiego, wszedł stary Jakub i zażywszy tabaki z ciemnrzycą z rożka u pasa, zagadał radnych panów wedle swego sposobu: „A cóż mości panowie! czy-

ście Ich Mość Panowie już uradzili, jak się do dzieła brać mamy? Ja-bym był tego zdania: żeby obronę miasta obmyśliwać w ten sposób, jak ją ś. pamięci Spytek Legeza, kasztelan sandomierski, roku 1627 t. j. 142 lat temu mandatem swoim w księgach naszych zachowanym, przepisał. Tylko żydów-bym nie przepuścił i lutrów; bo ci zawsze naszej świętej katolickiej sprawie bruźdzą. Czy Ich Mość Panowie dzielicie zdanie moje? Rzekł i podkreśliwszy siwego wąsa, podparł się w boki oburącz!

Pan Baczyński, burmistrz miasta Rzeszowa, a właściciel kamienicy dwusklepowej i folwarku na przedmieściu Klapkówce, zczerwienił się naj-samprzód, a potem westchnął kłopotliwie; a pan wójt: Klimkowski Marcin i dwóch ławników, tyknęli miodu z cynowego dzbanka. Stary Jakub zniecierpliwiony, zagadał: Cóż, Ich Mość Panowie nie na to? A burmistrz Baczyński nieśmiało oglądając w iskrzące się oczy starego Jakuba, rzekł bojaźliwie: Ej! Mości Panie Jakubie! ja myślę żeby lepiej było nie mieszać się nam w to wszystko; bo to Pan Bóg wie jak się to skończy! A jakby się to, Panie uchwaj, źle skończyło; toby nam bięda była z Moskalami i z królem Jego Mością.

—A jak się dobrze skończy? odrzekł niecierpliwie stary Jakub, to nam bięda będzie z panem Puławskim! Bo co oną moskiewską biędę, to kiedy ja ją już zaznał, to o Waszeciach wróble je-

szcze świergotały! Nie boję się jój, jakem się i drzewiėj nie bał! Bardziej ja się obawiam biędzy od pana Puławskiego, boć to hetman nie żarty! nie nosi warkocza długiego, jak Mimey i król nasz i dziewczki nasze! Wolę ja, żeby mnie Moskwa w ucziwości mojej rozsiekała, albo król Jegomość na Sybir wywieść dał, niżeliby hetman Puławski na moje stare lata miał mi rzeknąć: Wstydz się stary Jakubie! pod Kaliszem biłeś się za króla Leszczyńskiego; a teraz toś stchórzył jak twój Wielcemożny burmistrz rzeszowski! który myśli: że go Pan Bóg i od śmierci wybawi dla tego: że ma kamienicę o dwóch sklepach i folwark na Klapkówce....

A wy! Panie wójcie, cóż wy na to? Czy i wy się boicie o waszą starą chałupę na Psiarnisku i o waszą kamienicę i o sklep przemysłskiego rabina, co w niej siedzi? Nie bójcie się! nie będzie mu nic! i żadnemu żydowi poganowi nie będzie. Będą wam kubany dawali jak dają! a choć im trochę peisów podetniemy, toć przecie was boleć nie powinno.

—Ej! ja tam już za stary do wojenki, odrzekł z maki zagadniony pan wójt Klimkowski.

— A czyście za młodu co lepszego robili jak teraz??.... odgryzł mu się Jakub.

Jeden tylko z ławników i to najmłodszy, Sebastian Balabędrowski, oświadczył się równego

zdania z Jakubem. Wszyscy drudzy uniewinniali się jak mogli: najwięcej starością.

Czego zanadto, tego za wiele! Starego Jakuba, który się mimo 80 i kilka lat mający, młodym jeszcze czuł! tak oburzyły te marne wykrety, mianowicie ta starość ich; że zażywszy naprędcę tabaki z ciemierzycą z rożka, odrzekł niehamując się w gniewie: Wyście jeszcze śmierdziuchy wszyscy, jak tu siedzicie! jeszczeście..... gubili; kiedy ja już wojował. Rozumiesz jeden z drugim! ja tu starszy jak wy wszyscy, i nie dam sobie grać na nosie, a kiedy niechcecie rozkazywać i nie umiecie, to ja was słuchać nauczę, tfu! niedołągi! Trzasnął drzwiami i wyszedł. A pan burmistrz z pp. ławnikami siedzieli jak trusie i nieśmieli jeden na drugiego oka podnieść.

Jakub zaś nie mówiąc nic nikomu zdjął stary taraban z kółka, stanął koło pręgierza wedle ratusza, i zaczął bębnić. Mnóstwo ciekawych mieszczan i żydów powybiegało z domów i sklepów; a Jakub przybębniwszy trzy razy, prawicę z palczkami wzniosł do góry, a lewą ręką zasłonił głowę od wiatru, i obracając się w koło: wołał donośnie: „Podaje się do wiadomości! Jutro po uroczystej wotywie u Matki Boskiej bernardyńskiej, odbędzie się elekcyja hetmanów miejskich tak, jak za czasów kasztelana Spytka Ligęzy: na bernardyńskiej łące, gdzie się wszystkie cechy z światłem i chorągwiami stawić mają!“ Odbębnił i po-

szedł, dalej na nowe miasto, ztamtąd na Kłapkówkę, na krakowskie przedmieście, na Podwale i Podzamcze, aż całemu miastu ogłosił uroczystą wotywę Matki Boskiej i elekcyą hetmanów miejskich.

O jurysdykcyą zamkową wcale się nie troszczył, bo wiedział tyle sprawek pana włodarza Żyłowskiego: że go każdej chwili mógł w niełaszkę wtrącić u p. Tynieckiego, rządcy głównego księżnej chorążyny. Pan Jan Tyniecki zaś, stolnik bydgoski, plenipotent księżnej, do wszystkich spraw i aktów specyalny: tak był znany z miłości ojczyzny i sprawy jej konfederackiej: że bezpiecznie mógł liczyć na pochwałę i poparcie jego.

Nazajutrz zrana cała ludność miasta Rzeszowa ruszyła do Bernardynów. Cechy z chorągwiami i ze światłem, a panny różańcowe, wystrojone do niesienia obrazów. Po uroczystej wotywie śpiewanej przez księdza gwardyana, wysypali się mieszczanie na łąkę bernardyńską i cechami stanęli z osobna każdy z swoją chorągwią, jak gdyby województwa na elekcyę króla.

Stary Jakub z potężną trzcinaą o białej wstążce w srebrnym uchu, marszałkując, pochwaliwszy Pana Boga, wytłumaczył mieszczanom o co rzecz idzie; a obiecując szczególne względy hetmana Puławskiego, zawezwał do głosowania: kogo sobie życzą za hetmana miasta Rzeszowa. Stary cechmistrz nad cechmistrzami, a cechmistrz tkacki

panów cechmistrzów, podcechmistrzów i starszych braci, poprosił na krótki ustęp, dla naradzenia się. Panowie majstrowie i podmajstrowie czeladź i pacholęta, czekali spokojnie i dawali zdania swoje po cichu. Przypatrywały się kobiety: w złocistych kornetach i przyjaciołkach, królikami podbitych; dziewczęta w czerwonych i zielonych jubkach i dzieci w dreliszkowych kapotkach na skoszonej trawie stojąc, siedząc lub leżąc, wedle wygody swój upodobania.— Po krótkiej naradzie, wystąpił starszy cechmistrz na środek koła, i siwą czapkę na wszystkie strony kłaniając się braci cechowej, zawołał donośnie: Panowie bracia! My starszyzna cechowa uradziliśmy (!) między sobą, zaprosić pana Jakuba do buławy hetmańskiej i pytam się was, czy się zgodzają na to?

Prosimy! prosimy! zawołały cechy, aż odgłos dało. Więc starszy cechmistrz, za nim cechmistrzowie i bracia starsi przystąpili do pana Jakuba, oddali pokłon hetmański, i po kolei całowali w rękę. Potem starszy cechmistrz zawezwał do powtórnego głosowania na hetmana przedmiejskiego, do której to buławy mniejszej, tym samym obrządkiem zaproszono sławetnego obywatela Mi-szczańskiego, podcechmistrzego rzeźnickiego.

Po skończonej elekcyi zawołano trzy razy: „Niech żyją hetmanie nasi!“ i za głosem starszego cechmistrza powrócono do kościoła, podziękować Panu Bogu. Hymn św. Ambrozego: Ciebie

Boże chwalimy! czyli *Te Deum laudamus* odbił się o pięknie malowane sklepienie kościoła; a po ukończoném nabożeństwie, mieszczanie w wojennym rzekome porządku, z chorągwią każdego cechu na czele, ruszyli ku ratuszowi po chorągiew miejską, mającą biały krzyż na błękitném polu; którą jako znak hetmański, przed mieszkaniem woznego wetknięto, i po stary taraban drewniany, co w zastępstwie kotłów hetmańskich, złożony był u stóp chorągwi. Mieszczanin zbrojny halabardą stanął strażą honorową przed tym majdanem hetmańskim. Ruszono potem na Opatówkę.

Najmniejsze rzeszowskie pachole znało Opatówkę czyli miodową arendę. Tam się bowiem odbywały wszystkie sprawy cechowe i gminne; tam obierano starszych cechmistrzów. Nawet zwłoki zmarłych mieszczan braci pogrzebawszy, tam wstępowano na koneolacyą i wznoszono ś. p. nieboszczykowi wieczny odpoczynek; a żyjącym jego przyjaciołom: zdrowie! Każdy ojciec poważną dźwiatwę swoją, to za czuprynę, to za ucho naciągając ku zgodzie uczył: aby sobie brała przykład z godła na Opatówce, gdzie wilki z jagniętami z jednego żłóbka jedzą; a nie biła się między sobą, gdyby jakie światowe zgonięta!! — Każdy więc z mieszczan Rzeszowa, dobrze znał to poważne i uczciwe godło; przecież dzisiaj wstępując na kamienny próg miodowej arendy, mimowolnie wznoszono oczy, i przypatrywano mu się

bliżej! Nigdy bowiem tak jasno jak dziś, nie czuli potrzeby téj świętej cnoty, którą staropolska prostota tak naiwnie na płótnie barwami wyobrazila.

Starszy cechmistrz marszałkował dalej. Z głębokiém uszanowaniem poprowadził nowego hetmana na honorowe miejsce pod lampą przed obrazem cudownej Matki - Boskiej rzeszowskiej, sadowiąc za potężnym dębowym stołem. Starsi cechowi i majstrowie obsiedli ławy, młodsi z uszanowaniem stali u drzwi otwartych; a towarzysze i pacholeta w sieni. Po spełnieniu zdrowia miejskich hetmanów i pana Puławskiego, rozpoczęto narady: co-by dalej czynić wypadało.

Sławetni obywatele miasta Rzeszowa, do pokornej uległości dla jurisdycyi zamkowej przyzwyczajeni; wynurzyli swe życzenia, aby jak w każdej innéj sprawie, tak i w téj, najprzód zamek o wszystkim uwiadomić. Stary hetman niesprzeciwiał się temu, tylko sobie wyprosił: aby na niego tego obowiązku nie kładziono. Zgodzono się zatem na starszego cechmistrza, a kilku mieszczan najznakomitszych, dla większej powagi przydano poselstwu. Dalej proponował stary Jakub poselstwo do JW. Tynieckiego, generalnego księżnej plenipotentą, do czego zaprosił obywatela Mischzańskiego, hetmana przedmiejskiego, oraz list od księdza gwardyana Reformatów, przyobiecwał dołączyć. Wyznaczono posłów do JW. księcia Mareina Lubomirskiego, marszałka sandomierskiego

z uwiadomieniem: rozpoczętych przygotowań i prośbę o ordynans dla miejskich hetmanów. W końcu zaproszono wszystkich mieszczan, posiadających domy i ogrody tak w mieście jak i na przedmieściach; aby wały i parkanów naprawę obmyśleli.

Pokazało się iż obronność miasta od czasów kasztelana Ligięzy podupadła bardzo. Rzeszów, miasto od czasu napadu kozaków Chmielnickiego, pod Zamość dążącego, którzy w liczbie kilkunastu do miasta i wprost na ratusz w samo posiedzenie ławnicze wpadłszy, kilka kartek księgi miejskiej na stole leżąc, rozdarli i atrament wylali, (co na wieczną pamiątkę do dziś dnia w Ratuszu zachowane); niezaznało nieprzyjaciela. Dopiero Stefan Czarniecki, pędząc za Szwedami, ciągnął tędy na Jarosław i Sieniawę. Saskie niepokoje rychłe też minęły. Tak więc obywatele Rzeszowa z czworo- nożnym-li wrogiem wojując, lichemi tylko płatami, lub niskimi parkanami, wstrzymywali krzykliwą ich natarczywość i zapędy w marchew i wszelkie warzywa. Czego się mszcząc trzoda, przekopy i wały ryła. Wyrozumiawszy więc podupadłą obronę miasta i niewypelnienia woli ś. p. kasztelana Ligięzy, stary Jakub, hetman wielki rzeszowski, cech ciesielski zawezwał przed siebie, i umówił się z nim o robotę i materyał. Poczém polecił starszemu cechmistrzowi: aby posłując na zamek od pana włodarza, jako i od komisarza zamkowego, pana de Schwerfeld, zażądał materyału na

obronę miasta, dodając: że wieś Hussów za Mala-
wą, którą od wiecznych czasów pańszczyzny nie
robiła, tylko drzewo pod miarę zamkową rąbane,
do zamku dostawiała, najkorzystniej do tego mo-
że być użytą. W końcu zwołał wszystką młodzież
miejską, i wybrawszy zdatnych, do służby wojen-
nej przeznaczył: rzeźników do konnicy, rybaków
do czółen i służby na stawach i Wisłoku, resztę
zaś do piechoty; a mniej zdatnych na ciurów obo-
zowych. Upomnienie o niezwłoczne zaopatrzenie
się w broń, jakąkolwiek kto będzie mógł dostać,
i rozkaz dzienny hetmański stawienia się naza-
jutrz na pierwsze okazywanie, ile możności pod
bronią, zakończyło pierwsze posiedzenie zkonfede-
rowanych mieszczan sławetnego miasta Rzeszowa.

Nazajutrz z rana na odgłos tarabana hetmań-
skiego, tłumem zbiegła się młodzież miejska na
Majdan, gdzie stary hetman rozdawał rozkazy, stó-
sowne do wykonania przedsięwziętej obrony mia-
sta. Uporawszy się z tą najpilniejszą sprawą,
wziął hetman potężną trzcinę z białą wstążką
w srebrnym uchu, a stuknąwszy nią o ziemię, sta-
rohetmańskim odwiecznym zwyczajem, gdyby bu-
ławą rzucił w górę na kilkanaście łokci, a spada-
jącą uchwycił w powietrzu. Głośne „Niech żyje
hetman!“ odbiło się o niebiosa, a on spojrział du-
mnym okiem w koło i zażywszy tabaki z ciemię-
życą z rożka u pasa; całą garścią podkręcił wąsa

i donośnie zawołał: „Bacność! do szeregu cechami we trzy rzędy! zbrojni w pierwszy szereg!!“

Oddzieliły się cechy i wykonały rozkaz hetmański. Pokazało się: że cech szewców polskich t. j. obywateli, chłopskie obuwia o jednej podszwie szyjących, był najliczniejszy. Ale i rybaków było niemało, i rzeźników podostatkiem, a kuśnierzy więcej, niżeli się kto spodziewał. Właśnie chciał hetman powtórnie zawołać: bacność! kiedy wrzawa jakaś i krzyki od kościoła farnego zdążające, słyszeć się dały.

Była to młodzież szkolna, u księży Pijarów ucząca się: mądrości ludzkiej i bojaźni Boga. Usłyszawszy o zawiązaniu się konfederacyi miejskiej, niechciała w tyle pozostać, a idąc za przykładem sławetnego współuczni Marcisia Miszczańskiego, mimo prób i składania rąk księdza Rektora, przez kolumnę kalefaktorów i stróżów zwołanych, jakby na przebój poszła i chorągiew swą kitajkową z Duchem - świętym w niebieskiem tle unoszącym się nad *gramatyką Alvara*, przyniosła pod rozkazy hetmana wielkiego rzeszowskiego. Uzbrojenie tego legionu akademickiego, było zgodne z wiekiem i stanem jego. Kilkunastu najstarszych dzierżyło szablice potężne, ojcom, stryjom i wujom swoim cichaczem wykradzione, albo od zamkowej służby za nożyki, obrazki, książki do modlenia i tym podobne rzeczy, wyszachrowane. Reszta zaś niosła tylko broń studencką ówczesną, t. j. sakłako-

we lub tarniowe palcaty i potężne kałamarze miedziane na długich łańcuszkach; a najmłodszy sztabacy i parwiści, okrągłych kamyków pełne kieszenie, w których rzucaniu na żydkach przy zdarzonej sposobności, po drodze się zaprawiali. Dowodził im: pierwszy premiant ostatniej klasy, już dorostek wąsaty, szlacheckie dziecko z chodackowej wsi Pstrągowej; wysmienitą łaciną zagadał do starego hetmana Jakuba, który mu to samo po łacinie, lecz nie szkolnym, ale ławniczo - instygatorskim stylem, solennie odpowiedział. Potem wybrawszy rosłych i silnych, przyłączył do zastępu zbrojnego; młodszy zaś drobiazg odesłał do książki, dodając jednak: aby w razie oblężenia, według mandatu ś. p. kasztelana Ligęzy, otroki nad 10 lat, gotowymi byli do obsługi, t. j. podawania ładunków itp. Z powiększonym tedy wojskiem maszerował stary hetman miejski rzeszowski: od ratusza przez sam środek rynku około wielkiej studni, aż pod Opatówkę czyli miodową arenę. A kiedy się ku niej zbliżali, przejęła się dusza i serce armii całej nowym zapalem i podwójną ochotą. Jak gdyby z ziemi wyrosnięci, wysypali się na Łabudzie z sieni, i grzmiąc znanego pobożnym mieszczanom marsza! „Marsz! marsz me serce na Kalwaryą!“ prowadzili całą kolumnę przez jarosławską-bramę na Nowe-miasto i po moście na rzecę Wisłoku, wprost na błonie miejskie.

Tam tedy rozpoczęły się pierwsze ćwiczenia wojenne piesze; bo służbę konną i wodną, odłożono na później; równie jak i służbę puszkarską. Rozpoczęły się zaś stósownie do prawideł taktyki całego świata: od nauki chodu wojennego. Jak pasmo gęsi lub żórawi po nad góry i lasy wiosną ciągnące, szła sławetna młodzież rzeszowska jeden za drugim mimo poważnego hetmana, który potężną swą buławą i pięścią drugiej ręki machając, głośno kroki liczył i powtarzał: „Raz! dwa!! słoma! siano!! raz, dwa, słoma, siano!“ — A ciągle napominał: „prosto! głowa do góry!!“ Stary hajduk zamkowy, jeszcze do tego wykrzykiwania wybijał takt na tarabanie hetmańskim; a hetman przedmiejski z dobytą szablą, prowadził ten cały szereg; przy téj sposobności i sam ucząc się maszerować wedle wojennych prawideł. Po ukończonym ćwiczeniu, znowu zagrali Łabudy ulubioną pieśń: „Marsz, marsz me serce na Kalwaryą“ a hetman podrzuciwszy swą buławę, pochwycił zręcznie w powietrzu, i tym samym porządkiem jakim przyszli, wracali do miasta przez zwodzony most i jarosławską - bramę. Tam nieprzebyta zapora wstrzymała ich pierwszy, wojenny pochód. Po nadaremnym głośnym wołaniu: „z drogi! ustąpić się! itd.“ musiał poważny hetman zakomenderować: „Kolumna stój!“ Wstrzymanie pierwszego, wojennego pochodu, wydało się złą wróżbą przyszło-

ści; więc hetman rozgniewany podniósł buławę w górę i zbliżył się do tłumu.

W pośrodku licznego roju dziatwy Izraela: z jakie pół kopy żydów nie młodych, biło się wśród głośnego: „Aj! waj!!“ i najrozmaitszych przekleństw. Jarmurki leciały w górę, a z obdartych bród i pejsów ciekła krew. W samym środku tłumu, najzacieśniej stary okopiszczał jako najwierniejszy sługa rabina: Ben Lewi, bił się z Majerem, co solą kupeczył; a Icek arendarz głównej dzierżawy i Kelman Aronowicz, były burmistrz gminy żydowskiej, walczyli z Herszkiem mydlarzem; kilku zaś żydów bogatych ujmowało się za Chasklem, zięciem Abrahama Przemyskiego, najbogatszym prawie kupcem w Rzeszowie; którego zajadły Juda kuśnierz przysiadł, i potężnymi kułakami okładał. Żydówki przestraszone zbiegały się zewsząd, każda swego męża wołając po imieniu a wszystko w niebogłosy!

Zgorszony takim nieładem i nieporządkiem, u samej bramy miejskiej przez żydów uczynionym, zapomniał stary Jakub na chwilę owęj hetmańskiej godności, i buławą swą trzcina zaczął gromić plecy i łby żydów rozjuszonych, nakłaniając tym sposobem ich do zgody i ustąpienia z drogi. Tak dobitna namowa nie została bez skutku. Z przeraźliwym krzykiem *Et loif! et loif!!* co znaczy: uciekaj! rozpierzchli się żydzi w okamgnieniu! Stary hetman usunąwszy przeszkodę, postąpił na

kilka kroków, i zawołał donośnie: „Kolumna marsz!“ Łabudy zagrali, a młode wojsko związkowe prężąc się i marszcząc brwi, kroczyło dalej wedle Opatówki, mimo studni wielkiej na środku rynku, aż na Majdan główny; gdzie chorągiew zatknięto, taraban hetmański złożono i straż zaciągniono. Drobnu uczniowie szkół pijarskich, napomnieni łagodnie od hetmana, usłuchali go i wrócili do szkoły, chowając się na przyszłe Rzeczypospolitej usługi. Na każdy jednak wypadek, podzielili się na dziesiętnie i setnie i wybrali starszyznę.

GMINA ŻYDOWSKA
W RZESZOWIE.

GMINA ŻYDOWSKA W RZESZOWIE.

Stefan Batory, wraz z sejmem uchwalającym: jedynastu rodzinom żydowskim pozwolił pobytu w Rzeszowie. Od tego czasu pełniąc wolą Bożą, tak się żydzi w mieście tém rozmnożyli: że roku 1769 było ich: gospodarzy rodzin 104; komorników 172; luźnych 49.— Żyli z rzemiosł i przemysłu. Co do rzemiosł liczyli najwięcej cyrulików, kuśnierzy, pasamoników i złotników. Złotnicy wsławiли rodzinne gniazdo swoje wynalazkiem fałszywego „złota rzeszowskiego“. Z niego pierścionki, kulczyki i tym podobne rzeczy wyrabiali na korce. Mieli oni małe stowarzyszenia między sobą, z których każde rok w rok z towarem nagromadzonym, jednego z pomiędzy siebie wysłało w świat daleki. Od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, zachodzili, aż po krańce Azyi. Jeden z nich

imieniem: Verliebter Kosteczki z dwóch palcy u nogi w Kameczatce odmrożonych i odpadłych, do końca swego życia troskliwie zawinięte chował, i umierając (około 1830) do grobu włożyć kazał. Pod Sędziszowem do niedawna żył karczmarz olbrzymi, stary, niegdys złotnik rzeszowski, który w Lesgii z towarem swym złotniczym podróżując, omal głowy od cerkieskiego noża, nocując w stannicy moskiewskiej, niepostradał.

Wielkie majątki w pieniądzach, futrach i jedwabiach spływały ztąd do Rzeszowa. Część ich zawsze oddawali na Synagogę, prosząc Boga o błogosławieństwo w zamysłach swoich. Synagoga rzeszowska należała téż do najbogatszych w Polsce; książęta Lubomirscy w nagłych potrzebach dawali asygnaty na Synagogę, które ta natychmiast wypłaciwszy, z podatków sobie odtrącała. A podatki te żydowskie wynosiły rocznie: 17,827 złp.— Poglównego samego płacili co tydzień: złp. 300, od wolnych elekcyj burmistrzów swych, czyli kahalnych: złp. 108, a wybiérali ich co kwartał. Farze dawali wosku kamień, łoju centnarów 2.— Prochu armatniego: 4 cent. co rok; piérwsze na Boże Narodzenie, drugie na Wielkanoc, a dwa na Boże-Ciało. Instygatorowi: suchedni 72 złp., instygatorowi na buty 24 złp., a za dozór zegara na wieży, także 24 złp. Rabinowi co tydzień: 6 złp., kantorowi 3 złp. itd. itd.

Rządzili się sami według nadanego od Stefana Batorego przywileju. Rabin rządził sumiennie, a burmistrz kahalni: pieniędzmi. Oba urzędy należały do bardzo zyskownych, i mnóstwo żydów dobijało się o nie. Dobijano się zaś przekupstwem jurysdykcji zamkowej. A ponieważ bogatsi więcej dać mogli, od biednych, ich zwykle obierano burmistrzami. Więc z urzędu swego pobierając podatki od gminy: ochraniaли krewnych i bogatych znajomych, a tém bardziej dusili biedniejszych. Wielki ztąd lament bywał między biedniejszymi żydami. Roku 1757: Majer solarz, Herszko mydlarz i Judka kuśnierz, przyszli na zamek do śp. ks. Teodora Hieronima Lubomirskiego, skarżąc swą biędę, jakoby starsi sklepy krewnych od podatku ochraniaли, a na biednych nakładali. Skarżyli rabina, że, aby był obranym, z kahalnej kasy kubapy rozdawał itp. Kże. Teodor Hieronim Lubomirski, chcąc zakończyć te zatargi, do téj sprawy wyznaczył komisję, z komornika pogranicznego Wyszogrodzkiego, Wojciecha z Borowa Borowskiego, Józefa Piaggia i W. Kazimierza Poraj Madejskiego. Ci tedy komisarze, spisali dokładnie wszystkich żydów mieszkających w Rzeszowie, i rozłożyli podatki, stósownie do majątku każdego z nich. Najbogatsi kupcy, jakoto: Chaskel Przemyski, Zellmann zięć brata jego, płacili po 12 złp. na tydzień; Jonasz Przemyski i Herszko rabin z Radomyśla, właściciel sklepu korzennego w kamienicy wójta

placili po 10 złp. na tydzień; najbiedniejsi po kilka groszy. Komisya ta przepisała dalej: Aby tylko 4ch faktorów w mieście było, i to za osobnym przywilejem księcia Jego Mości. Ktoby się prócz nich poważył faktorować, idzie do więzienia i robot publicznych; obywatel zaś, co takiego faktora używał, 300 grzywien zapłaci do zamku. „Chajrem“ czyli kłątwy wielkiej, zakazano rabinom rzucać bez pozwolenia zamku, pod winą 1000 grzywien: z których grzywien 100 delatorowi, czyli denunciantowi przypadało. Kto się żenił w inném mieście, opowiadał i opłacał się zamkowi; toż samo gdy kto listu do podróży żądał. Most wielki na Wisłoku, mosty na szluzach, bulwarki i parkany naprawiało w części miasto, w części synagoga. Z wszystkich tych okoliczności, łatwy wniosek bezustannych zatargów: żydów z magistratem i między sobą. Biedniejsi: Majer solarz i Herszko mydlarz, jako stronnicy ubodzy uciskani od bogatych urzędników kahalnych, ciągle im się opierali, podburzając drugich.

W Załościach nędznej mieścinie obok Czortkowa, na modlitwach i zgłębianiu mnogich wykładow pisma zakonu, i rozmyślaniu nabożném, trawił życie swoje, a w końcu cudami wśród swych zwolenników, około roku 1760 zasłynął żyd ubogi nazwiskiem: Beszl. Twierdził on: iż podczas gorącej modlitwy, dusza jego zapominając swęj ziemskości, ulatuje do nieba, a Bóg - Izraela zasa-

dza ją w gronie wiecników swych i słucha zdania jej. Twierdzenie to popierał Beszt surowością obyczajów, postami i utrapieniami ciała. Mnodzy zwolennicy uwierzyli mu i pragnąc naśladować mistrza kurzeniem tytoniu, a nawet gorzałką, wprawiali się w pobożne odurzenie, mieniając: iż wzniesli ducha do Boga. Sławę zaś mistrza swego, roznosili w koło wraz z tajemnicami nauki jego. Sami zwali się: pobożnemi (*hassydym*) i nieuznając zwierzchności rabinów zwykłych, słuchali tylko swych *Cadyków* t. j. świętych. Wyznanie ich da się streścić w tych naukach:

1. Po Bogu kochaj swego cadyka, bo przez niego od Boga otrzymasz wszystko, o eo on dla ciebie poprosi.

2. Prócz świętej nauki cadyków, wszelka inna wiedza jest niepotrzebna, występna, pogańska!

W tych kilku słowach, zwolennicy Beszta do fanatyzmu podnieśli naukę dziejów swych narodowych, odtrącając precz wszelkie związki z oświatą społeczeństwa ludzkości.

Świetlejsi rabini sprzeciwili się temu nierozumowi; lecz ciemne, bezrozumne tłumy przyjęły z zapalem zasadę: aby ciemnota górowała nad światłem.

Chcąc głoszonych prawd bezzasadność okazać, zagłębiali się w rozumowania, oparte na mylnych wykładach, lecz na samych pismach Mojżesza. Zastanawiając się nad istotą Boga, poznali

trzy Jego objawy: Stworzenie, zbawienie ludzkości przez braterstwo ludów, i oświatę jęj. Tak wzniosłe pojęcie zbliżyło ich do chrześcian.

Wyznawca tych prawd, główny: Frank Jakub r. 1759 przybywszy do Warszawy, świetnego uznania i przyjęcia doznał u biskupów i na dworze królewskim. Żydowie téż warszawscy uznali prawdy, które głosił, i pragnęli zbratania się z narodem polskim.

Beszt i chassydymy przeciwnie pragnęli jak najzupełniejszego odłączenia od całego świata nieczystego.

Na względy biskupie i królewskie, jakich Frank doznawał w Warszawie, odpowiedzieli sympatya: dla Moskwy!— Za Moskwę walczącą z Turkiem Beszt wznosił modły gorące, a gdy Moskale zwyciężyli, zwolennicy Beszta głosili cud: Iż Moskwa zwyciężyła tylko w skutek prósb do Boga samego za nią wniesionych przez Beszta.

Frank z mnogimi swemi zwolennikami, wychrzcil się w Warszawie, wygłaszając jawnie: Iż stary zakon skończył już postannictwo swoje, a lud Izraela nie w Palestynie się odrodzi, lecz w braterstwie narodów chrześciańskich.

Beszt nieprzeżył tego! umarł ze zgrozy! a przekleństwo niewiernym i przeniwierzałym, skostniało na ustach wychudłych postem i umartwieciem.

Uczniowie jego rozeszli się po świecie, a głosząc zasady jego, sami stawali się świętymi cadykami. Do téjże godności dążyli usilnie rabini mniej świetli i mniej pohopni do wyrobienia w sobie przekonania rozumowego.

Rzeszów, miasto kupczące a żydowskie, wczesnie w pośród siebie ujrzało świątobliwego cadyka wiekowego, ucznia cudotwórczego Beszta. Nauka jego oświeciła ciemne umysły większości, a wkrótce gromada żydowska stała się przeważnie hassydyską: cadyk przewodził, aż do swéj śmierci. Na mogile jego zmurowano grobowiec marmurowy, a stary Okopiszczak najgorliwszy z wszystkich pobożnych, strzegł go jak gdyby żrenicy swéj własnéj, jak gdyby serca swego własnego.

Obok wyznawców cadyka, przemycała się téż ukradkiem nauka Franka, który tajnemi zwolennikami byli ludzie kupczący po dworach i miastach nadwiślańskich, mianowicie: Majer solarz i Herszko mydlarz. Nie myśleli oni o chrzcie ani Trójcy świętéj, ani nawet o brataniu się zupełném z Polakami, nie marzyli. Lecz znając nienawiść Polaków do Moskwy, bacząc iż w Polsce i z polskiej ziemi żyją, niechcieli się odplacać zdradą i życzliwością wrogom. Wszędzie więc gdzie się zdarzyło obstawali za Polską, wzbraniali się mōdlić za Moskwę. Że zaś potępiali ciemństwo ludu biednego i nierówny podział ciężarów; kahał przyodziewający się w szatę gorliwéj pobożności, ko-

rzystając z pozoru, mienił ich zwolennikami pogańskiego Franka. Wielu jednak pokrzywdzonych, stawało w ich obronie. Lecz potworzyły się dwa stronnictwa zacięte i wzajemnie sobie nianawistne.

Żaden zbiór gminny nie obszedł się bez kłótni i kulaków, a zwykle rozpoczynał bójkę stary Okopiszczak, wierny sługa i wielbiciel wszystkich maremorajnych, tj. panów z panów, a główny wróg goimów-ekimów. Zarzucał on solarzowi i mydlarzowi przymierze z goimami, prześladował i kłął ich nieustannie. Prześladowani zaś, wyszukiwali wszelkich sposobów pomszczenia się z swęj strony; a poznawszy: że bogaci ich przeciwnicy, bardzo się konfederacyi obawiają, postanowił przyłączyć się do nich. Widząc starego woźnego Jakuba w pochodzie na błonie z improwizowanem wojskiem swoim, zebrali się w bramie, aby go przy powrocie uroczyście przywitać. Spostrzegli to bogaci i zaalarmowali całe swe stronnictwo a między niemi starego Okopiszczaka. Ten nadbiegłszy natychmiast, z Majerem stolarzem bój rozpoczął, w który się niezwłocznie cała gmina wzięszała, i tylko wielka buława starego Jakuba węzeł ich gordyjski zdołała rozplątać. Rabin rzeszowski zgorszony tak jawnem przechyleniem się na stronę goimów i Puławskiego, (którego żydzi w skutek rekwizycyj branych na imie marszałka przemyskiego, nazwali: Połapskim), wyrzekł w bóżnicy wielką klątwę na solarza, mydlarza i ich

stronników; a to nie zważając na przepisy i nieopowiedziawszy się zamkowi. Solarzowi właśnie tego trzeba było, w zemście swój niepohamowany, przybrał do siebie kilku świadków, i pobiął natychmiast na zamek, donosząc o zapadłej winie, żądając przytém 100 grzywien dla siebie, jako delatera, stósownie do przepisów komisji. Bogaci jego przeciwnicy, przerażeni tym zamachem na ich majątki, pobięli za nim w trop, i w mgnieniu oka dziedziniec zamkowy napelnił się żydami. Cała służba dworska a z nimi Grzesio, wybiegli oglądać to zjawisko niespodziane, i niezwłocznie rozpoczęli płatanie najrozmaitszych figlów.

Pan wódz Żyłowski przystąpił do urzędowania, i wybadawszy delatora i świadków jego, rozkazał milczenie krzykliwej rzeszy, i zawołał pisarza zamkowego, aby spisał protokół. Grzesio wołając pisarza, wziął w rękę kawał kielbasy. Bogaty Chaskel, zięć Abruma Przemyskiego, najbardziej był zirytowanym i najwięcej krzyczał. Przystąpił Grzesio do niego wypytując o przyczynę zbiegowiska i kłótni. Chaskiel w zapalczywości swój, jął w głos przeklinać, całą winę nań zwalając, a Grzesio upatrzwszy chwilę, wsadził kielbasę żydowi w otwartą gębę, aż w samo gardło. Chaskel skoro uczuł niezwykły smak w ustach, zacisnął zęby i odgryzł mimowolnie kawałek zakazanego mięsa; a poznawszy ogromny błąd swój, kwapił się z wydalaniem z ust kielbasy. Żydzi

się zbiegli w około Chaskla i z okropnym krzykiem pytali go: Co to jest? Zgorszony ledwie zdołał wymówić: *A kiszkie!*

Aj waj! kiszkie; aj wej mar, kiszkie, a chaser! aj waj!! Rozległo się po całym dziedzińcu i wszyscy żydzi, gdyby ukropem złani, lub jakby ich co opętało, biegli aż do stawku pod bóżnicą, gdzie niezwłocznie rozpoczęli przepisane mycie i koszerowanie się. Tylko Majer solarz został z swojemi świadkami, i spokojnie zeznawał doniesienie swoje.

Pan Żyłowski oburącz podparłszy boki, śmiał się z dowcipu swego jedynaka, i darował mu złotówkę. Majera zaś oświadczającego dobre swe dla konfederacyi chęci, odesłał do hetmana miejskiego.

Stary hetman Jakub stał na Majdanie i rozdawał szarżę z mocy urzędu swego hetmańskiego. Wierny wykonywacz mandatu *Illustrissimi*, s. p. kasztelana Ligezy, nie dzielił armii swój na pułki i brygady, lecz na dziesiętnie i setnie. Dziesiętnikom nakładał odpowiedzialność za podwładnych towarzyszy, a setnikom za dziesiętników, a jako katolik gorliwy, nie lubił żydów i dyssydentów. Więc i Majer z jego towarzyszami chciał po instygatorsku odpędzić, kiedy go tenże zagadał imieniem pana włodarza Żyłowskiego. Znoszenie się to bezpośrednio, władzy zamkowej, pochlebiało dumie hetmana wielkiego, uważającego w tém niejako uznanie władzy swój ze strony zamku.

Złagodniał tedy, ale przekonany, że żyd z natury swój płochliwy, zawsze przy strzelaniu oczy zamruży, i placu nigdy nie dotrzyma; rozmyślał co by począć z tym nowym przybytkiem związkowym. W zamyśleniu wydobył rozkaz z za pasa, i zażył tabaki z ciemiężycą, a kichnąwszy serdecznie, wola żyda do izby sądowej, i z ramienia władzy swój hetmańskiej, pisze ordynans do dyspozytora wsi Hussowa i Malawy: aby Majerowi solarzowi i Herszkowi mydlarzowi, których naprędce wiernikiem hetmańskim mianuje, natychmiast wydano: tyle a tyle sosien i dębów dla naprawy podupadłych parkanów miasta Rzeszowa i aby je niezwłocznie odstawiono. Z tym tedy ordynansem, posyła żydów do pana Żyłowskiego, i każe powiedzieć: że panowie hetmanowie miejscy proszą o łaskawy przypisek i pieczęć zamkową. Pan Żyłowski podpisuje, kładzie pieczęć i pochwała uchwałę hetmańską, przekonany: iż miasto zapłacić będzie musiało. Z takim tedy ordynansem hetmańskim wysławszy żydów do Hussowa, napisał drugi ordynans do synagogi rzeszowskiej, przypominając im: Iż wedle mandatu ś. p. kasztelana Ligezy, mają się postarać o cztery hakownice na basztę swoją przy bóżnicy, o trzy kamienie prochu dobrego do hakownic i o pół kopy kul do dział, nakoniec o puszkarza zdatnego, coby z nich strzelał pod winą 40 grzywien i zamknięciem bóżnicy.

KŁOPOTY HETMAŃSKIE.

KŁOPOTY HETMAŃSKIE.

Okazywania się i ćwiczenia wojenne odbywały się już przez dni kilka. Pojętne dzieci miasta Rzeszowa, maszerowały coraz lepiej, odłamując się w dziesiątki i piątki, i deptały paszę na błoni, od Wisłoka aż pod młyn nad Strugiem. W miarę wzmagającej się wojennej doskonałości mieszczan, krowom ich dojném, ubywało mléka ku wielkiemu niezadowoleniu wszystkich dobrych gospodyń, co ich krowy i mléko daleko więcej obchodziły niż wszystkie wojny i konfederacye. Ćwicząc młodzież w pochodzie i robieniu broni, niezapomniał nasz hetman o starszyźnie. Na końcu każdego okazywania, zwoływał ją około siebie i uczył rozkazywać donośnym głosem, od hetmana przedmiejskiego począwszy, aż do ostatniego dzie-

siętnika, wszystkich kolejno. Najprzód: Baczość!
potém: setnia, dziesiętnią stój! setnia, dziesiętnia
marsz! setnia, dziesiętnia nabij! setnia cel, setnia,
dziesiętnia pal i zabij!

Wyćwiczywszy cokolwiek zkonfederowane
wojsko swoje, przystąpił do rekognoskowania o-
brony miasta. Wziął swą wielką buławę w rękę,
otarłszy okulary połą od sukni, zawdziął na nos
i obchodził cały Rzeszów przekonując się: że mia-
sto bardzo strategicznie położone.— Od strony
wschodniej Wisłok dość szeroki, chociaż miejsca-
mi niekoniecznie głęboki; od południa i zachodu
wielkie dwa stawy, rzeczce zwanéj Mikoszką, pły-
nącą z nich po pod sam wał miejski, synagogę,
basztę i bramę żydowską, a potém zwracającą się
na północ do koła nowego miasta, wpadającą
w nurty Wisłoku. Waly ciągnęły się w koło miasta,
a jeden z nich opasujący klasztor i ogród OO. Ber-
nardynów wraz z przedmieściem: Klapkawką, cią-
gnął się aż do Mikoszki. Kościół bernardyński ze
strzelnicami i wieżą wysoka, bronił krakowskiego
traktu. Jarosławska i żydowska brama, broniły
miasta od wschodu, zamek oblany wodą z bul-
warkami, i obmurowany klasztor ks. Reformatów,
broniły od południa; a głogowska brama od pół-
nocy. Całe miasto było wodą oblane przez wiel-
kie dwa stawy z Wisłokiem. Flotylla więc zrę-
cznych rybaków z dobrými strzelcami, wielkie
mogła przynieść usługi, a zwłaszcza co do prze-

praw i niespodzianych wycieczek. Postanowił więc hetman przezorny korzystać z téj okoliczności, i uorganizować czajki wojenne, dla których trzcina wysoka za wygodne ukrycie we dnia służyć mogła.

Pełen planów wojennych, wracał nasz hetman ulicą zamkową, mimo klasztoru i szkół OO. Pijarów; kiedy nagły dźwięk nad głową jego i brzęczące kawałki szkła, zmęczony krok jego wstrzymały i wzrok na okno szkolne zwróciły.

„Panie hetmanie, gwałtu! panie hetmanie, ratuj!” wyleciały głosy wybitą szybą; a stary hetman zażywszy tabaki z rożka u pasa, szedł za głosem wołającym, po schodach prosto do szkół XX. Pijarów.

Na kurytarza otoczyła go zgraja chłopcząt przeleknionych, uciekających spieszenie ze szkoły. Wszyscy razem zaczęli mu coś opowiadać, czego niemógł wyrozumieć; ale się domyslał, gdy przez otwarte drzwi obaczył księdza rektora zagniewanego i księdza Patrycyusza Szlezyngera, hamującego zapędy gniewu. Dwóch potężnych kalafaktorów trzymały za barki płaczącego pierwszego premianta, a obecnie setnika przyszłego legionu studentów otroków; na ławie zaś leżał złowrogi batożek.

„Laudetur Jesus Chrystus” uroczyście rzekł hetman na progu, zdejmując poważnie baranią czapkę.

„Laudetur in aeternum“ odpowiedzieli przytomni, a pierwszy premiant zarumieniony, zapłakany wyrwał się kalefaktorom, biegł prosto do hetmana i całując w obie nogi i oba kolana, błagał o pomoc.

— A cóż się to z Waszmością dzieje? możeś Wasze co zrobił?

— Jako żywo panie hetmanie! zato żeśmy się zkonfederowali, mają nas bić batożkiem!

— Tak jest! tak! prawda odrzekł ksiądz Rektor, nieposiadając się od gniéwu: Ja nieznam konfederacya tylko król! a kto przeciw król ten buntownik, a oni chciał konfederacja przeciw król, a ja będę kastygowal za to!!

— Ale dycki ja prawię: że to dziatwa bezrozumna, to nietrzeba się na dzieci gniewać! przerwał łagodząc ksiądz Szlezyngier....

— A jegomość dobrodziej widzę od Staska, zagadnął hetman, i całując z uszanowaniem rękę księdza Patrycyusza, dodał: Widzę to z mowy i poczciwości: że Jegomość niedaje krzywdzić, dziatwy. A ja dziatwie krzywdy uczynić nie dam! i bić chłopców nie dam! a jak mi się który z-kalefaktorów poważy rękę położyć na którym, to mu na majdanie pod ratuszem, po staro - hetmańsku podogoniami każę krzyże tak wysmarować, że się będzie długo lizał. Rozumisz jeden z drugim.

A teraz do Waszmości księżę Rektorze; My przeciw królowi Jegomości niepowstajemy, tylko

przeciw Moskwie, co przysiadła króla i Polskę. Król Jegomość błądzi: że niedotrzymuje paktów zaprzysiężonych: że wrogowi pozwala gospodarzyć po kraju, i zdzierać nas i nasze hetmany! nasze biskupy na Sybir wywozić!! My na to zezwolić niemożemy! Ale Waszmość widzę masz ochotę zezwalać: żeby biskupy szli na Sybir? Takito z Waszmości ksiądz?? To szyzma lepsza od Rzymu? — A zato jeszcze dziatwę bić?! — Drzewiej w szkole wojenki uczono! Chłopczy pouczywszy się z książek, bili się na palcaty; a palcem na hetmany wychodzili! Lubomirscy w szkole uczyli się bić na palcaty, więc téż bili Turki, Szwedy a i was Sasy podobno! — A Waszmość jész chleb Lubomirskich i smakuje Waszmości, a dziatwę batożysz za to: że robią jak oni! Ani mi się Waszmość tego waż! bo sam na Waszmości sprowadzę pana Puławskiego i księcia Marcina.— Powiedzialem Waszmości, teraz się kłaniam!

Ksiądz Rektor chciał coś odpowiadać, usta mu drgały; ale na wyraz: Puławski! zmieształ się, zgryzł wargi i odszedł.

Stary Jakub zwrócił się do księdza Szlezyn-giera, pocałował go w rękę i po cichu dziękował za wstawienie się, i odszedł wygadując na głupi rozum mimiecki, którego nawet święta sukienka mądrości nie nauczy!...

W końcu zwrócił się jeszcze ku chłopcom przykazując: A wy otroki, pamiętajcie mi Boga.

chwalić i na książce się uczyć pilnie! żebym się za was niepowstydał przed panem Puławskim. Palcatami róbcie! ale tylko w chwilach wolnych od szkoły. A jak was będzie potrzeba, to się wam da znać!

Chłopcy po szkole wykradli chorągiew i pod Alwarem domalowali potężną szablicę. Ksiądz Szlezyngier uśmieł się z tego, a ksiądz Rektor nieśmiał już nic mówić choćby rad był użył batozka swego.

Zgorszony tak bezprzykładną księdza Rektora OO. Pijarów obojętnością dla sprawy Polski i wiary św. katolickiej; wracał stary hetman Rzeszowa na majdan, ani przeczuwając: że to dopiero początek hetmańskich kłopotów i trosków.

Przemówka z księdzem rozgrzała konfederacką krew w starych żyłach, i obudziła zapal hetmański. Wziął za taraban i kazał bębnić „na okazywanie“ Stary hajduk a obecnie doboz wolnym krokiem obchodząc ulice, wzywał mieszczan do zebrania się na majdan.

Nieomylny dotąd środek, zawiódł teraz niestety! Prócz dwudziestu kilku przedmieszczan, mianowicie szewców, rzeźników, rybaków i kilkunaśtu uczniów pijarskich, nikt nieprzychodził; nawet hetman mniejszej buławy. Podcechmistrzego Mieszczkańskiego niebyło widać. Hetman oburzony taką oziębłością, zażył tabaki z ciemierzycą, z rozka u pasa, pokręcił wąsa i niemówiąc słowa, szedł

prosto do pomieszkania swego hetmańskiego towarzysza.

Niespodziane zastał tam widowisko: Hetman Mischeński wydzierał się z objęcia płaczącej żony i szwagrowej, a matka siedziała na skrzyni, w której szabla jego spoczywała, wzbraniając otworzenia: służące, dziewczki łamały ręce zamykając drzwi izby tak: że Jakub buławy swój i kilka setni diabłów i pare piorunów siarczystych do pomocy otworzenia, wezwać był przyniewolony.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! cóż to oszalałyście baby! czy was co opętało? rzekł stary Jakub wytrzeszczając oczy na tę całą grupę.

— Aha! Wyście mądry, wam dobrze godać za konfederakami, bo niemacie żony ani dzieci, wam łatwo gadać że my oszalały.

— Ta! bo czemuż go niechciecie puścić? ludzie śmieją się po całym mieście.

— Ja go niepuszczę, niech się śmieją kiedy chcą; wy póty będziecie wojować, aż was wszystkich Moskale pozabijają i nas biedne sieroty i miasto spalą, jak spalili Jasło i wyrznęli pół miasta i gwardyana Karmelitów.

— Któż wam to gadał pewno pan burmistrz z wójtem.

— O nie! całe miasto o tym gada, idźcie tylko do Grzegorza, a sami się dowiedziecie— odpowiedziała rzewnie płacząc, młoda pani podcechmi-strzyni. A teraz dodała: Jakubie! jakeście pocz-

ciwy, idźcie sami i przekonajcie się, jeżeli nieprawda, to synowę do Alkierza zapakuję, a jego święconą wodą przeżegnam i sama go wyprawię.

— Czy Pan Bóg skarał temi babami, czy co? Oj dobrze mój ojciec mawiał (Panie daj mu wiekuisty spokój): Gdzie djabeł nie niewskóra, tam babę pośle. Tak gdyrząc przez drogę i niuchając tabakę, szedł Jakub do Grzegorza Szaynoka (brata onego Szaynoka z Brzozowa) kupca sukien i win węgierskich. — Długa sień w domu pana Grzegorza była napchana ludźmi, którzy się z uszanowaniem rozstępywali, całując z obu stron ręce hetmana. Wielka izba była zamknięta ze środka. Na głos: Otwórzcie Grzegorzu! pan hetman idzie! otworzono natychmiast. Wszedł stary Jakub i rzekł: Laudetur Je.... wtém ujrział medyka miejskiego: Gillmajstra, człowieka rozsądnego i zdatnego, a którego jednak niecierpiał, a to z dwóch przyczyn: że był Sasem w trzygraniastym kapeluszu z harcopem i w trzewikach chodził; a powtóre: że był lutrem. Niezważając więc na pana wójta Klimkowskiego, ani na pana Frankiewicza, szwagra i stronnika burmistrzowego, ani nawet na ks. w habicie OO. Karmelitów, razem z oboma przywinie siedzącego, opadł go po swojemu.

— A ty lutrze poganinie! ty kanalski duchu, a to tyśmi baby w mieście zbuntował!!... i niemyśląc wiele, podniósł buławę i chciał go walić.

Przełknięty doktor skoczył ze stołka, i kryjąc się pod stół, wołał: Mospan Jakub! szo to jest, ja niewim o nic!

Gospodarz domu i ksiądz karmelita przyskoczyli i pochwycili Jakuba za ręce, a on się im wydzierał ku doktorowi, wołając w przerwach: puście mnie!.... księżo karmelito. Grzegorz puście mnie!... ja go nauczę.... on niewie nie, bo ma głupi saski rozum z warkoczem!.... a kobiety umi straszyć i gadać im: że Jasło spalili..... puście mnie!

— Ale to ja gadał o Jasle..... daj no Wasze spokój.... przerwał mu ksiądz.

— To Jegomość gadał? a któż babom takie głupstwa gada?

— Uspokojno się Wasze, to nie głupstwo! ja dopiero co z Jasła przyjechał.

— I cóż to tam było? czy spalili miasto?

— Niespalili, ale o mało co niespalili.

— A zabili księdza gwardyana?

— Nie zabili, ale by byli zabili, gdyby nie był uciekł na Węgry, zabrawszy skarbiec klasztorny.

— A czemuż ten niedowiarek rozgaduje: że spalili miasto i wyrznęli ludzi, ja go tu nauczę rozumu!

— Ale dajże Wasze spokój, doktorzyna nic niewinien! bo jakże mógł rozgadawać, kiedy ja

go tu zastał przed godziną i kiedy ani na krok z izby nie wychodził.

— No! to niech teraz rusza! bo ja go nie mogę ścierpieć.

— No-no-no, panie Jakubie, dajcie no spokój; taé my nie wiémy: że to dawniej lepiej było, i że nam tych Sasów djabli na kark sprowadzili (choć się szlachta ze mnie śmieje, kiedy im to gadam). Ale pan doktor niewinny, on się i naszym może przydać;— perswadował Grzegorz Szaynok dodając po cichu: jak pan Puławski przyjdzie, toé trzeba będzie doktorów....

Imie Puławski! rozbroiło gniew Jakuba, usiadł i wziął szczyptę przez księdza karmelitę podanej tabaki.— Tabaka była dobra, śliwowica, w której biedrzeńcowe korzonki mokły, skrapiana, rozweseliła myśli starego hetmana a wino dopomagało.

— Zdrowie hetmana Puławskiego! zawołał pan Grzegorz i wypił do Jakuba, a Jakub pijąc do księdza, rzekł: W ręce Jegomości! Zdrowie JW. Pana Puławskiego, hetmana polskiego! niech mu go Bóg w Trójcy świętej, za którą się bije, użyczy w sto lat! a ta Matka Boska Częstochowska, której obraz święty na hetmańskiej chorągwi nosi, niech go ochrania płaszczem łaski swój anielskiej, aby żadnego szwanku nieponiósł!

— Daj Boże! daj Baże! rzekli przytomni i pili kolejno.

Doktor się wyniósł tymczasem, wkrótce i wójt i Frankiewicz. Natomiast przyszedł Miszczański i pocieszając się, siedzieli u Grzegorza. Z południa poschodziło się więcej, ale cóż z tego, kiedy każdy przełknięty. — Nadarmo Jakub cieszył, nadarmo groził, strach opanował wszystkich. Temu chodziło o żonę, tamtemu o dzieci, wszyscy się bali, chociaż nikt nieżałował siebie, tylko jeden drugiego. Temi mowami tak starego unudzili: że im naklął wbrew raz i drugi, tabaki zażył i odszedł.

I długi czas nierozmarszczył czoła, bo służba i musztra szły nie tak w ład, jak zrazu; byłby może upadł na sercu, ale go krzepiły ciągle wieści: że się konfederaci zbliżają.

KONFEDERACI.

KONFEDERACI.

Jagusia Luderzanka i matka jój, zbierały się właśnie do kościoła, aby wedle zwyczaju swego, prosić cudownej Matki Boskiej bernardyńskiej, o orędownictwo i opiekę nad sobą, krewnymi i ukochanym Bartłomiejem, który na wiosnę wyjechawszy gdzieś, bez wieści zatonął w świecie, jak gdyby kamień w wodzie. Wtém widzą od miasta tłum ludzi pędzących ku młynowi. Zerwała się Jagusia, wyglądała i wołając: Mamuniu konfederaci idą!! zapłakała z radości i wybiegła z młyna. Na wzgórzu przeciwległym stała polna grusza samotna, jak gdyby serce opuszczone. Tam Jagusia stęskniona często wybiegała i usiadłszy pod nią, patrzyła zroszonemi jak bławat oczyma, wyglądała ku wschodowi: czy nie widać krasiego konika, co jój kochanie przywróci? i opierając stroskaną główkę o pień

chropowaty, słuchała: czy nie załętnią białe krasnego kopyta, czy niezagra trąbka konfederacka? Lecz nadaremnie!..... Z czerwoni od płaczu oczyma wracała do młyna i całe noce trawiła na modlitwie i łkaniu. Matka cieszyła ją jak mogła, lecz najczęściej płakała z nią razem, całowała i docierała łzy z oczu jedyne go dziecka swego. Ojciec zaś skoro to dostrzegł zmarszczył brwi, zgrzytnął zębami i zamykał za sobą drzwi ciemnej komory. Od czasu pokrzywdzenia swego, nienawidził wszystkiego, cokolwiek z zamkiem styczność miało; nienawidził nawet mieszczan z ich burmistrzem i wójtem niedbałym. Tylko żyd, okopiszczak rudobrody, miał przystęp do młyna, bo mu przynosił wiadomości o wyzniesieniu szlachty na Ukrainie przez hajdamaków, o pobiciu konfederatów w Wielkiej Polsce i na Litwie. Takich okropności słuchał chętnie i dumal o nich całe noce. Dumal właśnie teraz.... aż hałas na dworze obudził go. — Mimowolnie spojrzal na wzgórze..... Pod gruszą stała Jagusia i z bijącym sercem śledziła pierwszych chorągiewek, a wkrótce rozpoznała srokatego konia. W nadmiarze szczęścia zapłakała głośno, i chciała biegnąć naprzeciwko. Ale ponury głos ojca rozkazał jej wrócić do młyna. „Żebyś mi się niepoważyla na krok odchodzić od domu“ zakrzyczał ją młynarz, którego się ócz groźnych przeleżała po pierwszy raz w życiu. Jak wiosna po

zimie, uspakajała matka łagodnie, całując swe biédne dziecié i tuląc do siebie.

— Niechodź, niechodź Jadziu! bo eoby na to ludzie powiedzieli, zostań tu przy mnie! oni wkrótce nadjadą!....“ I posadziła ją obok siebie na ławeczce.

— Na polach Powitnej zagrała tymczasem trąbka, chorągiewki błysły, a krasy zarżał wesoło; potém trąbka zabrzmiała proporce i konie spuściły się w wąwóz ku młynowi.

Bartłomiej Murski, podoficer z dywizyi Puławskich, prowadził przednią straż z kilku ludzi złożoną. Koło karczmy na górze spał krasego i wyprzedziwszy poczet swój, osadził go przed młynem. Koń znowu zarżał wesoło i grzebał białą nóżką, a Bartłomiej nie zsiadając, witał się z młynarką i swoją Jagusią, zarumienioną jak gdyby maczek polny.

— Gdzie Wawrzyniec? czy zdrów?

— Zdrów już.

— A cóż to, chorował?

— Alboście to niesłyszeli o jego niewinném pokrzywdzeniu?

— Przez kogo?

— Przez księżną i Grzesia....

— Chciał się dalej wypytywać, wtém nadjechał poczet; ludzie téż z miasta poznawszy Bartłomieja, witali głośnym okrzykiem. Niebyło czasu.

— „Do widzenia wieczorem, bo służba wolność traci“ rzekł do młynarki cisnąc ją za rękę. Bądź zdrowa Jadziu, jak tylko najrychlej będę mógł, wrócę; spiał konia i sadził przez most koło młyna.

Stary hetman zastąpił mu drogę, i ocierając łzę radości, podał drżącą rękę i rzekł: Chwalażci Paniel żeście raz przyjechali, bo ja sobie już rady nie mogę dać z nimi.

— Z kimże?

— A z tym Maistratem i temi mieszczanami, co się was konfederatów boją, gdyby ognia.

— A to źle.

— Tać źle! ot patrzcie jak ta mała garstka, co za wami trzyma, ale ja to wszystko powiem panu Puławskiemu, czy on tu jedzie?

— Nietylko pułkownik Chojnaeki, odrzekł Bartłomiej z smutném westchnieniem, lecz za kilka dni pan Rejmentarz Radziwiński— ale bądźcie zdrowi Jakubie, bo ja mam w mieście strażę pozaciągać.

Podczas téj krótkiej z hetmanem rozmowy, Łabudy rznęli swoją sztukę, wygrywając skoczne krakowiaczki; a stary Łabuda zawiesiwszy baranią czapkę na szyi potężnych basów, kłaniał się głową Bartłomiejowi, a basował aż ziemia dudniała.

Wkrótce nadjechał pan Chojnaeki, którego stary Jakub uroczystą mową przyjąć chciał, ale mu się nie udało, bo go pan Chojnaeki pierwszy zagadał: A co, czy to miejskie wojsko?

— Tak, Jaśnie Panie pułkowniku, a ja konfederat ś. p. króla Leszczyńskiego, zebrałem ich dla pana Puławskiego i podchwycił trochę.

— Ho! a niech no ich szanowny Sodalis spróbuje.

— Dobrze pułkowniku. — I zażywszy tabaki z ciemierzycą, rzucił buławę do góry, pochwycił w powietrzu i zawołał: baczność! Kolumna prostowała szeregi, jaki taki prostował się i czupurył, a hetman komenderował: dziesiętnikami na prawo, zachodź! itd. itd.

— Dobrze, dalibóg dobrze! wołał pan Chojnacki, a stary hajduk wybijał takt na tarabanie, a wnuczę starego Łabudy piszczało na bżowej piszczałce miasto Faifra.

— Łepsko, dalibóg! jakąż godność pana brata?

— Jestem instygatorem urzędu ławniczego i wójtowskiego; a obecnie obrało mnie miasto swym hetmanem, stósownie do mandatu ś. p. kasztelana Sandomierskiego Spytka Ligęzy, pod rokiem 1627.

-- Witam! witam uprzejmie, i mocno się cieszę: że wiara konfederatów króla Leszczyńskiego niewystygła.

— I niewystygnie! jakem sodalis Maryanus, aż do skonania; boć to my starzy lepsi byli, jak ci teraz (tu wskazał na miasto), gdzie każdemu lada chałupa albo baba, milsza nad ojczyznę i wiarę świętą katolicką, człek się wztzydzić musi na

swe stare lata, że z takiego miasta ledwie taka garść się uzbierała.

— Dałby Bóg! żeby się w każdym miasteczku tyle znalazło, a mielibyśmy kilkakroć sto tysięcy; pół świata by można niemi podbić, nietylko Moskwę wypędzić— a teraz moi hetmanie, wasze tu gospodarzem, prowadźcie na gospodę.

Hetman się skłonił widocznie uradowany, poczem podrzucił buławę i zawołał: naprzód! marsz. Łabudy zaczęły grać: Marsz, marsz me serce na Kalwaryą.... Ale im przerwał śpiew konfederacki: „Marsz hussarze, marsz pancerni. Obrońce ojczyzny wierui.....“ Śpiewali dobranemi głosy jadąc wśród nieprzeliczonego tłumu ciekawego ludu, a przodem hetmanił stary Jakub i prowadził konfederatów przez most na Wisłoku, gdzie już straż konfederacka przez Murskiego zaciągnięta, stała i jarosławską bramą na rynek, a ztamtąd w zamkową ulicę postępowała. — W zamkowej branie ujrzeni chorągwie kościelne i procesyą z jarzącem światłem i obrazami w kwiaty strojnymi, a ksiądz gwardyan OO. Reformatów stał z kropidłem i święconą wodą. Stary hetman zdjął czapkę, przeżegnał się i zawołał: stój! — Za jego przykładem poszedł pan Chojnacki i uszykował swoją kolumnę. Hetman wołał dalej: do modlitwy, klękni! kolumna uknęła i zdjęła czapki, co i konfederaci na koniach uczynili. Ksiądz gwardyan przystąpił bliżej i zrobiwszy znak krzyża świętego, odmówił

modlitwę konfederacyi barskiej, codzien w Barze odmawiana, a w całej koronie i na Litwie upowszechniona. Poczem umaczał kropidlo i podal pulkownikowi i hetmanowi, i skrapial szeregi blagoslawiac: w Imie † Ojca † i Syna † i Ducha sw. W koncu zanucil: „Twoja Czesć Chwala nasz wieczny Panie!...“ i wiodel mimo zamku, do swego kosciola. Tam klęczac odspiewal: Te Deum laudamus i ową ulubioną suplikacją ludu polskiego. Święty Boże! W drugiej zwrotce zamiast „i wojny..“ śpiewali konfederaci „.....i od niewoli! — wybaw nas Panie“. —

Pulawscy wkroczeniem swém na Litwę, ogromnie Moskwę zakłopotali, biorąc tył armii jej przeciw Turkom wystawionój. Radzywińskiego odwrót a nawet księcia Marcina mimowolne trzymanie się prawego brzegu Wisły, dokończyło tego kłopotu.

Moskwa główne siły wojenne zwróciła była ku ziemi Podolskiej jeszcze zeszłego roku. Tak np. w Staszowie stojący generał Podhoryczanin w 1000 koni, ruszył ku miastu Barowu zaraz po ogłoszeniu związku. W dobrach Grabińskiego, starosty czudeckiego, wypoczywał w pałacu jego w Trzebusce. Ażeby dobra sokołowskie uwolnił, na sąsiednie szlacheckie wsie rozpisal palety furazne, prócz wielkich wygód w podarunkach, odebrał złp. 1080.

W roku 1769 Moskale zajawszy Łancut, założyli tam magazyn, zasilający dowozami armią nadniestrzańską.

Jeszcze 19 lipca, moskiewski dowódzca w Łancucie wydał palet, za którym: „....Miasteczko Sokółów z przyległościami dla wojska rosyjskiego do magazynu w Stanisławowie przystawić ma: żyta 100 korey; owsa 100, jęczmienia 50; krup tarczanych lub pszona (!) korey 10. Któryto prowiant na dzień 23 tegoż miesiąca (4 sierpnia) do miasta Łancuta przystawić, a z Łancuta do Stanisławowa z konwojem pociągnie“— Tą razą inaczej wypadło. Radziwiński od Krakowca zachodząc, a zajawszy Jarosław, zagroził Moskwie na bokach i tyle; Lubomirski zaś opatrzywszy się w zbrojownią zamku rzeszowskiego, usadowił się nad Wisłokiem w Grodzisku leżajskim. Moskwa rada nierada, opuściła Łancut i uchodziła ku Warszawie; więc bokiem od tego Grodziska, w którym oboźniczył Jan Krokowski, rotmistrz książęcy. Zrobił on wycieczkę na odwód moskiewski, i odbił furazę sokołowskie, które uprowadzić chcieli. Z kwitru wydanego maluje się chępliwość zwycięzcy.

Nakazany prowiant dla wojska rosyjskiego: Prześwietna konfederacya Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej, — komendy JO. księcia JMci Józefa Marcina Lubomirskiego, marszałka krakowskiego — odbiła i do siebie zabrała, t. j. żyta korey 50, owsa korey 25, jęczmienia korey 25.—

Przeto z komendy wojska rzeczzonego, daje się kwit. Dan w Grodzisku 3go Sierpnia 1769. Jan Krękowski kapitan i garnizonu komendant księcia marszałka krakowskiego.

Konfederacya przemyślska chciała iść w ślady Puławskich, chciała być sprężystą; a pułkownik Chojnacki jako najsprężystszy, wodził przednie strażę. Pochwaliwszy Pana Boga, jął się spraw swych, mianowicie poboru. Chcąc się porozumieć z miastem, posłał po burmistrza, rajce także i po kahał żydowski. Prócz ławnika Balabandra, nikt się nie stawiał — co stary Jakub wcześniej przepowiedział.

Pułkownik rozgniewany, rozpiśał na miasto poboru 4000 zlp., wyjmując tylko domy te, które wyprawiają ludzi do konfederacyj. Na rajcę zaś zesłał egzekucyą wojskową, po dukacie co godziny, dokąd się niestawia; a na wójta i burmistrza po dukatów 2. Tak samo na kahał żydowski.

Za niewielką chwilę stawiał się burmistrz Baczynski, wójt Klimkiewicz, przyszli i rajce, lecz niestawili się tylko starsi kahału żydowskiego; uniewinniając się i pokornie znosząc gromienie; szczególnie zaś prosząc o zmniejszenie poboru. Chojnacki zniecierpliwiony, kazał ich oddać pod straż ścisłą. Naradziwszy się więc, prosili: żeby wybrał od żydów właśnie przypadające kwartalne pogłówne — a w dalszém poborze żeby brał towary z sklepów.

Przystąpił na to Chojnacki, zgniewany na żydów. Sam udał się do synagogi, gdzie mu przełknięty rabin, za kwitem wydał pogłównę. Poczem obsadziwszy strażami sklepy, wybierał z nich co mu było potrzeba, kwitując własnoręcznie. Żydostwo narobiło ogromnego krzyku, na co jednak pułkownik niezważał wcale.

Miasto o resztę poboru uprosiło sobie zwłokę, rajce więc zostali uwolnieni.

Na zamku panował wielki przestрах między dworzanami księżnej; prócz włodarza Żyłowskiego byli sami niemcy. Komendant zamku Blomberg, rozbrojony przez księcia Marcina, w niczem się nieśmiał przeciwieć.

Doktor Gilmajster zamkowy lekarz i aptekarz, aby zmyć z siebie podejrzenie nieżyczliwości dla katolicyzmu, i okupić się od prześladowań, złożył 1040 złp. do skarbu konfederacyi przemyskiej, co naturalnie z podziękowaniem przyjęto. Dał też 5 koni. Czem wszystkiem wielką sobie zaskarbił łaskę.

Poczem pułkownik przyjmował gości życzliwych, mianowicie: pana Tynieckiego stolnika bydgoskiego, sądowego plenipotentę księżnej Chorażyny wraz z małżonką jego przystojną. Także Batowski Antoni, wojski pilźnieński, a syndyk klasztoru OO. Bernardynów rzeszowskich, składał uszanowanie i życzenia.

W młynie zaś panował smutek. Z ust młynarki i Jagusi słuchał Bartłomiej Murski opowiadania krzywdy męża. Serce mu rozdzierały płaczem przerywane słowa, malujące wściekłość Grzesia pastwiącego się nad niewinną ofiarą zemsty; a łzy dziewczyny, paliły serce jego wyrzutem przyczynienia się mimowolnego do nieszczęścia tego. Na domiar smutku, młynarz go na oczy widzieć nie chciał i zamknięty w swój komorze, nie otworzył jej, aż po odejściu jego. Wszystkie prośby żony, córki i Bartłomieja były nadaremne. Wiedział bowiem: że konfederaci na zamku goszczą, a zamek był mu wrogiem, a Bartłomiej konfederatem. Z goryczą w sercu, wracał więc Murski do miasta, témbardziej rozżalony: iż widział niepodobieństwo pomszczenia rodziny Wawrzyńca Ludery. Każde bowiem rozdwojenie szkodziłoby sprawie, której on z takim wylaniem się służył.

W okropnym i złowrogim przeczuciu strawił resztę nocy bezsennej, przerywanej widmami piekła; z pomiędzy których czasem przyćmiona gwiazdka szczęścia jego błyszczała.

Nazajutrz pułkownik zwołał jeszcze raz burmistrzów; przykazał im wypełnienie ściśle zarewersowanej obietnicy; w przeciwnym razie grożąc całą surowością wojskową. Potém zwołał cech i do robót w obozie wybrał z pomiędzy nich: krawców 32, szmuklerzy 6, rymarza jednego i szew-

ców czterech; dobrawszy z sklepów skór złotych i czarnych dla nich do roboty.

Żydzi prócz pogłównego i towarów z sklepów wybranych, musieli jeszcze w darowiźnie dać: kawy, cukru i korzeni podostatkiem. Komendantowi zamku przykazał mieć baczne oko na żydów i ludzi podejrzanych, a zostawiwszy załogę do przypilnowania furazów i ściślejszego wypełnienia ordynansów, ruszył napowrót do Jarosławia. Ze zbrojowni zamkowej wziął ostatki: pistoletów par 15, karabinów 5 i pik kilkadziesiąt.

Bartłomiej stroskany wolał też jechać!

Po odjeździe Chojnackiego wolniej odetchnęli burmistrz i żydzi; wójt Klimkowski niemyślał się narażać na powtórna pogadankę z konfederatami; niebacznie zbierał co miał droższego i zakopywał w piwnicy. Bogaci mieszczanie i ławnicy powyłazili z kątów, narzekali na ciężkie czasy i turbowali się co to będzie z tego wszystkiego? Tylko Balabędrowski ślusarz i gospodnik zarazem, jako człowiek śmiały i przytomny, nie martwił się bynajmniej. Pogadawszy ze starym Jakubem, co żywo wziął się do pracy: kuł i piłował: grotty do proporców, naprawiał zamki do starych karabinów; wieczorem zaś pisał do Wgo Kuropatnickiego w Tarnowcu, niedaleko od Jasła położonej wiosce, donosząc mu o wszystkiem i polecając się wielmożnej łasce jego. A kasztelan czytał listy jego najprzód swój żonie, córkom i synowej, potem

księdzu kanonikowi Karwickiemu, proboszczowi w Tarnowcu, i wikaremu jego księdzu Leopoldi; dalej JW. Pani Bukowskiej i córce jej z Jedlicza. Bo sam stolnik Bukowski był podówczas w Gdańsku z pszenicą, a w końcu zszywał w książkę kazał oprawiać w półskórek, przylepiał winietę swą biblioteczną z numerem i rokiem, i pisał na pierwszej karcie łacińskie chronostychy, co wszystko w Zakładzie Ossolińskiego we Lwowie obaczyć można.

BUDZIWOJCE.

25*

BUDZIWOJCE.

Po odjeździe Chojnackiego zpoważniało miasto, jak gdyby się przez te dwa dni pobytu ich podstarzało o jakie stulecie. Starzy i młodzi nie myśleli o czém inném tylko rozmawiali o wojnie; każdy w swój sposób śmieszniemi słowy, lub z powagą wedle wieku i krwi w żyłach. Nad ligęzowskiem zamkiem zaś wiał widocznie ponury duch bojów i krwi. Gromady chłopów w posepném zamysleniu, zwały ogromne kłody drzewa i zsypywały potężne kupy piasku w ogrodzie przed bulwarkami, a zboża i obroki w kazamaty zamkowe. Taki rozkaz wyszedł od włodarza na żądanie p. Blomberga, komendanta rzeszowskiego zamku.

Prócz gromad do Rzeszowa przynależnych, stawili się i kmiecie Budziwoja, dóbr hetmana Klemensa Branickiego: Chłop w chłopu sążnisty!

w swych czerwonych czapkach rogatych stojących, na łokieć prawie wysokich, któremi się od niepa-
miętnych czasów, aż po dziś dzień wyszczególniają.

Bóty z podkówkami na cal wysokimi, któremi w tańcu ognia krzeszą a w bijatyce powalonego przeciwnika po piersi depcząc, śmiertelnie kaleczą; u pasa kalętka strojna w świecące guziki z hupką i krzemieniem, nożyk składany i krzesiwko stalowe. Hetmana Branickiego, dziedzica swego i pana na Budziwoju 19stu jeszcze wsiach około miasta Tyczyna, kochali i poważali szczerze, o czém do dziś dnia pamięć jego trwa w pośród nich. Ej! mieliby co kochać! Hetman wielki koronny, szwagier króla, pan dobry i rządny, umiał siebie szanować i kmieci swych poważać. Jaki pan, taki kram, a taki też i łokieć! —

Któż w okolicy liczył takich gospodarzy jak Budziwoj, perła kluczą Tyczyńskiego? Zabudowania we węgiel, obszerne, drewniane; komory gospodarskie z piecem kaflowym i podłogą; łóżka wysłane pod powalę; stare księgi do modlenia, szczególnie: „Ogrojec męki Pana Jezusa“ i „Nabożeństwo Niepokalanej Matki Jego“; wszystko to nie było dziwem w Budziwoju. A kiedy zjechali na targ do Rzeszowa każdy: czwórka dobrymi końmi jedném licem z siodła kierowanemi wedle zwyczaju swego i pradziadów swoich; a tyle było parskania, kwiku i rżenia na całe miasto: że lu-

dzie stawali podziwiając dorodne kniotki i kmiecie bogate, konie i długie ich wozy kute. Skoro zaś zasiedli na Opatówce, to naraz wypili więcej miodu i gorzałki, jak reszta targowych za tydzień; płacąc bitymi talarami i dobrymi tymfami. Wtedy jak się wniósł jakiś chłop obcy między nich, to wydawał się gdyby poganiacz, i często mógł usłyszeć: „Co mi to za chłop, jak Budziwojska baba“. A kiedy ich zaczepił, to na tym świecie więcej gorzałki już nie pił, skoro budziwojskie podkowy przeszły przez ziobra jego!

Budziwojce nie robili pańszczyzny. Ale zato! skoro pani hetmanowa do Tyczyna zjechała, i pisała do męża swego na Litwę, każdy z kolei siodłał konia, a drugiego miał w odwodzie i pod obrok; brał pismo za pazuchę i talary do kalety a przeżegnawszy się krzyżem świętym, jak ruszył z kopyta, to się nie obejrzał aż między Litwinami: na dziedzińcu w Białymstoku. Gdzie konia swego u mosiężnego kółka przywiązawszy, nieoddał pisma nikomu, tylko do rąk własnych pana hetmana.

Niedawno właśnie wrócił wójt budziwojski z takiej posełki, który oprócz listu przywiózł rozkaz hetmana i pięknej pani hetmanowej: aby się łączyli z konfederatami, bo inaczej toby ich gotowi wydzierżawić żydom.

Budziejowskich kmieci wydzierżawić żydom? Baby nawet i dziewczki obruszyły się na tę myśl, i powiedziały chłopom: że im żarem ślipy zasy-

pią, jeżeli im tego wstydu narobia". Więc rzekli: Nasz pan hetman się bije i my z nim trzymajwa i bijwa co się nawinie, bośwa hetmańskie chłopy! niedajwa sobie w kaszę płuć.—

I ruszyli się na rzeszowski zamek, przywiodłszy parobków lepskich i bitnych, a rosłych kieby sosny. Z ochotą stawali w szereg i przysięgali na Boga, Wiarę świętą katolicką i polską Koronę, w której ich dziedzic hetmanił, bić się do ostatniej kropli krwi. Po odebranych wyprawach i złożonych w zamku zbożach i obrokach, rozeszły się gromady, a stary Jakub odetchnął wolniej i o niczém nie marzył, tylko o konfederacyi i wojnie.

O innych rzeczach zaś myślała żydowska gmina w Rzeszowie. Z wielkim hałasem przyleciał na kahał Zelman kupiec, któremu Chojnacki ze sklepu sukna zabrał, a targając sobie pejsy i brodę, żądał rady i pomocy, a zanim przyleciała: Zysła Jakubowa, Jakub Abrahamowicz i wszyscy kupcy, z których sklepów pułkownik brał towary. Ale kahał był zajęty własnymi kłopoty. Złożona pogłównego rata kwartalna ciążyła im na sercu, obawiali się bowiem: czy w razie niutrzymania się konfederacyi, nie będą musieli powtórnie zapłacić, obawiali się także niełaski króla i zemsty Rosyan; był tam istny sądny dzień. Zelman wpadłszy do nich, krzykiem swym i płaczem tak do ostatka zaalarmował kahał: że wszyscy głowy potracili i między sobą żarliwe kłótnie rozpoczęli.

Z kupcami, którym towary zabrano przybyła też i żona Herszka mydlarza tego samego, którego nienawidzono za sprzyjanie konfederatom, a na którym ciążyło wielkie przekleństwo: Chajrem. Sprzedawała ona w sklepie męża swego prócz mydła i świec, także żelaziwa, powrozy i papier. Chojnacki wziął jój: 6 par strzemion, popręgów parcianych kilka, papieru liber 6, kilka powrozów i postronków; ogółem za 36 złp. 10 groszy. Ta żydówka największy harmider wyrabiała utyskując na niesprawiedliwość rabina i burmistrzów; wygadywała: że stary okopiszczak niemogąc dłużej wytrzymać zniewagi świątobliwego rabina Berka Lewkowicza, zatkał babie gębę i za drzwi wyrzucił. Ale za drzwiami stał mąż jój i tak mocno okopiszczaka laską w łeb palnął, że mu czapka z beretkiem z głowy spadła. Na to hasło rozpoczęła się powszechna bójka; zajadłe oba stronnictwa zmieszały się, i nie mało uszczerbku doznały pejsy i brody walczących. Byliby się na śmierć bili, gdyby ktoś z rozsądniejszych nie był zawołał. Stary Jakub *kimt!*— Powaga imienia starego hetmana, przywróciła porządek, ale nie wróciła spokoju i zgody. Rozpoczął się płacz wielki i narzekanie, które trwało aż pokąd szkolnik na modlitwę nie zapukał. W szkole zgromadziła się cała gmina i zapomniała na chwilę o kłótni, a rabin pomodliwszy się Bogu Izraela, wyrzekł klątwę wielką na wszystkich goimów, którzy lud wybra-

ny podatkami trapią, i na wszystkich tych, którzy im sprzyjają. Po modlitwie zeszli się burmistrze i kilku kahalnych do narady tajemnej coby czynić, i zgodzili się na to, że najlepiej byłoby, gdyby Moskale prędko przyszli; postanowili więc rozesłać szpiegów, i dowiedzieć się o najbliższej ich komendzie. Spodziewali się, tym czynem przeprosić króla i Rosyan, a najwięcej wyjednać sobie potwierdzenie kwitów, i ajść dalszej konfederatów napaści.

RADZYMIŃSKI.

RADZYMIŃSKI.

W wilią świętego Wawrzyńca 9go Sierpnia 1769 r., we środę rano nadciągnął Filip Radzyński, regimentarz konfederacyi przemyskiej i sanockiej, w przeszło tysiąc ludzi i z dwiema armatami. Nadciągł bez wieści i prędzój niż się kto spodziewał. Jechali milcząc i bez śpiewów, a po znużeniu ludzi i koni, było widać: że całą noc marszerowali. Prócz znużenia, widocznie przebiegał się smutek na twarzach. Strach i smutek ogarnął całe miasto, bo się stwierdzały od kilku dni przez żydów rozsięwane wieści: o klęsce i zupełném rozbiciu a podobno i śmierci braci Puławskich i Bierzyńskiego na Litwie, i o zwątlalych nadziejach utrzymania się konfederacyi barskiej. Zamiast wybiegać z powitaniem, chowali się mieszczanie po kątach, żydzi zamykali sklepy i zakopywali skarby; tylko stary Jakub z garstką swoją już umun-

durowaną, i wójt budziwojski z swémi parobkami witali konfederacyą.

Piérwsze zapytanie regimentarza było: Gdzie burmistrze, wójt i kahalni? Burmistrz zadał się chorym; wójt wymknął się z miasta, a ławnicy prócz Balabédrowskiego, który przed domem swoim stojąc, ostro się uklonił i sporządzone karabiny i groty na zamek taszczył; pochowali się wszyscy, mianowicie kahalnego byłby na lekarstwo nie dostał. Regimentarz wjechał na zamek z częścią konfederacyi, resztę zaś umieścił po domach w mieście. Opatówka, rozumié się, nie została bezludną, kilkunastu konfederatów zakwaterowało się w niej i czysciwszy zmęczone konie, poprzywiązywali je na dziedzińcu obszernym w cieniu odwiecznego dębu, co sterczał nad domy miejskie, jak olbrzym nad kretowinami. Sami zaś udali się na gospodę. Zeszło się tam kilku mieszczan odważniejszych i kilku podoficerów z Bartłomiejem, a w końcu i stary Jakub z jakimś starym konfederatem, podobno także jeszcze Sodalisem, i zasiedli w koło stołu. Stary Jakub był bardzo zmartwiony i oburzony na miasto:

—Kołtuny przekłéte! wołał, takiego wstydu mi narobić na moje stare lata; żeby zaś niewyjsć na przeciw ze światłem, z chorągwiemi, jak Bóg przykazał; Majstrat na przodzie, żeby téż burmistrz niezagađał po łacinie nie przywitał, na śniadanie nie zaprosił... tfu! kołtuny obmierzłe!!

— Ale dajno spokój bracie, zagadywał stary sodalis jego, dajno spokój, to miasto temu niewinno, ot miasto nasze, przecie taką ładną kupkę chłopców wyprawilo, a ten wójt z parobkami swemi, w tych czapach czerwonych, toż lud nie lada. A co ławnicy i bogacze toć oni zwykle tchurzą.

—Ej niechby sami tchórzyli bierz ich djabli! aleć bo to mospanie drugim myśli mącą i serce kałą, a to nie żarty. Hej! żeby ja tak był młodszy! nauczyłbym ja ich i tych żydów poganów, co to p. Puławskiego Pułapskim zowią, a pogańskie syny!...

— Dajno! spokój bracie, dajno spokój! gdzie tam z żyda będzie cò dobrego, kiedy on niema ojczyzny, za którąby się bił, bo to od czasów jak Zbawiciela Pana naszego ukrzyżowali, to djabeł wstąpił w nich i w niego tylko wierzą; bo djabeł się przemienił w te trzydzieści srebrników, za które Judasz Pana Jezusa zaprzedał; odtąd tylko w srebrniki wierzą, tylko w srebrniki i w złoto, bo tam djabeł siedzi!... Ot! w Rawie powiesiliśmy jednego co szpiegował i lud buntował; drugi uciekł, tylko mu dwa zęby wybili!—

Starego Jakuba odwołano, aby co tchu spieszył na ratusz. Zastał tam Balabandrowskiego, kilku mieszczan konfederacyi sprzyjających, zgromadzonych w izbie wójtowskiej. Na stole leżał ordynans pana regimentarza, a oficer z ramienia jego zesłany, żądał wciągnięcia go do akt i ogłoszenia po mieście.

Żądaniu stało się zadosyć; a po dziś dzień można go wyczytać w księgach miejskich rzeszowskich.

Actum coram officio advocatiali et proconsulari scabinali Ressor. feria sexta post Tum S. Laurentii Malc. proxa A. D. 1769.

„Oblata ordynansu W. Radzymińskiego, regimentarza związku konfederacyi, prześw. Ziemi przem. de tenore sequentur.

Z mocy i władzy urzędu mego czynię wiadomo miastu Rzeszowu, a osobliwie burmistrzom, mieszczanom, kahalnym i wszystkim mieszkańcom, iż uważając opieszałość czyli wążpliwość, dla krążącego nieprzyjaciela w powinnej usłudze dla wojska rodowitego i nieprzyjazną nieprzychylnosć; kiedy nikt ze starszyzny nie stawwszy się, od wszelkiej usługi i wygody unikają. Dlaczego tym obwieszczeniem czynię przestrożę, jeśli téj nieżyczliwości dalej doświadczać będę — iż ogniem i mieczem jako nieprzyjaciół prześladować wojsku dopuszczę, i powinnego użyję jako na przeciwników rygoru; za odebraniem tego obwieszczenia, cokolwiek jest do żywności potrzebnego, aby przystawioném nieodwłocznie było do zamku i strazy. Co serio zalecam. Działo się 9 Aug. 1760 w zamku rzeszowskim.“

Filip Radzymiński
regimentarz m. p.

Po przeczytaniu całemu miastu i żydom, oblatowali ordynans *coram officio advocatiali et pro-*

consulari scabinali Ressoviensis, na drzwiach ratusza przybili i pojechali dalej.

— Dobrze wam tak o! dobrze! wołał stary Jakub, poczkaście no jeszcze, niech Drewicz przyjdzie, dopiero wy mnie usłuchacie i naucecie szanować konfederatów! —

Niesłychany lament powstał w całym mieście, kobiety łamały ręce, dzieci zachodziły się od płaczu i chowały po kątach, starzy zwieszali głowy i radzili jakby zapobiedz złemu; tylko dziewczęta i garstka młodzieży cieszyli się, że będzie wojna i dawali wzajemnie otuchy i odwagi. Niezadługo wybrało się poselstwo biedniejszych mieszczan na zamek, starego Jakuba i ślusarza Balabędrowskiego na czele, prosząc o względy dla miasta, uniewinniając się ubóstwem i niewiadomością; niemniej złym przykładem starszych gminy polskiej i żydowskiej, którzy miasto dodawać otuchy, zastraszały i od konfederacyi odciągali. Wysłuchawszy wymówek, odebrali łagodniejszą odpowiedź i usłyszeli: że Moskwa najdalej za jaki dzień naciegnie, aby się przygotowali do oblężenia. — Tak tedy wojna! Zasmucili się mieszczanie zrazu, ale powoli, dali się pocieszyć: że to nietylko u nich taki wypadek, i poruczywszy się Boskiej opiece, czekali co nastąpi.

Konfederaci tymczasem posiliwszy się cokolwiek strawą i napojem, wypoczywali po nocnym pochodzie. Pikiety stały do koła porozstawiane

o ćwierć mili od miasta, podjazdy ciągle jeździły wkoło, a konfederaci co niebyli w służbie, pokładli się spać pó obiedzie. Tylko regimentarz nie spoczywał. Z komendantem zamku Błombergiem, naradzali się nad obroną zamku, w którym się trzymać postanowili.

Zameczek w Rzeszowie, przez Mikołaja Spytka Ligezę kasztelana Sandomir., około roku 1600 zbudowany, leży na brzegowisku, którędy przed wieki, jak się zdaje, wisłok płynął. Rzeka ta zmieniła swe koryto, obracając się niżej o kilka stajen po „Stare Wisłoczysko“ po dziś dzień zwane. Zameczek zbudowany w czworokąt z basztami po rogach, od południa i zachodu oblewały go dwa stawy ogromne. Pierwszy pod samą prawie basztę południową płynąć miał upustem do Wisłoka, dawném jego niegdyś korytem rozszerzoném w stawek ogrodowy, gdzie woda oblewała wyspę obsadzoną wysokimi klonami. Była to sadzawka zamkowa, zwana „na winnicy“. Piękny na nią był widok z okien zamku. Na środku bowiem wyspy, stała tak zwana glorieta wysoka, nad cieplarnią obrośnięta latoroślą winną. Gondole czarne na sposób weneckich, z proporcami i różnobarwnemi przydaszkami stały u brzegu, a białe łabędzie pływały po czystém zwierciadle wody. Brzegi sadzawki były obmurowane, a południowy brzeg od strony miasta wznosił się terassami, winem obsadzonemi. Tam na północy stał (i stoi) piękny letni pałac

książęcy, z którego okien miły widok na drugą sadzawkę w postaci gwiazdy istnieje, kanałem złączoną z pierwszą sadzawką; dalej widok na ogród klasztoru Pijarów i miasto, a z boku na Wisłok i Malawskie góry z kaplicą Maryi Magdaleny na najwyższym wierzchu.

Drugi staw ciągnął się aż po za klasztor i ogród Bernardynów i miał trzy upusty: jeden kanałem przez bulwarki do rowu zamkowego i sadzawek; drugi główny między miastem i klasztor Bernardynów do potoka Mikoszki oblewającego samo miasto aż po za żydowską bramę; trzeci po za ogród klasztorny bernardyński, po pod wał i parkany przedmieścia „Klapkówki“ po za okopiska żydowskie, domierzają potoka Mikoszki.

Oba stawy łączyła szluza około figury św. Jana, przed bulwarkami zamkowymi i przez most na niej szło się do klasztoru OO. Reformatów. Stawami pływano na czólnach do Bernardynów; a kiedy kanały do bulwarków otworzono, wtedy oblewała woda zamek wkoło, a bulwarki i baszty broniły samychże kanałów.

Ogród zamkowy, mianowicie winnica była szeroką i prostą ulicą drzew od ogrodu Pijarów, odłączona i żelaznemi sztachetami obwiedziona. Zamkowa brama broniła jedyne wejście od strony miasta.

Bartłomiej tęskniąc przecuciem party, opowiedziawszy się oficerowi siadł na krasego i pojechał do młyna.

Przed młynem stał wóz naładowany i zaprzęzony, na który właśnie młynarka z córką wsiadały. Przestrzeżone wprzód od Bartłomieja, ujeżdżały do Babicy do krewnych, aby ująć napaści Moskali. Bartłomiej uwiązał konia do wozu, przysiadł z nimi i odprowadził je do karczmy na Wygnańcu, za którą niedaleko stała placówka. Był smutny i choć serce miał przepelnione, nie mógł mówić, tylko patrzył na swoją Jagusię zapłakaną, co od łkania słowa przemówić nie mogła.

Okolo karczemki „Czekaju“ przeszedł przez drogę żyd jakiś i lupnął na nich czerwonymi ślępiami. Jagusia się wzdrygnęła i mimowolnie rzekła: Mamuniu patrzcie-no ten żyd idzie! — Cóż to za żyd? zapytał Bartłomiej, któremu się on bardzo czegoś niepodał? — On tak od kilku dni chodzi do młyna z okopiszczakiem i zawsze coś z tatuniem pociehu gadają.

— Cóż takiego?

— Niewiem tyłkom podsłuchała: coś o Ukrainie i Podolu i coś niby na panów; ale tatunio wyglądneł z komory bardzo ponury, a ja się skryła.

Bartłomiejowi krew zakipiała, i wypytywał się dalej o żyda.

— To jakiś nietutejszy, zauważała młynarka, bo on nie po naszymu gada, a mnie się zdaje: że to może i nie żyd, bo on tak coś gada jak ten Iwan kozak zamkowy, i widziałam ich nawet

razem, kiedyśmy z litanii Matki Boskiej szły w sobotę już wieczorem. Jak nas ujrzeli, to udali, że się nie znają. Oni tatunia czasem nawet do karczmy wyciągają tu na „Czekaj“ to tatunio jak ztąd przyjdą, to ani słowa do niego niezagadają, jak gdyby niesłyszeli.

Coraz bardziej rosła ciekawość Bartłomieja, przeczuwał bowiem coś okropnego.— Tymczasem zbliżyli się do Wygnańca i zatrzymali na chwilę. Chcąc wstąpić na pożegnanie. Cierpkie ono było, o tyle tylko miłe, że bez świadków, bo w karczmie nie było nikogo. Biędna Jagusia aż się zachodziła od płaczu, i ciągle powtarzała: oj już my się więcej nieobaczymy na tym świecie! i łamała ręce żeby się kamień był zlitował. Bartłomiej niemniej smutny i żaloszny, czuł jednak konieczność rozłączenia się. Pocałował młynarkę w rękę, mówiąc: daj Boże żebyś was jak najprędzej matką nazwać mógł.

Daj Boże! daj Boże! odrzekła mu, pocałowała go w głowę i zawiesiła mu swój skalplerzyk Matki Boskiej na szyi, niech cię ta cudowna Matka Boska bernardyńska ma w swojej opiece dziecię moje, boś pocziwe i przywiązane dla nas biędnych... i odwróciła się z płaczem, potem biorąc rękę córki, włożyła w rękę jego i przeżegnała mówiąc: Niech was Pan Bóg błogosławi dzieci moje najukochańsze. Bartłomiejowi łza spłynęła, wziął Jagusię w objęcia i przyciskając serdecznie do łona,

całował drżące usta dziewczyny i czuł wzajemny uścisk i pocałunek. Poczém zawołał: no jedźcie teraz, jedźcie, bo dalej wieczór będzie.

Ledwie zaszły do wozu, powsadzał ich i chciał jeszcze coś powiedzieć... kiedy się na Pobitnie dał słyszeć strzał jeden i drugi i trzeci, a pikiety się zerwały i biegły ku placówkom co koń mógł wyskoczyć. Moskale idą! moskale! zatnij konie i pędź co im siły stanie!..... odwiązał konia i dosiadł..... Woźnica zaciął konie, a tuman prochu skrył wóz i obie płaczące kobiety.

Wtém nadbiegł Marciś Miszczański z pikietą i rzekł: Jagusia i młynarka kazały was jeszcze raz pozdrowić; Moskale ciągną od Łancuta, to ich nie zdybia... i popędzili razem ku mostowi na Wisłoku. Tam się zatrzymali chwilę, ale strzały na Pobitnie trwały ciągle, coraz się zbliżając. Bartłomiej chcąc się przekonać naocznie, wziął kilku towarzyszy i skoczył pod placówkę na powiecieńskiej górze. Koło młyna zdało mu się: że widział znowu tego żyda krwawookiego, ale nie miał czasu myśleć o tém, tylko pędził wężozem do góry. I było bardzo na czasie przybycie jego. Duńce bowiem tak mocno i szybko nacierali na placówkę z przeraźliwym krzykiem: Neudjosz kondrata! neudjosz! — Placówka konfederacka zwolna cofała się ku młynowi, a sukurs jój pędził przez most na Wisłoku.

W mieście tymczasem trąbiono pobudkę; konfederaci zrywali się ze snu i w mgnieniu oka zformowali się na rynku. Mieszkańcy zamykali drzwi i okiennice, a młodszy z bijącym sercem żegnali krewnych i kochanki i spieszyli na majdan, gdzie im stary Jakub dodawał odwagi i otuchy. Żydzi zamykali swe domy z sklepami, a z dziećmi i żonami uchodzili do bóżnic. Po zebraniu się rozłożonego w mieście wojska, ruszyli konfederaci na stanowiska przeznaczone.

Przed następującą Moskwą z Grodziska-leżajskiego, cofał się też i książę Lubomirski, wraz z komendą pułkownika Chojnackiego, utrzymującą związek z Radziwińskim. Oba oddziały szły na Sokołów, wybierając mimochodem co się dało wyciągnąć z bogatej Grabińskich Sokołowszczyzny.

Niespodziewając się rychłego następywania Moskwy, konfederacya przemyska w dogodnym Łancucie chciała założyć obóz wojenny, wygodny i obfity we wszystko. To samo zamierzał w Grodzisku książę Lubomirski. W obu obozach chcieli się rozgospodarować należycie i przygotować podstawę w tyle wojsk rosyjskich na Litwie działających. Stósownie do tego rozpisali kontrybucye w około palety na Sokołowszczyznę:

I. Za tym paletem miasto Sokołów, Stobierna i inne wsie do tegoż klucza należące, mają przystawić do obozu pod Łancutem stojącego, na skonfederowane wojsko najjaśniejszej Rzeczypospolitej

ziemi przemyskiej, a to niezawodnie pod surową egzekucją na dzień jutrzejszy, to jest: mąki żytniej pyłowanej korecy 70, razowej korecy 20, pszennej korecy 15, jęczmienia na piwo korecy 60, owsa dla koni korecy 200, krup jęczmiennych i tatarczanych korecy 10, grochu korecy 6, jagieł korecy 4, oleju garncy 10, wołów lub krów zdatnych na zabicie sztuk 20, cieląt 30, loju kamieni 5, masła fasek 10, séra kop 5, kur kop 6, kapłonów kop 3, kurcząt kop 6, gęsi kop 2, kaczek kop 2, jaj kop 20, słoniny polci 8, sadeł 8, wina węgierskiego beczkę, miodu pitego garncy 100, gorzałki alem-bikowej garncy 30, cukrowej garncy 10, grzybów wieńców 50, drew fur 100, oliwy garncy 4, pieprzu funtów 10, imbiru funtów 15, ważywa każdy proporcjonalnie. Co powtóre pod surową zalecane egzekucją i tę podpisuję dyspozycją.

Z obozu die Augusti 1769 anno.

Ant. Chojnacki

pułkownik wojsk sprzysiężonych.

II. Daję ten palet, aby klucz sokołowski za odebraniem onego, prowiant do obozu na wojsko skonfederowane dywizyi JO. księcia Jmci Józefa Lubomirskiego, województwa krakowskiego marszałka; we dwóch dniach od daty terażniejszego, oddały siana wozów 60, owsa korecy 80, wołów 5, wieprzów 5, masła fasek 10, séra kop 4, drobiu różnego kop 4, piwa beczek 6, wódki beczek 2,

mąki korey 10, krup korey 10. Przy każdej fúrze po dwóch chłopów z siekierami i łopatami pod surową exekucyą żołnierską, co mocą na mnie włożoną zaleceniem ręką się moją własną przyciśnięciem pieczęci podpisuję.

Datum w obozie die 22 Augusti 1769.

Aleksander Boguszewski
kwk.

Nagły pochód Moskwy zwyciężkiej na Litwie, nie dozwolił wybrania nakazanej żywności i napojów; zwłaszcza, że podstarości Radkowski wartość żywności z dostawą do obozu, obliczył na kilka tysięcy złotych, i uznawszy go niemożliwym, nie kwapił się z odstawą doraźną. Gdy więc p. Chojnacki w przechodzie upomniał się o dostawę, podstarości dowodząc: iż jest wcale niepraktykowaną, prosił o przyjęcie wykupna 30 czerwonych złotych. Chojnacki pomyślał: że „lepszy rydz jak nic“ więc wziął pieniądze złotem polskimi, których mu wyliczono 540.

Poczem pociągnął do Rzeszowa, gdzie stanął przed Moskwą jeszcze. Książę Lubomirski zaś przeszedł mimo Sokółowa, zasłaniając Głogów i swoją Kolbuszową. Rotmistrz tylko jego Boguszewski wstąpiwszy do miasta, zamiast nabiątu, drobiu, piwa i gorzałki, przyjął: 10 dukatów (= 180 złp.) które wzięwszy, ruszył za księciem.

Radzyński za przybyciem Chojnackiego złożył radę wojenną. Pogłoski dolatywały: że Kazimierz Puławski ocalał na Litwie i z małym oddziałem widzian w okolicy Zamościa. Moskwa tropiła go wszędzie, i tropiąc doszła aż pod Rzeszów. Puławskiego zaś nie widać! — Wnioskowano więc: iż omyliwszy pogoń, ukrył się gdzieś w Lubelskiem. Nadzieja niepełna ożywiła wszystkich: iż się ukaże gdzie niedaleko, skoro żyw i zdrów. — Odwrót ku górcom stał otworem, niebyło niebezpieczeństwa. Lecz oddaliwszy się, gdzież Puławskiego szukać? jak mu dać znać o sobie?? Postanowiono więc bronić się w Rzeszowie, a na rozgłos obrony, może się Puławski zbliży. Miejsce zdawało się sposobnym, bo i miasto wodami i wałami otoczone, zameczek obronny, bez dział burzących niełatwy do zdobycia. W końcu — dokądże doprowadzi to wieczne uchodzenie przed wrogiem może i niezbyt silnym??

Radzyński stósownie do tego, postanowił zawezwać księcia Marcina, aby spieszył pod Rzeszów na odsiecz spodziewanemu oblężeniu; a o Puławskim, aby się postronnie dowiadywał.

Takie samo wezwanie napisał do Paryssa marszałka sandomierskiego, z którym się Lubomirski stykał. Napisał też do marszałków z pod Muszynki bawiących w Sandomierzu, bo Bierzyński tylko z doborem swój komendy, ruszył był na Li-

twę. Imieniem konfederacyi przemyskiej, zapraszał do współdziałania.

Poczem starego Jakuba biorąc na ustęp, zagadał: Trzebaby mi posłańca świadomego a pewnego! niechno Wasze zaradzi, bo znasz dobrze swoich a jabym przydał choć jednego z moich.—

Eh! na co tam przydawania? znajdzie się tu jeszcze dorostek, co go można posłać i na koniec świata.— Hej! chłopcy!! jest tam Szewłoga? niech no tu przyjdzie do pana Rejmentarza.

Przyskoczył chłopina mały ale krępy, rumiany z śmiejącą twarzą, i pokłoniwszy się nisko, pocałował w rękę rejmentarza, i swego hetmana.

— Znasz ty Waluś drogę do Kolbuszowój?

— Oh! trzy milki za Głogowem i niewiedziałbym jój, o północku trafię.

— A no! to dobrze — słuchajże chłopcze: dostaniesz list od pana rejmentarza i pojedziesz z nim do księcia Marcina...

— Dobrze panie.

— Ale niedajże się Dońcom złapać, boby cię zakłuli...

— Nie dam!

— A jak cię złapią?

— Ja sobie poradzę.

— Jakże?

— List schowam do buta, a buty wezmę bardzo złe: żeby mi ich nie zdjęli; a wezmę jakie ciele albo prosię na powróż, to jakbym się zdy-

bał z niemi, to im prosię czy cieleę zostawię, a sam jak się kopnę, to się nieobejrzę aż w Kolbuszówę. Boć oni podobno nie daleko w koło miasta będą stali, a jak mnie się zapytają kto ja i zaczem idę, to zaczną płakać i powiem im: że ja rzeźnik i po prosiem chodził.

— No! już sobie radz jak możesz, byleś oddał list. A kiedy wrócisz?

— Wieczorem.

— To za prędko.

— Ale wróć! bo będę chłopskie konie łapał, co się teraz wszędzie po ścierni pasą, a jak zmęcę jednego to go puszcę, a drugiego uchwyć.

— A to mi po tatarsku pocztować! przerwał Radzimiński...

— Ja tak zawsze robię, kiedy mnie szwagier Balabędrowski posyłają do Tarnowca, do pana kasztelana...

— Niema co mówić, najkrótszy sposób jazdy bez kosztu...

— A prosię albo jałówkę, to ja sobie wezmę z folwarku pana burmistrza na Klapkówce. On się i tak schował przed nami, to nie będzie widział.

Radzimiński nie mógł dłużej śmiechu powstrzymać, i poklepawszy go po ramieniu, dał złotówkę na drogę i wysłał w imie Boże.

— Placówki i czaty doniosły: że Moskwa mianowicie kozacy miasto do koła pikietami gęstemi otoczyli, wyjąwszy Podzamecze, to jest część

za stawami i kościołem Reformatów położoną, i z miasta niepuszczają obdzierając do naga; do miasta zaś niepuszczają ani zdziebla słomy ani ziarnka zboża.

— Trzeba będzie chyba aż na Przybyszówkę jechać ale i tam Dońcy gotowi zastępywać.

— Wtém moja głowa! rzekł Jakub, tylko poczkajcie niech sobie trochę odpocznę, bom się okrutnie złaził a zażywszy tabaki z ciemierzycą z rożka u pasa, uległ na murawie i przeciągnął mówiąc: Oj trzeszczą już stare kości moje, a ziemia tak rosą pachnie: że aż miło; trzeba będzie niezadługo włożyć w nią skolatane cielsko. Kieby choć Pan Bóg dał skończyć od kuli albo szabli, a nie na suchoty albo dychawicę, jak stare baby! Ale ja przeczuwam: że mnie Pan Bóg wysłucha, i ta Matka jego, do której nabożeństwo od lat pięćdziesiąt codziennie nabożnie odmawiam, której imię przeczyste na tym święconym skaplerzu na sobie noszę. I wyjął skaplerz, pocałował, a potem oparł siwą głowę na ręce i dumał. W dobrą chwilę nadszedł stary jego Sodalis i wziął jeszcze listy do pana regimentarza, który w nich dopisał: że przez szpiegów wie z pewnością, iż Moskwie sukurs idzie; prosił więc o pomoc zaklinając na miłość Boga.

Stary Jakub podniósł się tymczasem, i prosił regimentarza o pozwolenie spróbować szczęścia na psiarnisku, aby w tamtą stronę Dońców zwabić,

i Bartłomiejowi wyjazd z miasta ułatwić. Regimentarz zezwolił, a stary Jakub zeszedłszy na dół, zawołał: Chłopcy! czyja wola szczęścia próbować na psiarnisku? — Kilku konfederatów starszych i kilkunastu mieszczan skoczyło, a parobcy budziwojscy chcieli hurmą ruszyć, ale na to niepozwoili, tylko dziesięciu wybrał, w halabardy zaopatrzył dwudziestu mieszczan i piętnastu konfederatów, między których Sodalis jego stary, koniecznie się naparł. Hakownicę jego ulubioną wziął jeden z parobków, drugi zaś widły do wbijania w ziemię i opierania; dwóch mieszczan co dobrze strzelali, dostali muszkiety także z widłami, reszta rusznice; a konfederaci i czterech rzeźników byli na koniach. Pierwsi z lancami i bandoletami, ostatnich trzech z szablami i pistoletami na smyczy, a jeden najlepszy, wyprosił sobie obuszek staropolski z toporkiem.

— Wasze widzę masz staropolski rozum! rzekł mu Jakub, wsiadając do bryczki Miszczańskiego, którą mu tenże wraz z chłopcem i końmi od potrzeby ofiarował, ruszyli przeżegnawszy się. Za głogowską bramą zszedł Jakub z wózka, przeżegnał krzyżem świętym: siebie i podjazd cały, pocałował skaplerz, schował troskliwie w zanadrze, i przetarłszy okulary, wstał na kopiec graniczny miasta i patrzył. Dońce stali w okolo, a piechotę widać było jak się na Załężu przewoziła. Na Załężu i Powicieńskiej górze stały widety, a na kopcu

tatarskim, czy szwedzkim, nad samym Wisłokiem kurzył się dym, znać że tam jakiś majdan był.

Psiarniskiem mimo potoka Mikoszki, ku Wisłokowi pędzą wozy parokonne od swego dworca, a iskra pjaranowa po drutach rozpiętych roznosi myśli ludzkie po nad domki białe w ogródkach i składy towarów. Wtedy było tam inaczej! Było to miejsce puste i błotniste, kędy wywożono z miasta śmiecie i padlinę, gdzie panował ohydzony mistrz szerokiego pola, tak zwany hycel. Stała tam karczemka licha zwana Cyganówką, dla tego: że tam włączającym się po Polsce cyganom, taborem stawać dozwalało niewpuszczając do miasta, i wypędzając za dni kilka. Kilka chat nędznych pod strzechą stało opodal porozrzucanych, w tych chatach zakwaterowali się Dońce, podczas kiedy jedni w karczmie wódkę dopijali, biegali drudzy wkoło miasta od Wisłoka aż po za ogród bernardyński, napastowali ludzi szczególnie dziewczki i kobiety a chłopów ku miastu jadących, zawracali nahajami.

Tam, tedy ruszył Jakub z podjazdem. Stary Sodalis jego dowodził swoją konnicą, a podczas kiedy ci podjeżdżając, Dońców alarmowali, hetman siedł wzdłuż wału i rowu przedmieścia Kłapkówki. Po pod małą chalupą nad Mikoszką, którą poczciwy poddany miejski chłop: Zbilut, zamieszkiwał, za wałem już rozstawił swą piechotę, i niema pomówić bardzo korzystnie. Z prawej strony był

potok z dość głębokim korytém i wałem opłocnym tarniną; z tyłu o jakie stajanko, wał Klapkówki, okopisko żydowskie i drożyna z furtką, do miasta, którą w razie potrzeby, zawsze można było za wał ująć i z okopiska z poza płotu i kamieni grobowych, kropic jak z za przedmurza.

Stary Sodalis umówiwszy się, miał ku téj furtce zmierzać naprowadzając Dońców na Jakuba i piechotę. Wziął on się najprzód na lewo, ku bernardyńskiemu ogrodowi, aby ztamtąd Dońców wywabić. Z kilkoma puścił się ku nim, a reszta stali w odwodzie niedaleko głogowskiej - bramy. Dońce postrzegłszy go, poczęli kwiczeć po swojemu, zwolywać się i ujeżdżać w bok, a kiedy się ich już podostatek zebrało, puścili się rojem na niego jak éma jaka. Stary Sodalis zatrzymał konia i przyłożył bandolet, drudzy tak samo. To Dońce rozlecieli się na wszystkie strony kieby płewa, i znów wracając, nacierali z kwikiem; a stary éwik konfederacki, rzekomo uchodził. Jak się Dońcy znów zbliżyli, to on zawołał: Stój! cel!! ale nie pal!!! a Dońce rozpierzchli się jak kawki przed burzą. Czata konfederacka zostawiona w odwodzie przypatrywała się temu tańcowi; skoro się stary Sodalis zbliżył, podskoczyli żwawo i tak serdecznie: że kilku wleciało aż w pośród Dońców, gdzie palnąwszy z pistoletów, dwóch kozuniów zwalili z koni. Poczém pomykali się ku chałupie Zbilutowej. Dońce tymczasem zbiegali się z wszyst-

kich stron jak gdyby bociany po świętym Piotrze, kiedy mają odlatywać, a zwinny Szewłoga poza płoty i krzaki przekradał się ku Głogowowi. Konfederaci oganiali się Dońcom strzelając z pistoletów a pomykając: żeby im nie dać czasu przyjść do janczarek. Już ich się téż, tęgi rój - zleciał i coraz śmielej, coraz bliżej nacierali, ale téż i podjazdowi serca przybywało, czém bliżej mety. Rzeźnicy z początku trochę zbaczali i poza siebie się oglądali, ot zwyczajnie rekruty; ale powoli napomnieni przez starych: aby się nie bać, zwracali konie i palili jak drudzy; Jakub z toporkiem! gdy Doniec nań spisał natarł, przeciał mu ją w powietrzu, a jego samego jak dźgnął po nachylenój łopacie, to jeno zawołał: Joj! trysta!... i padł pod konia. Kilku Dońców przyskoczyło pomścić brata; ale podjazd przypadł już do chałupy. A z poznaniem, jak huknie hakownica w cizbę Dońców, a muszkiety i rusznice jak poprawia, a końmi jaki taki kropnie z bandoletu: dziewięciu kozuniów legło na placu kieby baranów, a wielu ich tam dostało po krzyżach i pośladku; to oni sami najlepiej wiedzą. Odskoczyli na strzał, i podczas, kiedy jedni biegli i krzyczeli opodal: „Neudjesz lachn! neudjesz“. Co odważniejsi przypadali z koni i dawali ognia z janczarek. Kulki świstały cieniutenko górą, albo biły w chałupę i obejście, ale zakrytym konfederatom nie nie szkodziły. A co oni podskoczą, to Jakub wypali z hakownicy, a drudzy poprawia,

i znowu jeden lub dwóch zleciało z łęku, a kilku chwyciło się za krzyże lub udo, a tu ich coraz więcej nadbiega, bo już i od przewozu, ale boją się zbliżyć, jak pies do jęza. Cóż więc robią Dońce zmyślne? Zsiada ich jakie pół kopy z koni i wałą bezustanku z janczarek, ale coraz bliżej przystępując, a dwóch najsmielszych przypadli konno bokiem do węgła chałupy, i huknęli z janczarek w strzechę. A że to była posucha, zajęła się strzecha.

Kiepsko mospanie! zawołał Jakub spostrzegłszy to, i już chciał zakomenderować do odwrotu. Wtém pan Rudnicki jak przypadnie z boku od głogowskiej bramy, jak się puści na nich, to się Dońce rozlecieli po polu jak gdyby plewa na cztery wiatry.

Już też i parobcy budziwojscy niemogli dłużej wytrzymać, i wypadli na owych, co z koni zsiadli i ubili dwóch wskok alabardami, a jednego nagnali do chałupy i tam się im musiał poddać.

Tak tedy w pierwszej wyprawie coś z siedemnastru kozaków leżało na Psiarnisku. Waluś Szewłoga zaś z burmistrzowską jałowką na powrozie, pędził przez rowy i krzaki. Lekko mu było, bo młoda jałoweczka rozegzila się i w poskokach pędząc, ciągnęła go za sobą. Dońce zoczyli go i dopędzali wołając: Łowi! łowi! — Jeden już był bliżutęńko i spisa się zmierzyl. Waluś puścił brykającą cieliczkę, a kozuń chcąc ją pochwycić,

spadł z konia, czém rozśmieszył drugich. Waluś zaś dopadł krzaków i lasu w Miłocinie, więc się też śmiał. — Po drodze spotkał dwóch żydów i chłopca idących ku Rzeszowu. Przestrzegł ich przed Moskwą; lecz oni się tylko uśmiechnęli na to.

OBLEŻENIE.

OBLĘŻENIE.

Na zamku nie próżnowano także. W przewidzeniu oblężenia przygotowywano, co potrzeba. Z polecenia uczonego Blombergera, wódarz Żyłowski i syn jego Grzegórz konno z kańczugami w dłoni, uwijali się pomiędzy dwiestu wozami spędzonymi z Boguchwały, Drabiniarki i Podzamecza; pilnowali ładu, składu i skrzętności w dowożeniu piasku z bliskiego Wisłoka. Piasek ten zsypywano po części w kupy na bulwarkach, wzdłuż zamkowego przekopu od strony miasta, w części zaś po basztach zamkowych, gdzie niemiem napelniano wory wznosząc z nich przedpiersia i podwyższone działobitnie czyli baterye. Bulwarki zaś obszernie, zamierzano okryć bronami, których gwoździe do góry zwrócone a przysute piaskiem, wstrzymywałyby zapęd wroga.

Na radzie wojennej postanowiono ustąpić z miasta do zamku, poczęści z trudności, a nawet nie-
możebności obrony słabych a rozległych wałów i
parkanów miejskich, bez pomocy mieszczan trwo-
żliwych i żydów nieżyczliwych; po części zaś, aby
niewystawiać miasteczka na pożar niezawodny.
Boć Moskwy główną broń od wiek wieków sta-
nowi żagiew ogniowa, wpośród której Moskwa
najodważniejsza; lubi pohulać w krwi kobiet i dzie-
ci niemowląt.

W mieście więc i po przedmieściach rozsta-
wione czaty, dostały rozkaz: ściągania się do zam-
ku pod zasłoną zmroku. Boć przewidzieć było
można: że Dońce przybrawszy sobie piechoty, bę-
dą nocą szczęścia próbować.

Stary Jakub wróciwszy z podjazdu, milcząc
przyglądał się przygotowaniom oblężniczym, mia-
nowicie wory napełniane piaskiem, pochwalał jako
bardzo użyteczne. Że zaś ogród zamkowy otoczony
był żelazniami, mocnemi i wysokimi sztachetami
radził zawrzeć na noc bramę, i jak zwykle, wy-
puścić zamkowe brytany, aby po bulwarkach bie-
gając, wcześniej ostrzegały o podkradaniu się Doń-
ców.

Hakownice ciężkie przygotowane w lunecie
wiszącej u narożnika baszty, przywitał mile, jak
gdyby dawne swe znajome dobre. Oglądnał krzo-
sy, spróbował czy dużo iskier sypią i sam za-
mówił jedną z nich dla siebie, dodając: — Bo wy

młodzi nawet niewiedzie co to za broń i jak się jój zażywa!...

Zwrócił się potem na przeciwną stronę zamku, na basztę od Wisłoka, i z zadziwieniem spostrzegł: że niema na niej najmniejszych przygotowań, nawet krzaki bzu i chwastów dzikich, któremi zarosła, niebyły uprzątzione. Wraca do Blombergera pytając o przyczynę?

— A na cóż tam obrony? któż będzie atakował tamtędy?

— A działa moskiewskie z za Wisłoka!

— Działa? tak zdaleka? cóż nam zrobią?

— A jak przejdą Wisłok i staną bliżej? cóż my im zrobimy?— A jednorogi moskiewskie?

— Co to jednorogi! z kpiarskiem uśmiechem zapytał.

— A działa moskiewskie, co ich nieznacie ani wy Niemcy, ani Francuzy, a z których kula bije o wiele dalej, bo komora na proch węższa w nich jak wewnątrz, działa; a granatami mogą nas prażyć!

— Tak?

— A tak!

— Cóż tu począć na to?

— Co począć!... na jednoróżce puścić smoka! Świętej pamięci pan hetman Lubomirski wiedział na co go sprowadził i tutaj umieścił.

To mówiąc, wskazał na ogromne działo walcowe, całe obrosłe chwastem i krzewami, leżące

na silnej dębowej podstawie z narządem do celowania.

— Smok tu pewno zdrow i cały, choć Wasze nań zapomniał, ale i jego towarzyszki będą zdrowe; ot te żmije i węzownice z małemi pyszczkami. One tu nie nadarmo leżą!

Blomberger niedowierzając, przyglądał się smokowi z wielką paszczą i długim węzownicom, zamyslił się i rzekł w końcu: — Juźcić by to było! żeby mieć do nich kule stósowne.

— Wtém moja głowa! odrzekł Jakub. Zażył tabaki z rożka u pasa, pokręcił siwego wąsa i przystąpiwszy blisko, patrząc oko w oko, zapytał stanowczo: Mości panie Blombergierze pułkowniku! umiesz Waszmość milczeć?

— Milczeć? — umiem!

— Jak kamień grobowy?

— Jak kamień!

— Słowo?

— Słowo! —

— Więc chodź za mną! Weź klucze od piwnie od strony wieży, a nikt żeby nas nie widział.

Poszli na zamek, wzięli klucze i światło, a stary Jakub wiódł.

Znał on wszystkie kryjówki podziemne zamku, i nieraz opowiadał o wielkich murowanych cieżnicach pod basztami, i o różnych starych rzeczach co się tam znajdują, i o złotej cegle, którą świętej pamięci kasztelan sandomirski: Mikołaj

Spytek Ligęza murując zamek, sam wmurował pod ogromny kamień węgielny.

Owóz postępując przodem, oglądał się na komendanta Blomberga i mruzczał sam do siebie: Jak umrę, niech on! wie, kędy drzewiej w zamku skarby przed Szwedami i Tatarami chowano,..... teraz zaś bo i skarbów mało i schowku dobrego nieznają. Przy pochodniach szli długimi ciemnicami po pod baszty; a ku końcowi jednego z wązkich korytarzy drągiem żelaznym podważył stary Jakub kamień ciosowy, niby z fundamentów wieży. Kamień gdyby odczarowany odskoczył, i pokazało się: że to były drzwi żelazne i dębowe ciężkie, do których z wierzchu płyty kamienne były przymocowane. Mocna sprężyna u spodu zamykała je tak szczelnie: że kto niewiedział, mógł tysiąc razy mimo chodzić, i ani mu do głowy coś podobnego nie przyszło.

— Niebój się Wasze, tu czyste powietrze, bo tam jest okienko powietrzne jedno i drugie i pochodnie się jasno palą. Ja Waszeci pokażę rzeczy o których ci się nie śniło.

Ciemnica była z ciosu w krzyż sklepiona z pasami i guzem. Na ścianach wisiały zardzewiałe zbroje ogromnie stare, berdysze i obuchy takie: że na nich było z pół centnara żelaza i miecze ogromne obosieczne i inna broń. Na ziemi leżały śmigownice i armaty coś że czterdzieści, kule, bomby i olów bryłami, a w końcu leżała kupka kul

podługowatych mosiężnych, objętości główki dwuletniego dziecka. Blomberg się zdziwił: że niewiedział o téj ciemnicy, będąc już przecie kilka lat kómandantem zamku.

— Nie dziw się Wasze! bo to i księżna nie wie o niej i nikt, tylko ja sam. Wszyscy już wymarli, którym ś. p. hetman prócz mnie zbrojownią tę pokazał. Ale ja Waszeci jeszcze coś więcej pokażę. Podważył znowu kamień w kącie, a odskoczyły drugie drzwi i pokazała się malutka ciemnica jak gdyby grób jaki szczelnie murowana; a na dębowych ligarach stały dwie beczki wina o żelaznych obręczach. Ligary i beczki były już zupełnie okryte pleśnią.

Jakub poskrobał beczkę i odjął kawałek dęgi i pokazało się: że beczki zupełnie zgniły a wino tylko w własnej pleśni stało jak w worku.

— Niechże mi Wasze teraz przyrzeknie: że tych ciemnic nikomu nie pokaże, chyba jednemu panu Puławskiemu! i to po ukończonej szczęśliwie wojnie. Bo to wino takie stare, jak ten zamek i nikt go niekosztował, jak ś. p. kasztelan Ligęza przed sto kilkadziesiąt laty i ś. p. pan hetman! a nikt nie powinien chyba jeden pan Puławski. Blomberg przyrzekł uroczyście, a gdy wyszli z tamtąd, Jakub pokazał mu kamień w kącie i powiedział: że tam jest wychód podziemny do Reformatów, ale tam niepójdziemy, bo niema po co.

W tój chwili zdało się im iż słyszą strzał armatni w zamku, a za chwilę znowu drugi! Zerwali się niespokojni. Jakub podjął z ziemi dwie mosiężne kule i ledwo ich udźwignął a Blombergowi kazał wziąć kilka kul ołowianych do śmigownic i wyszli. Zrobił go jeszcze uważnym: że na kamieniu u drzwi pierwszej ciemnicy, jest herb Ligęzów „Pułkozie“ na pół łokcia od ziemi dla pamięci, pokazał, a potem zatrzasł drzwi za sobą i tak szczelnie się zamknęły, że Blomberg sam swoim oczom niewierzył. U wychodu zdybali Murzyna, który nibyto szedł do ciemnic wołać ich mówiąc: że moskale okrutnie granatami strzelają.

A pójdziesz ty kanalski duchu! wszędzie musisz nos wściubić a gdzie cię djabeł nie posieje, sam zejdziesz!... przywitał go Jakub. A murzyn uciekał czempredzėj. Ale w duszy, śmiał się ze starego, którego niepostrzeżony wyszpiegował, i widział drzwi do pierwszej ciemnicy i nawet dojrzał: że tam są armaty. Drugiej ciemnicy już nie widział, bo uciekał po ciemku aby go nieostrzeżono a i tak się ledwie wyłgał.

Moskale walili z za Wisłoka, granaty odbijały się o ściany baszt i pękały nad sadzawką; czasami jednak dolatywały pękając nad basztą lub o ściany zamkowe.

Jakub szedł prosto do dział ogromnego, już oswobodzonego od krzewów i chwastów. Było ono jeszcze od czasów ś. p. hetmana Hieronima Lubo-

mirskiego, podobno Szwedom odebrane. Robota jego była precudna: ozdóbki jak na salaterkach srebrnych, ucha w postaci delfinów, a otwór przedstawiał ogromny leb smoczy w płaskorzeźbie. Ztąd zwano go smokiem. Wziął cztery ładunki armatnie, związał powrózkiem, poprzekłował i wetkał smokowi w gardło, a potem przybił dobrze. Dalej wziął kulę mosiężną czyli raczej słupek mosiężny zaokrąglony po końcach, gruby może na piędź, i widać na miarę smoczęj paszczeki robiony; wpechał mu te drugą potrawę piekielną w gardziel. Zażył tabaki z ciemierzycą z różka u pasa, przetarł okulary połą, zasadził na nos i mierzył. Ostatni promień słoneczny oświeślał kupkę Moskwy strzelającej z przeciwnego brzegu Wisłoka. Ufni w przestrzeń znaczną, oddzielającą ich od zamku, stali sobie bezpiecznie, i wśród wesolej biesiady, z podniesionych dział przez ełwacyą, puszczałi na zamek granaty ciesząc się skutkiem. Kozacy z starszyzną z koni przyglądali się to puszkarzom, to zamkowi, z kąd się żadnej skutecznej odpowiedzi niespodziewali. Wszystko to dobrze było widać przez szkła, a nawet i dobrém okiem. W środek tej bezpiecznej gromadki moskiewskiej mierzył Jakub. Mierzył długo, trochę wyżej, trochę niżej, to w prawo, to w lewo; aż ustawił i rzekł: teraz dobrze, poproście-no który z was pana hetmana, chcę mówić rejmentarza! niech przyjdzie obaczyć; sam zaś śmigownice nabijał ołowianemi kulami i wy-

mierzył na Moskwę. A były-to śmigownice na jakie półtory siągi długie, z małym otworem, a śmięgały ołowiem Bóg wie kędy. Rejmentarz zeszedł i patrząc się na smoka, rzekł:

— Ba! a macieź kule do niego?

— Ot są.

— A to co za kule, mosiężne jakieś i nie okrągłe?

— A nie!

— Przyznam się, zem jeszcze nie widział podobnych a jakie ciężkie; cóż to za kule?

— Ej co sobie tam Jegomość żartuje ze starogo— odparł Jakub niby troche z kpinami, i niuchając tabakę z ciemierzycą z rożka u pasa mówił: tać to tam wy panowie młodzi, co francuskie i niemieckie książki czytujecie, niewiedzielibyście o tém co my starzy robili?...

— Ale dalibóg że niewiem.

— No to ja wam powiem moi panowie: to są Boneroskie kule z łańcuchami! czytajcie polskie księgi stare, to będziecie wiedzieć, jak to drzewiej Polacy wojowali, że się odraz Turkom i Szwedom bronili, a wy teraz temu głupiemu Drewiczowi rady dać nie możecie...

Wtém odstąpił na 2 kroki, przytknął lont i otworzył gębę... Z panewki dym wyleciał pierścieniem się kręcąc na kilka siągów od ziemi w powietrzu, a potem jak hukło, aż się cała baszta zatrzęsła, i kilkanaście szyb z okien zamkowych wy-

padło, a miészczanie się za uszy chwycili! Echo odbiło się o tyczyńskie i mazowskie góry. Smok zygnał kulą, która się rozstąpiła; a łańcuch w ciasne ogniówka naumyślnie skuty, rozwinął się w powietrzu, i przykuty do obu półkuli ołowiem wylanych, leciał gdyby zmija jaka piekielna wijąc się i gwizdząc w powietrzu. Wpadł na Moskali, zciął coś ze dwie głów i jedną rękę. urwał kawał koła armatniego aż trzaski podleciały; a potém objął Dońca na koniu stojącego wpeł, przekroił jak przekupień swe mydło, a w dodatku półkula mosiężna oderwawszy się, zgruchotała szczekę koniowi oficerskiemu.— Za smokiem huknęły węzownice, a ołowiane ich pociski, doleciały, i choć nie tak jak smok, przecież uszkodziły wroga. Przerażona Moskwa, umykała zostawiając przewrócone działo, rozerwany jaszczyk, trzech trupów i kilku ciężko rannych.

Nie było czasu do unoszenia się pochwałami nad skutecznością smoczego dzieła; bo od miasta zasłyszano strzały broni ręcznej. Moskwa następowała z piechotą i działami, więc czaty i strażę odstrzeliwując się, pomykały na zamek. Część osiadła przed zwodni szaniec na bulwarkach, zawarwszy wprzód bramę ogrodową— drudzy poszli na zamek którego zwod zwiedziono.

Niebawem cienko i wyraźnie świsnęły kulki w powietrzu. Stary Jakub nadstawił ucha i rzekł: Aha! to Dońce przypadli z koni i strzelają. Znam

ja ten świst! każda kulka przewiercona i przewdziana końskim włosiem, który kraje ciało podczas, gdy sama wierci!... Tak mówiąc, nabijał hakownice, a nie żałował młotka aby kulka ciasno przystała do sześciociennego wnętrza potężnej rury kutěj— może przez Szweda jakiego? Poczém półtora-korcowych worów kilkanaście, kazał odziać płaszczami konfederackimi, guzy dobrze zapinając. Na wierzchnie wiązanie woru kazał pozasadzać czapki, i tak ubrane ustawiać na wał otoczony ostrokołem hiszpańskim, o który wory opierano. Kazał ustąpić ztamtąd, a z boków zasiąść z hakownicami. Sam ustąpił do narożnej lunety, zażył tabaki, poprawił okulary i czekał z uśmiechem zadowolenia.

Słońce już zapadło! a mgły wieczorne rozjaśniał miesiąc i gwiazdy migające. O kilkadziesiąt kroków dobrze widne były przedmioty większe; stojące w świetle; zupełnie jednak nikło co stało w cieniu. Miesiąc jasny oświecał zamek, którego cień padał właśnie na część baszty, gdzie odziewano wory. Odziane stawiano na światło, a przy niepewnym świetle nocy, podobieństwo mamidel tych do ludzi, było ludzającym.— Dońce wnet ku nim zwrócili swe strzały, na które z zamku nieodpowiadano. Stali zaś za żelaznemi sztachetami ogrodu przed sobą, mając miejsce wolne kilka tylko kłębami posiane; w lewo pałac letni książęcy, zasłoniiony kłębem. Pałac ten i kłęb niepokoiły

ich: bali się zasadzki. Wszystek więc ogień swój zwrócili z początku w kłęb. Przekonawszy się, że niéma nikogo, dobierali się do bramy ogrodowej, którą zdołali otworzyć, a zakryci cieniem podchodzili pod pałacyk, i przekonawszy się, że nieosadzony, tylko zawarty i zamknięty, z poza kłębego, rozpoczęli ogień do onych mniemanych konfederatów, którzy odpowiadają zrzadka. Ośmieleni biją a biją do konfederatów, a tu żaden niepada, choć się im od strzałów czapki ruszają. — I jakżeż mają padać, kiedy kulki małe dziurki wierca, piasek się po troszeczkę sypie, więc wory stoją, a konfederaci bezpieczni, śmieją się i tylko rzadkimi strzałami odpowiadają z poza worów. Dońce rozjątrzeni twardą, polską naturą, po kilku razem mierzą w jeden wór i palą celnie w sam brzuch i piersi. A tu ledwie nie ledwie piaszczysty konfederat zwięsza głowę w bok, i pomalenku gdyby panna mdlejąca, opiera się na swym sąsiedzie, a w końcu pada z dziewiczym wdziękiem. Kozacy zachodzą się od podziwu i coraz śmiejiej strzelają, a strzałami przywabiona piechota staje za sztachetami, karabiniery rozpoczynają rotowy ogień.

Tego właśnie wyczekiwali konfederaci. Od narożnika, Jakub jak huknie z swęj hakownicy jednej i drugiej prosto w kłęb; z baszty jak sypną z działek i muszkietów. — Kozactwo jękło „czortami“ zmykając ku bramie i wlokąc swych rannych, a piechota ani się obejrzała aż za miastem.

Do tego ściemniło się na niebie, a czarna chmura z burzą, piorunami i grzmotem nadciągnęła od Krakowa i Mrowli. Moskwa bojąc się zasadzki, uciekła z miasta aż za Wisłok. Burza trwała kilka godzin, a deszcz lał jak gdyby z konwi. Stawy wezbrały, woda nappełniła przekop zamkowy i hucząc spadała w sadzawkę na winnicy. Ubezpieczony zamek, mógł wypocząć: strażę tylko czuwały po basztach, lunetach i na wieży.

Pod zasłoną burzy, przybył szczęśliwie goniec od księcia Marcina z doniesieniem: iż ciągnie i w Mrowli go burza wstrzymała. Donosił téż, że konfederacya sandomierska ciągnie za księciem.

Nazajutrz Moskwa znowu zajęła miasto, podpadając pod zamek. Wiodła z sobą i armaty; lecz tylko piechota i Dońce powtarzali nocne strzelanie do worów przyodzianych. I oni ustąpili niezadługo i cała Moskwa wyszła z miasta, znak, że odsiecz niedaleka!

Książę Marcin dotrzymał słowa. Posławszy do Sandomierza z wezwaniem pomocy od partyi Sandomierzan Amora Tarnowskiego, mianowicie rotmistrzów: Adziewicza, Mikułowskiego i Moszczańskiego, którym regimentował Łubieński, czekał na odpowiedź. Moszczyński odpisał: iż wysłał szpiegów pod Rzeszów, i jeżeli ci dadzą znać o potrzebie, to pójdzie w pomoc Radziwińskiemu.

Niebyło więc czego czekać. Książę ruszył z Kolbuszowy, a za nim w odwodzie miał ciągnąć

Paryss, dawny marszałek sandomierski, właśnie przywołany przez księcia od Pacanowa. Ale hrabia Paryss po swojemu chciał wprzód wypocząć. Więc Łubiński, regimentarz Tarnowskiego a przeciwnik Paryssa, przez kilku obywateli naglony, ruszając ku Rzeszowu, napadł na niego tak niespodzianie: że się Paryss ledwo do kościoła schronić, a potem w kilkanaście koni ująć zdołał.

ZASADZKA.

ZASADZKA.

Miasto osadzili konfederaci napowrót. Żyłowski z synem swym, kilkaset bron nazwoził z wsiów okolicznych. Wysłano niemi bulwarki zamkowe od wjazdu zamkowego. Letni pałacyk, którego ważność poznano w nocnym napadzie, wraz z gęstym kłębem, miał posłużyć za miejsce zasadzki. Cztery działa polne miano ustawić za kłębem tak: aby ostrzeliwały bulwarki całe, mianowicie skręt ku zwodowi i wieży. Cała konnica miała wypaść z miasta, i ucierając się z Moskwą, miała ją na sobie przywabiać ucieczką i nawodzić na zamek. Od fary miejskiej, miała konnica umykać wielkim pędem prosto w ogród zamkowy. Zdażywszy zaś do skrętu drogi na bulwarkach, zamiast do zamku, nagle miała skrócić w lewo po za kłęb ogromny, kędy stały działa. Na zamku zaś zwód miał

być spuszczone, a dla pozoru kilkunastu konnych i garstka piechoty miała umykać przez niego w nieładzie i udanej trwodze, tak: aby Moskwę za sobą powabić. Gdy zaś kozacy wpadną na bulwarki, samém już rozpędem niemogąc się powstrzymać, przypadną na ostre brony piaskiem przysute. Konie ich będą się przewracać, a wtedy za kłębem ukryte działa, sypną kartaczami, piechota z baszt da ognia, a w końcu konnica księcia wypadłszy, weźmie na pałasze, podczas gdy Chojnacki przeszedłszy Wisłok, zastąpi na błoniu.

Takim był plan zasadzki polskiej. Czémprędzej jęto się wykonania. Żyłowski z Grzesiem, za pomocą posłusznych wójtów, dostarczyli bron potrzebnych, wyścielono niemi bulwarki, przysuto piaskiem, a książę Marcin sam ustawił działa za kłębem i dawał rozkazy swym rotmistrzom. Był pewnym udania się zasadzki; marzył o wawrzynach i pomszczeniu wszystkich klęsk i niepowodzeń swoich. Pan Bojanecki to samo, teraz albo nigdy, miał okazać światu, że jest wojownikiem, i nie dla pozorów szablę nosi. Nawet Żyłowski i syn jego Grzesio, z niudaną ochotą wyglądali stanowczej chwili; bo i oni uzbrojeni należycie, mieli się przyłączyć do wycieczki, a polska waleczność odezwiała się w ich krwi.

Wszystko więc było dobrze ułożone i na ochotę szczerą niezbywało. Cóż kiedy gadatliwości niezapobieżono.

Murzyn niby od niechcienia przyglądał się tym przygotowaniom, chodząc w ubiorze pazia księżnej czarno, w aksamicie z takimże beretem szerokim o strusich piórach. Jako pokojowiec zamkowy, a do tego osobliwość murzyńska, miał wszędzie dostęp już dla samych igraszek, które z nim wyrabiano.

W bliskim klasztorze u Reformatów leżeli ranni konfederaci i moskale, których ksiądz gwardyan doglądał z całą miłością bliźniego, nie robiąc różnicy z powodu wiary i narodowości. Z lekami z apteki zamkowej i z zasiłkiem dla chorych, często murzyn wychodził z zamku, a czaty przepuszczały go bez trudności. A był między rannymi Doniec, którego on znał dawniej, gdy jeszcze książę Prozorowski stojąc w Staszowie, bywał na zamku u księżnej chorążyny. Wtedy w poczecie jego bywał ów kozak, poznali i polubili się. Odwiedzając rannych, najczęściej u niego murzyn wysiadywał, opowiadając co gdzie zasłyszał. Z kolei opowiedział o zasadce gotowanej, a kozak odrzekł: Ej żeby to tak można dać znać majorowi Solimakowi, byłyby dzięki za to!

Murzyn zważywszy rzecz całą, widząc dobrą sposobność pomszczenia się nad Żyłowskim i Grzesiem, postanowił dać znać Moskałom. Ale jak i kiedy? — Wpadł mu na myśl stary okopiszczał! Pyta kozaka o hasło. Ten zaręcza za bezpieczne dostanie się do placówki i obozu, byle idący rzekł

Dońcom: „Kataryna Matuszka; major Karmaszek Sołymak“.

Murzyn pod wyszukanyim pozorem poszedł w miasto, i pochodziwszy to tędy, to owędy przedmieściem głogowskiem, koło Klapkówki pomiędzy sady, niepostrzeżony skradał się na smętarz żydowski czyli okopisko.

Na okopisko spoglądało też dwu chłopców uliczników, wedle swego obyczaju. Nad potokiem Mikoszka tuż obok okopiska, stał dąb ogromny, kilkasetletni, rzekomo za przybyciem żydów do Rzeszowa, posadzony nad grobem pierwszego ich rabina. Piękne to drzewo rozaczało konary swe ponad domy i okopisko; niezliczone ptastwo nocowało i gnieździło się w jego gałęziach, a nie było ulicznika, któryby nie próbował spinać się po nich. Główne trzy konary rozgałęziając się z pnia, tworzyły trójkąt obszerny, tak, że kilku ludzi pomieścił. Tam też zawsze chłopcy miejscy łazili, tam się bawili poglądaniem na miasto i okopisko, rozesełane przed nimi gdyby kobierzec jaki.

Smętarz gminy żydowskiej, którego nadzorcą był stary Okopiszczak, w samém prawie mieście położony „obwiedziony murem, dziwny przedstawiał widok.“ Wśród gajów sadowiny, jakoto: wiśni, trześni „lubasek czyli pospolicie od bolenia, które zbytecznie ich użycie sprawuje, bolączkami zwanych“ w cieniu wysokich śliw damasztyń i ogromnych grusz szczeró swojskich, w dziełach księ-

dza Kluka pod nazwą „Baby“ wyliczonych; leżały i leżą nawet po dziś dzień porozrzucane groby starozakonnych, porosłe kocirpką, saklakiem i leuszczyną. Na każdym grobie zwyczajem orientalnem stoi w nogach: kamień płaski, a na nim po hebrejsku wyryte imię zmarłego i ojca jego, i krótka modlitwa, albo wyciąg z pisma świętego“. Cały napis obwiedziony arabeską w czysto jerozolimskim stylu: zwykle w górze jakie 2 ptaki, gryfy albo chudsze od heraldycznych: lwy i coś, co ma być kwiatkiem. Wszystko illuminowane na żółto, czerwono, zielono, biało i czarno. Na wiosnę, gdy sadowizna kwitnie, a krzewy brzmią śpiewem słowików, które w téj-to zaciszy licznie osiadać zwykły, przytém roje pszczół i much brzęcząc, po kwieciu się wieszają: dziwnie, tęskno, powabném i poetyczném jest wschód słońca, przypominający także miasto umarłych. Gdy do tego jeszcze miesiąc pod pełnią na pogodném, nocném niebie, niemym świadkiem z poza gałęzi drzew zabłyśnie, i nabożny hebrej z wielkiej staréj księgi proroków, mową Boga chwalić zacznie, myślałbyś, żeś nad przedmieściu Stambułu lub Mekki. Właśnie była taka noc. Stary Okopiszczak z długą brodą, chodził między groby, i rzucał czosnek na ofiarę zmarłym, aby wzrastał na mogiłach, jako symbol zmartwychwstania. Wschodni to zwyczaj zachowany u naszych żydów polskich. Potém, gdy miesiąc wzniósł się po nad drzewa, i mała gwiazdka przy

nim zajaśniała: wziął księgę świętą, i wyszedłszy na wolniejsze miejsce, mówił modlitwę na pełny miesiąc, zakonem przepisaną. I czasem mrucał z pochyloną głową, jak gdyby zgłębiał dzieje wygnańca ojców swoich, to znów podniósł brodatą głowę, i krzyczał w niebo i ręką kiwał i bił częste pokłony, jak gdyby chciał wymódl. na Bogu ojców swoich: zemstę nad temi, co pognębili dzieci Abrahama.

Właśnie był w największym modlitwy zapale, i zdawało mu się, jak gdyby miesiąc głosu jego słuchał i obiecywał: że wzbijając się pod sklepienie nieba: przed bramą raję, przed progiem Jechowy, błysnie zasmucony, i że bladym swym światłem białymi płomyki; przełoży skargi wybranego ludu... Wtém furtka skrzyła i wszedł murzyn czarny. Nie przestał modłów Okopiszczak stary, stróż grobów wiernych. Nie zważając na niecierpliwość murzyna, wiele słów sobie wypowiedział, i po kilka razy pocałował księgę i „cyces“ to jest węzeł z 12 nitek u rogów sukni spodniej, na pamiątkę 12 pokoleń zawieszonych. Potém zamknął pocałowaną książkę, i zwrócił się do murzyna, który mu spieszenie całą rzecz opowiedział, dodając: że beret swój z białymi piórami strusiem, zawiesi na narożnym oknie zamku, i dopokąd zasadzka trwać będzie, dotąd go nie zdejmie, aby o tym znaku Moskwę uwiadomił.

Zadrżało serce żyda z radości: że mu się na-

darzyła pora zemsty nad temi, których najbardziej nie nawidził, i najbardziej się bał: nad zamkiem i konfederatami. Kazał sobie jeszcze raz wszystko opowiedzieć, nauczył się hasła na pamięć, a kiedy się murzyn oddalił, poszedł na grób świętego cadyka i zaczął się modlić. I zaczął chwalić Boga Izraela: że wrogów rzucił pod stopy jego, i płakał z radości i przykładał ucho do ziemi, czy mu dusza Hassida cadyka co nie powie. I zdawało mu się, że mu dusza świętego męża z grobu wyraźnie szeptała: Idź! śmiało do Moskali i donieś im. I wstał i uczuł się w młodzieńczej sile!

Waluś Szewłoga, wróciwszy z Kolbuszowój, opowiadając o spotkaniu się z dwoma żydami i chłopem, którzy się roześmiali na wzmiankę o Dońcach, obudził podejrzenie: że to byli szpiedzy. Opis żydów i chłopca naprowadzał na domysł: że to byli złodzieje od Sokołowa i Głogowa. Wysłędzono, że dwu takich żydów kręciło się po mieście i koło bożnicy. Widziano też słynnego złodzieja chłopca z Pogwizdowa z za Głogowa. Mieszczanie podejrzewając Okopiszczaka, mieli go na oku, a dwaj chłopcy dobrowolnie i chętnie podjęli się straży na dębie. Doradzili tego starsi mieszczanie znający nienawiść Okopiszczaka do chrześcian i Polaków, twierdzili: że on się nie nadarmo tak głośno modli w nocy sam jeden!

Kazimirek Balabędrowskiego i jego družba z olbrzymiego dębu, którego konary ciemne przez

mur po nad wążką drożynę i okopisko rozpostrze-
nionę, za obserwatoryum sobie obrali, najdokład-
niej widzieli obie postacie, i słyszeli ich rozmo-
wę krótką i rozstanie się. Murzyna nie poznali
z daleka, myśląc: że to też żyd czarno zarośnięty,
bo był bez bereta i w jakiś opończy; ale Oko-
piszczaka doskonale odróżnili z postawy i długich
pejsów. Widząc, że się zbliża ku bramie od bo-
żnicy, zlął jeden z nich z dębu, i przyczał się
pod murem w rogu okopiska. Przeszedł żyd kład-
kę dążąc ku bożnicy. Chłopiec skradał się za nim
po maleńku i uważał: że przelazłszy wał, wszedł
do kahału. Tam chwilkę zabawił, a wróciwszy
przez kładkę, szedł na drugie okopisko. Kazimi-
rek wydrapał się na mur, i wylazłszy na wiśnię
przywierającą, uważał żyda idącego okopiskiem
ku Psiarnisku.

Skoczył więc z drzewa i szedł za nim, dokąd
mu z ocz nie zniknął. Żyd przelazł przez parkan
i przekop przedmiejski; przez zgliszczę chałup na
Psiarnisku, zdążając ku pikietom Dońców. Wte-
dź skoczył Kazimirek, jak to mówią na jednej
nodze do domu, i opowiedział Balabędrowskiemu,
który natychmiast na zamek z dcniesieniem po-
śpieszył. Okopiszczak tymczasem zbliżał się ku
pikiecie Dońców, która z okrzykiem: kto żywiot?
przyskoczywszy, spisa się złożyła.

„Jekateryna matjuszka, major Karmaszew So-
łymak!“ wybąknął żyd przelękniiony, a kozak mó-

wiać: Eti twoju mat'! jewrej! — ujawszy żyda za kołnierz, prowadził do placówki. Tam wzięło go dwóch Dońców między konie, i prowadzili do przewozu. Przeprowadzili się na czólnie, i oddali żyda piechocie na straży, która go taszczyła wawozem opodal od tatarskiego kopca, dalej przez wieś aż do lasku małego, gdzie stał główny obóz moskiewski. Drżąc z przestachu, stanął żyd przed dowódcą rosyjskim, który go z uwagą wysłuchawszy, coś straży rozkazał. Za chwilę wszedł do namiotu żyd z czerwonymi ślipiami, i przywitał się po hebrejsku z Okopiszczakiem, znajomym sobie. Okopiszczak aż podrośł, kiedy go zobaczył, i wytłumaczył mu wszystko po żydowsku, nie zapominając o umówioném znaku w oknie zamkowém. Szpieg z Rawy powtórzył wszystko po rosyjsku, i zaręczył za charakter godny swego współkolegi. Dowódzca rzekł: haraszo! i dał obom mnoszko diengów i obiecał jeszcze więcej, i łaskę króla i kniazia Wołkońskiego, jeżeli się wszystko sprawdzi... Prócz pieniędzy dał Okopiszczakowi przepustkę wolną przez wszystkie komędy rosyjskie i królewskie tam i sam ile razy zechce, i odprawił. Na dworze zaś ściemniło się, deszcz zaczął padać. Przeczekali więc chwilę, a potem za poradą czerwono-okiego, poszli nie do miasta, lecz drogą tyczyńską: na Czekań, gdzie kilku żydów z radością ich witało.

Było tam dwu żydów obcych, z Mielca i So-

kołowa, było dwu kahalnych z miasta i gospodarz karczmy. Siedziało też kilku chłopów przez pół pijanych, z pobliskiej Białej i Matyssówki, także z Malawy i z Pogwizdowa głogowskiego, dwaj chłopci złodzieje. Ostatni obaj obsiadłszy podpitego chłopca z Matyssówki, ciągle mu coś szeptali w uszy i śmiali się, i przypijali wódką, i znów się śmiali. To znowu podchodzili do drugich chłopów, rozmawiając z niemi i widocznie namawiając na coś.

Gdy z Okopiszczakiem wszedł żyd krwawo-oki, obaj złodzieje zdjęli czapki z głowy, i pokłonili się do kolan jemu i Okopiszczakowi, a bydlęcy, głupi, a dziki uśmiech wyszczerzył im zęby z ust plugawych. Dziewka usługująca, z zadziwieniem bacząc tę niewolniczą uniżoność chłopów ku żydom, nie mogła się powstrzymać od uwagi:

— Także się nie ma-ta komu kłaniać, jak żydowi niedowiarkowi!...

— Ale boto widzi-ta! Jaguś, on ma pieniądze ten żyd — i chce z nami robić interes...

Karczmarka spostrzegłszy, przerwała rozmowę, napędzając dziewczkę do stajni; żydzi zaś zabrali przychodniów do alkierza, kędy właśnie wieczerali.

Po wieczery i krzykliwej modlitwie, tchnącej nienawiścią, w której przewodził żyd krwawo-oki, uciszyło się w alkierzu. Żydzi po cichu szeptali z sobą, a złodzieje zaglądali do nich. W końcu

wyszedł żyd z Sokolowa i zagadał do chłopą, którego mu malawski złodziej wskazał. Mówili niedługo, bo kilka słowami poznali się braćmi w rzemiośle złodziejskim. Żyd wywołał go na pole, a kilka słów głośno zagadał po hebrejsku. Na to hasło wyszedł za nimi żyd krwawooki, a za chwilę we trójkę rozmawiali z sobą po ciemku, postąpiwszy ku niedalekiej olszynie, aby ich nikt nie słyszał. Żyd sokolowski namawiał go, do rozszerzania niepokoju pomiędzy ludem; namawiał, aby się zmówili, i po wszystkich wsiach jednej chwili napadli dwory, i wyzabijawszy panów i urzędników, zabrali ich mienie i posiadli ich łany. Obiecywał im pomoc Moskwy i króla, okazując pismo na to, królewskie rzekomo.

Złodziej skrobał się za ucho i mówił: Nieźle byto było!

Krwawooki żyd z innej beczki zagadał:

— Czy ty rusin?

— Rusin!

— Kołys ty rusin, to derzysia rusynyw i wiry blahocestywej, derzysia Moskwy, a ne Lachyw pohanych. Wot! tebi hramota ruska do ludyw i swiaszczennykiw! wozmy, daj twomu popu i dać jemu etoty noży swiaszczennyi w bożoi cerkwi... A sam każy czołowikom wsim szob' ryzaly panyw! — A tu majesz diengi, majesz hrosziw, rubliw! na tebi!! — Ponimajesz szo howoru?

— Rozumię!

— A schoczysz zrobić szo ja każu?

— Dobrze!.... rzekł chłop, biorąc związane ostre noże i jakieś pisma i pieniądze; a skrobiąc się po za ucho — obiecał natychmiast pójść pomiędzy ludzi, namawiać na rzeź, a popowi obiecał doręczyć pisma i noże.

Żydzi jeszcze raz, i jeszcze raz! przykazali mu milczenie i wypełnienie rozkazu, inaczej grożąc śmiercią nieochybną. Poczém odeszli do karczmy, a nie zadługo wyszli oba złodzieje. Rusin jeszcze stał w miejscu i bił się z myślami. Odezwali się świstem i wnet się znaleźli. W kilku słowach opowiedział im: że wziął noże, pisma i pieniądze, opowiedział co mu przykazali. Rozesmiali się oba, zwierając się: iż i oni taki układ zrobili i idą między lud; okazali noże i pisma, i radzili, aby dopełnił zobowiązania. Poczém go pożegnali, zwracając się w bok. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, stanęli i świsnęli. Nie było odpowiedzi! snąc odszedł już. Więc śmiejąc się stłumionym głosem rzekli: Niech on wyprawi rzeź, to my sobie będziemy kradli! — Rzucili w gąszcz noże z papierami, i poszli polami ku: Liśiemu-katowi!

Trzeba zaś wiedzieć, że pod Tyczynem naprzeciw Rzeszowa, jest dwie wsie ruskie. Według podania, chłopci tamtejsi zabili swego rządzcę, więc Branicki, dziedzic całą ludność przerzucił w głąb Rusi, a natomiast ztamtąd sprowadził rusinów. Tak niesie podanie.

Z okoliczności téj, chciała Moskwa korzystać na wzór Humania.

Złodziej trzeci przyszedł do Białej, lecz nie mógł się odważyć, wejść do której chałupy, noże ciężyły mu strasznie i paliły dłoń. Rzucił je precz od siebie, a sam zatrwożony wyrzutami sumienia, legł pod krzakiem wikliny, niedaleko od brzegu Wisłoka, a po chwili usnął.

Przed świtem jeszcze, posiadłano konie na zamku. Cichaczem dosiedli ich jeźdźcy: Chojnacki stanął na czele i ruszył ku Wisłokowi. W Białej przejechał rzekę w bród i stanął na brzegu porządkując swój oddział. Poczém wysłał straż przednią, aby przepatrywała drogę i okolicę.

Ledwo kilkadziesiąt kroków ujechali: złodziej spiący w wiklinie, obudzony nagle, zrywa się z pod koni prawie i umyka. Dopędzony i chwycony drżąc jak osika, błaga zlitowania, obiecując zeznać wszystko, byle mu darować życie! — Snać mu się śniło o konfederatach, że go chwytają, więc obudzony nagle, jaw wziął za dalszy ciąg snu straszego.

Zdziwieni konfederaci mówią: — Gadaj! bo kulka w łeb! A on skruszony, opowiada całe zajście z żydem krwiokim, pokazuje piśma, mówi o nożach...

Wnet wyrozumiano co się święci; więc związano chłopą, kazano prowadzić. Jechano powoli i cicho; jednak nie uchodzono baczności szpiegów. Jeden z nich stał zawsze kolejno na straży,

a wśród nocnej ciszy nad rankiem, po rosie sły-
chać najmniejszy szelest, najmniejsze uderzenie.
Dosłyszał więc stapanie koni, domyślił się: że to
konfederaci, zapukał do okna, a żydzi przebudze-
ni, co tchu wyskoczyli z pierzyn, umykając wprost
do Olszynki.

Zorza poranna już zarumieniła niebo, rozwi-
dniło się. Chojnacki, nim jeszcze kazał obskoczyć
karczmę, wysłał patrol przodem i po bokach, aby
dokładnie otropiła okolicę, i nie przepuszczała ni-
kogo, a sprawiła się jak najciszej.

W karczmie naturalnie nie znaleziono nikogo.
Nie wyszło jednak pół godziny, czaty przywiodły
jednego żyda, co się przebierał przez błota prosto
ku Moskwie.

— Gdzie drudzy?

— Nie wiem! odpowiada żyd, a spogląda ku
olszynie, kędy też naprowadza i złodziej ujęty.

Za małą chwilkę znaleziono porzucane przez
tamtych złodziejów: noże i odezwy, wzywające
do rzezi; żydów powyciągano z krzaków. Konfe-
deraci uradowali się, w czerwonoookiem poznawszy
szpiega, wisielca z Rawy - ruskiej. Znaleziono przy
nich przepustki moskiewskie, jakie dawali szpiegom.
„Powiesić“! zawołał Chojnacki, przeczytawszy
odezwę, „wszystkich wywieszać“!

Złodziej słysząc ten wyraz złowrogi, pada na
kolana i gorącemi zalany łzami, żebrze przeba-
czenia. Opowiada, jak go namawiali tu, w tém

właśnie miejscu i ślubuje: że póki żyw, nie będzie kradł, ani się nawet będzie wdawał ze złodziejami z Malawy i Pogwizdowa, ani z temi żydy, z których najgorsi są z Mielca i Sokołowa!...

Chojnacki słuchał w milczeniu, a w końcu rzekł: — kiedy na tem samym miejscu, gdzieś zgrzeszył: żałujesz grzechu; przebaczę ci! lecz za pokutę sam powieszysz wszystkich tych żydów, co lud do zbrodni pobudzają!

— Powieszę! sam ich powieszę! na tych postronkach kradzionych, coście odemnie kupowali!

Pobiegł sam do komory karczemnej, przyniósł postronki i rozwijając je, wołał; A bestye! wyście mnie namawiali żeby panów zabijać, a Moskałom donosić o panach konfederatach, poczekajcie taraz, ja wam się odsłużę! Żydzi zaczęli wygadywać, zwałać winę jeden na drugiego, tylko Okopiszczak milczał i pieniał się z wściekłości, i mruczał wielkie przekleństwo na goimów. Pijak z Wygnańca, wyprosił sobie swego arendarza, i wypominając mu lichwę, oszustwa i bunty, sam go powiesił i resztę złodziei. Okopiszczak przedostatni, a szpieg czerwonooki na samym ostatku szli na gałęź, a wschodzące słońce oświeciło siedmiu wisielców na gałęziach Olszynki wedle karczmy na Wygnańcu.

Ułaskawiony złodziej dziękując, powtarzał ludziom: Żyda z Mielca i Sokołowa, chłopca z Malawy i Pogwizdowa, — przenocować strach!

Moskwa doczekała się pomocy, która jej

przed świtem nadeszła od Łańcuta. Z siłą więc pułku piechoty liniowej; w trzy tysiące karabinierów, trzy sotnie Dońców i kilka armat, postanowił dowódzca moskiewski wydać bitwę konfederatom, a jeżeli nie przyjdą, szturmować zamek. Wiedział bowiem: że z ludźmi księcia, nie liczyli konfederaci dwóch tysięcy, a księcia znał jako płochliwego; wiedział położenie zamku i zasadzki, a do tego przekonał się: że zameczek mimo zasadzek na winnicy, dwoma kolumnami naraz przypuszczonemi, z niejaką stratą ludzi, wziętym być może. A o ludzi mu przecie nie chodziło, bo ich Rosya łatwo dostarczy; zresztą i chłopów w żołdacy brać król jegomość wcale nie bronił. Później zaś, gdy konfederatom więcej pomocy przybędzie (a wiedział, że sukurs w pochodzie), trzeba będzie z hańbą ustąpić, co książę Wołkoński gotów za tchórzostwo wziąć i w odstawkę dać.

Ruszył więc z Krasnego, wysyłając Dońców przodem. Chojnacki z boku stał zakryty Olszynką Słocińską, na której żydzi wisieli. Radzymiński na zamku, przygotowywał się do obrony w razie, gdyby Moskwa miała siłą zdybywać. Książę Marcin w zupełnej gotowości trzymał zasadzkę, a rotmistrze jego: Bojanecki i Boguszewski, wyruszyli podjazdem. Moskwa nie spieszyła się z mocnego stanowiska, zajętego na wzgórzu za Wisłokiem. Owszem Dońce umykali za ładą poskokiem, wybawiając konfederatów. Trwało to kilka godzin.

Radzymiński zniecierpliwiony, sam z częścią piechoty i działami wyruszył na błonie i uszykował się. A było to już o południu w niedzielę, trzynastego sierpnia 1769 r. Dońce widząc to, przypadli z góry powicięńskiej wąwozem, a dalej brzegiem strugi, przez most około młyna Wawrzyńca Ludery, i z niesłychanym krzykiem, natarli na konfederatów, a piechota poczęła się pokazywać na wzgórzach. Radzymiński wedle umowy zmyślił ucieczkę, i zmykał przez most na Wisłoku, przez bramę jarosławską i żydowską, przez miasto i na zamek, a Dońcy kwicząc i wrzeszcząc: hurra! jechali mu na karku. W ogrodzie Bojanecki z swą jazdą skręcił za kłęb i pałac, a Radzymińskiego piechota obchodząc, pędziła do zamku, nie zwożdżąc mostu za sobą. A za kłębem stały armaty kartaczami nabite, i stary Jakub przy swój hakownicy, z okularami na nosie i luntiem w ręku, stanął w przodzie kłębu. Już dwóch Dońców konie upadły na bronach, kiedy major Solymak, dostrzegłszy murzyna i beret z piórami w oknie, a nie mając zamiaru szturmować zamku, zakomenderował: Pastoj! i w odwrot. Jakub stary palnął z hakownicy, zwałił jednego; lecz Dońce przygotowani, dali ognia w kłęb, a stary Jakub zawoławszy: „Miserere mei Domine“! padł dwoma kulami prześyty. Działa sypnęły kartaczami, ale nie zarwały żadnego, bo kozacy nie posuwali się po za kłęb.

Bojanecki na czele swego oddziału, do które-

go się i pan Włodarz Żyłowski z swym Grzesiem jedynakiem przyłączył, skoczył za Dońcami i pędził przez miasto, most na Wisłoku aż na błonie, gdzie się tymczasem moskiewska piechota formować poczęła. Przelecieli Dońce przez most, a stary Sodalis i Bartłomiej Murski, pędzili na ich karki wprost na piechotę moskiewską. Batalion karabinów (bo dopiero jeden z góry zszedł) nie był jeszcze uformowany, kiedy Dońce na niego wpadli i do reszty w nieład wprowadzili. Poczęła Moskwa uchodzić przez most około młyna, a Sodalis stary Bartłomiej i ci co najskorsci, kluli co siły i rąbali, a za nimi leciał pan Rudnicki na czele swiej komendy i rąbał potężnie. I usłali trupem podnózek powiecieńskiej góry i dolną część wąwozu. Za Rudnickim pędził Bojanecki, a ostatni w szeregach jego, jechał Włodarz Żyłowski ze swoim jedynakiem Grzesiem. W odwodzie zaś w niejakiem ustępie opatrzonym działami, spieszył Lubomirski; a Chojnacki pędził od Wygnańca.

Młynarz Ludera siedział we młynie i spoglądał ku Olszyncy, gdzie mu powiedziano: że żydów konfederaci powiesili, i na zamek gdzie siedział ów Grzesio, któremu wieczną zemstę poprzysiągł, całe piekło zawrzało w czarnej jego duszy.

Pod Moskwą uchodzącą z błonia, zadudniało na moście wedle młyna, a stare słupy i bierzma, wstrzęsły się pod ciężarem. Bardziej jeszcze du-

dniało i trzeszczało, gdy pędził Bojanecki z dwoma działami książęcemi.

Młynarz wspomniał sobie na księżnę, karete, Grzesia i baty. Mimowolnie popatrzył ku mostowi i ujrzał Żyłowskiego i Grzesia. Krew mu zakipiała wściekłością, trzęsąc się od piekielnego uczucia zemsty, porwał siekiere, skoczył na most i pozwalał niepoprzybijane i chwiejące się dyle, stanowiące pomost. Podniósł potem zastawy, i uciekł strugą w górę ku Słocinie.

Okrzyk: hurra! niebawem rozległ się na górze; Moskwa zwróciła się całą swą siłą i uderzyła na konfederatów w wąwozie głównym. Karabinierzy zaczaiwszy się w wąwóz, dali ognia z boku i poskończyli obcesem, spotykając się z Dońcami, w szalonym pędzie z góry nacierającemi.

Konfederaci widząc przemoc, zwrócili się, i podczas kiedy przytomniejsi ku wyzinom zbaczali, i sprawiając się na wzgórzu, Dońcom opór stawiali, uciekali drudzy prosto w wąwóz na armaty most zepsowany. A Moskwa już nie strzelając, kłuła i siekła bez miłosierdzia. Więc też na oślepiecili ku mostowi! Pierwszy, co przypadł, był Grzesio na siwym koniu, od księżnej za pobicie młynarza, darowanym. Z wysokiego brzegu skoczył w szumiącą wodę, a mózg jego bryznął o pal mostowy; za nim wpadł ojciec jego, zawołał: „Jezus Marya!“ i woda go poniosła! Kilku jeszcze wpadło za nimi!

Téj chwili przypędził Lubomirski z działami, które zaprzodkowały na wybrzeżu strugi niedaleko od młyna. Księżę zskoczył z konia, sam wymierzył działo, i palnął w wąż na skręcie, w tłumy Rosyan walących się za konfederatami z powicińskiej góry. Palnął raz i drugi kartaczami o sto kilkadziesiąt kroków, a kilkadziesiąt karabiniarów zagryzło ziemię, reszta wróciła się w największym przestachu, lecz działa Bojaneckiego zdołali uprowadzić z sobą. Na wzgórzach tymczasem wrzał bój nie mniej zacięty. Stary Sodalis cudów męstwa dokazywał! gdzie rąbnął tam Moskal padł na ziemię, ale w końcu odcięty od swoich, chcąc się przebrać do Wisłoka, przesadził rów koło karczmy powicińskiej, ale mu popręg pękł i spadł z konia, a Dońce mszcząc się poległych dobijali go na ziemi leżącego, dla większych mąk koląc nie ostrzem, lecz tyłcem okowaniem spisy. Koń jego rzał po polu i nie dał się złapać, tylko przeskoczył strugę, i stanął w szeregu konfederatów. Rudnicki widząc okropność, położenia konfederatów, nie stracił głowy, ale podczas kiedy Moskale biegli w wąż, przerznął się przez nich do Wisłoka, prawie ostatni z tyłu. Przelęknieni konfederaci, nie znając miejscowości, skakali z wysokiego brzegu w Wisłok, i wielu z nich potonęło; przytomniejsi jednak spuszczaali się wolniej i przypłynęli szczęśliwie. Bojaneckiego już na brzegu prawie otoczyli Dońce, ale Bartłomiej Murski przy-

padł i rzucił się między nich z szablą w rękę. Bojanecki korzystając z chwili, skoczył z brzegu i przepłynął, ale Bartłomiej pchnięty w bok, opuścił rękę. Tęj chwili krasy jego skoczył w Wisłok i wypłynął, ale tylko z pokrwawionem siodłem.

Mnóstwo ludu wiejskiego z okolicy, zbiegło się na wzgórza pobliskie, poglądając na walkę. Obsiedli dachy i drzewa, aby dokładniej widzieć. Gdy już wszystko ucichło, niejaki Kruczek, chłop ze Słociny, podkradał się zbożem i obdzierał trupy. Obdarłszy zabitego Dońca, przyniósł zegarek i kilnaście karbowanów. Znalazł się drugi podobny, więc samowtór poszli, aby obedrzeć konfederata zabitego, na którego palcach pierścienie widział. Pikieta moskiewska nadciągając, dostrzegła go z daleka, kozak podsunawszy się, palnął z janczarki i ubił Kruczka w zbożu; a towarzysz jego uciekwszy, opowiedział to ludziom.

Skoro zmrok zapadł, widety rosyjskie ustąpiły ku krasieńskim polom; chłopci z Malawy Krackowój i Powitny, rzucili się na pobojuwisko. Moskwę obdzierali do naga, a na brzegu leżących, rzucali do Wisłoka; resztę zaś zakopali na wzgórzu w gruncie chłopca Reli. Trzy mogilki nad nimi usypali. Zginęło ich, jak gminne podanie niesie, siedemdziesiąt kilku. Rannych swoich Moskale na kilkunastu wozach uwieźli z sobą do Łańcuta.

Konfederaci nakazawszy chłopom poddawać broń, tylko zdobycz wszelką sobie brać i zatrzy-

mać dozwolili, z obowiązkiem, ażeby poległych braci poznoszono na błonie. Sami troskliwie zabierając rannych, udali się na zamek, osadziwszy pikietami miasto i most na Wisłoku. Bojanecki z temi, co szczęśliwie przepłynęli, rejterował jednym tchem aż do karczmy, odległej w połowie drogi do Głogowa, i zanocował na folwarku w Dołędze sokołowskiej. Było ich tam w kilkadziesiąt koni, a wielu rannych pomiędzy nimi. To też podstarości wsi Dołęgi, raczył ich czém mógł, i nie żąda nawet pokwitowania. Grabiński, dziedzic Sokołowszczyzny, litując się ich doli, chętnie im śnać uzczył posiłku, bo w rejestrach skarbowych sokołowskich ówczesnych napisano: — Bojaneckiego nocleg w Dołędze na folwarku w koni kilkadziesiąt: darowany.

Nazajutrz rano, wszystkie dzwony w mieście ozwały się żałobnym głosem. Gwardyan ojców Reformatów, w assistencyi księdza gwardyana Bernardynów i księdza Patrycyusza Sztezyngiera, żałobnym pochodem wyszli na błonie miejskie. Przed nimi szły wszystkie cechy z chorągwiami, czarną krepą obwinionemi i że światłem, niosąc 32 trumien próżnych. Towarzyszyła cała chrześcijańska ludność Rzeszowa. Na wozach czarnookrytych, wieziono zwłoki trzydziestu i dwu konfederatów, okrutnie posieczonych i skłutych, i owego łakomego chłopca, Kruczka ze Słociny. Tylko Sodalisa starego wprzód już pochowali chłopci przy saméj

karczynie, w miejscu, gdzie zginął. Osobno jednak od Moskwy i osobną mu usypali mogilkę, i większych kwiatów nasadzili. Pochód pogrzebowy, poprzedzony Łabudami żałobnie grającymi, prowadził ciała poległych około fary na smętarz, i pochowali ich przy wieży, od strony miasta. Poczém z zamku przywieziono 11, którzy w nocy pomarli z ciężkich ran. Wśród niesłychanego jęku i płaczu całego miasta i ludu wiejskiego, kładziono ich do grobu wspólnego, z drugiej strony kościoła farnego, wedle zakrystyi. Każdy z przytomnych posypał trzy bryłki ziemi, i zmówił trzy razy wieczne odpoczywanie; a księża śpiewali starą pieśń pogrzebową polską, którą już dość rzadko usłyszeć można: „Zmarły człowiecze z tobą się żegnamy...”

A śpiewali ją ona staropolską nutą, co to aż serce przenika grobowym dreszczem, a ducha upokarza, i marność ludzką przed oczy stawiając, w proch ściele, przed nieskończoną Wszechmocnością Pana Zastępów.

Książdz wikary zaś do księgi „Metryces mortuorum“ napisał: *Anno Domini 1769 die 13ma mensis Augusti, ad radicem montis versus Povitnam, in certamine a Moscis occisi quidam; quidam gravissime vulnerati obierunt; milites confederati omnes catholici, numero quadraginta duo, ac unus rusticus laboriosus Kruczek de Słocina. Qui omnes sepulti sunt; non prope a turri triginta duo, reliqui vero undecim ex altera parte ecclesiae ad par-*

*tem septentrionalem versus Zakrystiam. Sunt sepulti magno cum dolore totius populi Christiani Resso-
viensis.*

Żydzi swoich wisielców ukradkiem zwieźli nocą, przykrywszy całunem. Pochowali na okopisku, Okopiszczaka pogrzebali obok grobu świętego cadyka hassydy; postawili marmurową płytę w nogach, a drzewo wsadzili w głowy. I długo! długo!! chadzali na grób jego modlić się, płacząc, sypiąc czosnek i przykładając ucho do ziemi.

Broni pozieraną przez chłopów, zwieziono na zamek, gdzie konfederaci dalszych następstw czekać umyślili. Nadeszły dywizye: Tarnowskiego najprzód Łubiński, a we środę nadciągali wszyscy, i stanęli na przybyszowskiej górze za miastem. Moskwa obaczywszy to, uciekła w doły i lasy. Rotmistrze Tarnowskiego nie usłuchali księcia Lubomirskiego, który ich na klęczkach prosił, aby iść za Moskwą. Uniewinniając się ordynansami od marszałków swych, brakiem amunicyi i niewiadomością kędy Moskwa przypadła. I ruszyli ku Muszyncy. Radzymiński udał się ku góróm. Księżę Marcin zaś ku Kłobuszowej; zostawiając placówkę w mieście. Zabrali ze sobą rannych, broni i amunicyi z zamku podostątkiem, tudzież koni z miasta i na poczcie z kulbakami i pistoletami w olstrach. Podwody wzięli z wsiów: Boguchwałój i Budziwoja.

Zaraz po odjeździe konfederatów z Rzeszowa,

Dońce wpadli do miasta tak nagle: że towarzysz Błoński, który nie dowierzając przestrzeżeniu, zatrzymał się nieco w mieście, nie mógł ujsć, i został niemiłosiernie zakłuty. Poczém nie zatrzymując się major Solimak, wiódąc Dońce i karabinierzy, pędził za księciem i porazili go w Rzemieniu, owój sławnej wiosce, gdzie niegdyś mieszkała nasza poetysa Elżbieta Drużbacka. Drudzy zatrzymali się w mieście, wpadli na zamek, i do Reformatów. Doniec ranny, opowiedział im jak się rzeczy działy, a murzyn wskazał podziemną zbrojownią, którą wysledził w ów czas, kiedy ją stary Jakób pokazywał Blombergowi, kędy znowu działa pochowano przed Moskwą.

Wydobyli ztamtąd czterdzieści dział spiszowych, bębny, kule, i amunicyi wiele i broni nie mało, co wszystko na pięćdziesiąt wozów naładowali. Tylko ciężkie armaty wraz ze smokiem potopili w kanale zamkowym; jedną tylko znaczną od ś. p. hetmana koronnego dawniej jeszcze zdobyłą, zabrali. Patrol rosyjska przywiozła także ukrywającego się wójta Klimkiewicza, który uciekając, wpadł im w ręce, a jeden kozak dowiedziawszy się: że to wójt Rzeszowa, rozgniewany uderzył go dzidą w nogę i złamał mu ją. Od niego więc i od murzyna dowiedzieli się o starym Jakubie, i porwali biedaka bez przytomności leżącego u Reformatów, i jeszcze dwóch innych ciężko rannych konfederatów. Żydom wymawiał zdradę

i zgubę szpiegów przydatnych. Nie zważając na uniewinnienia trzech burmistrzów żydowskich, porwali z sobą i pojechali ku Jarosławiu. Ledwo pół mili ujechali, biedny Maciej stary oddał Bogu czystą swą duszę.

Major Karmaszew Solimak z 300 Dońcami i karabinierami, dopiero 25 sierpnia wracając od Kolbuszowej, przez dwa dni stał w Sokołowie. Podstarości Radzikowski zażądał i otrzymał pokwitowanie za obroki i chleby. Wkrótce potem przyjechał do Sokołowa Kazimierz Puławski, biedny i obdarty. Z garderoby starosty dano mu 3 koszule holenderskie bez mankietów i szarawary aksamitne zielone...

W kaplicy Cudownej Matki Boskiej Rzeszowskiej, odprawiały się ciągle nabożeństwa i wotywy. Ranni osobiście lub przez swoich składali wota, które księża w księgi dziejów klasztoru swego zapisywali. Stoi tam pod rokiem 1769:

W. JP. Piotr Pokutyński na sukienkę obrazu: saity białej w żółte kwiaty.

W. JPani Rucka chorążyna pilznińska, wotum srebrne w postaci nogi. (Zdaje się za męża swego przy spełnieniu wyroku śmierci przez rozstrzelanie nie zabitego, lecz w nogę rannego ciężko).

W. JPan Batowski, wojski Pilzniński, wotum srebrne „in octavo majori“, a wkrótce drugie takie same.

W. JPani Tarnowicka vice-starostina sanocka:

para sukien dla obrazu, czyli raczej posagu drewnianego cudownej Matki Boskiej, na dnie kawowem w kwiat srebrny i jedwabny.

Zaś w parę miesięcy później złożyli:

JPan Jasiński dispozytor; wotum srebrne z obrazem Matki Boskiej.

W. JPan Rucki wotum srebrne.

JPan Marcin Klimkiewicz wójt rzeszowski, dziękczyniąc za odzyskane zdrowie po złamaniu nogi przez żołnierzy rosyjskich; złożył wotum srebrne w postaci nogi.

Nieznajomy złożył wotum srebrne w postaci serca z literami M. D.

W. JPan Zamojski darował żupan peruwiański czerwony i kapturek srebrny.

Nieznajomy: małe wotum srebrne, które żołnierze rosyjscy odebrali. (*Ranny Doniec miał być tym nieznajomym.*)

W. JP. Kieżleski złożył wotum z literami C N.

W. JPan Lubieniecki, chorąży Pilźnieński, złożył wotum srebrne, na którym obraz cudownej Matki Boskiej.

W końcu: Mieszkańce wsi Swilczy, złożyli wotum srebrne, zebrząc cudownej Matki Zbawiciela, aby Bóg za jej przyczyną i orędownictwem, odwrócił klęski i nięszczęścia, któremi cała Polska przywalona.

Katarzyna zaś Blombergowa, żona komendanta zamku, podczas oblężenia zamku i miasta,

wielce przestraszona, mimo to, że była kalwinką, ofiarowała się za poradą księdza Patrycyusza Szezyngiera, opiece Matki Boskiej. Doznawszy jej łaski cudownej; zrzekła się błędów kalwina, i powróciła na łono kościoła rzymskiego.

Wszystkie te cuda spisali zakonnicy Św. Bernarda w książkę dziejów klasztoru rzeszowskiego, którą w skórę oprawną, do dziś dnia troskliwie zachowują, i z której niniejsze rzeczy czerpałem.

DOKOŃCZENIE.

Ksiądz gwardyan OO. Reformatów, kiedy mu ostatniego przyjaciela konającego z rąk porwano, żal swój niewymowny i serce rozdarte ofiarował Bogu, Stwórcy nieba i ziemi, Panu szczęścia i smutku, i Synowi Jego Zbawicielowi od ludzkiego plemienia sromotnie do krzyża przygwożdżonego, za to, że go chciał zbawić, i na drogę szczęścia naprowadzić! Pomodliwszy się za duszę Jakuba i wszystkich w Bogu zmarłych, złożył gwardyaństwo, chcąc na modlitwie w ustronnym klasztorze resztę dni przepędzić. Dożył wiele smutnych wypadków. Prześladowanie klasztoru Reformatów w Bieczu r. 1770 przez Moskwę, mszcząc się przytulku Puławskiemu danego; opisał nie opuszczając imion i szczegółów srogięgo zabicia księdza Definitora, i innych księży ran i obelg odniesionych, i szkód

klasztoru. Spisał też w krótkości co wiedział o konfederacyi barskiej, o Puławskim, o Szycu Węgrzynie i wiele innych ciekawości.

A opisał to wszystko potoczystą łaciną. Księga ta do niedawna znajdowała się w Rawie w klasztorze u OO. Reformatów.

Po rozbiore Polski wrócił do Rzeszowa, gdzie bogobojną rozmową z księdzem Patrycyuszem i modlitwami, lecząc bolejące serca, opowiadał dawne dzieje, i uczył dziatwę kochać Boga i ludzi. W parę lat potem, przywłókł się do klasztoru Ojców Reformatów człowiek zgarbiony, o kiju i jak gołąb siwy, a wszedłszy do kościoła gdzie stareńki gwardyan mszą odprawiał, upadł na środku kościoła twarzą ku ziemi, leżał krzyżem i płakał tak rzewnie: że aż serce słuchaczy żalnością rozbiegało. Był to Wawrzyniec Ludera, młynarz z nad strugi Wisłoka. Błąkając się po świecie, przeżył swą córkę biedną, co zwiędła jak kwiatek wiosenny mrozem owarzony; i żonę, co za ukochaną Jagusią swoją grób zaległa. Przeżył wiele zgryzot i nieszczęścia, aż w końcu zdziczałe, twarde od krzywdy, skruszało serce i do Boga zatęskniło. Po mszy św. wyspowiadał się gwardyanowiz ciężkich grzechów swoich, a nie odebrawszy rozgrzeszenia, odebrał przynajmniej pociechę duchowną i radę: aby pielgrzymował do Jasnej-góry Częstochowskiej, i tam u stóp ołtarza cudownego, krzyżem leżąc, błagał przebaczenia i odpuszczenia.

Wypadek ten i spowiedź, wzruszyły umysł gwardyana.

Kiedy mocą wyroku cesarza Józefa zniesiono klasztor rzeszowski, stare jego ciało uległo wrażeńiu. Poczul się słabniejącym i zażądał spowiednika, a w chwil kilka, otoczony smutną bracią zakonną, napomniawszy ich do miłości Boga, w spokoju zasnął na wieki. Reformaci zwłoki święte wystawili na katafalku, zapalili wszystko światło klasztorne za duszę swego świątobliwego patriarchy; każdy odśpiewał mszę żałobną, a w końcu razem odśpiewali żałobne nabożeństwo, i złożyli ciało w grobie.

Ostatniem kazaniem pożegnali się z ludem i miastem, wyjęli Przenajświętszy Sakrament z ołtarza, i zanuciwszy „Przed oczy Twoje Panie“, wyszli z klasztoru i Rzeszowa z procesyą i krzyżem na przedzie. Lud z płaczem i w smutku, odprowadzał ich aż do Przemyśla.

Murzyn zestarzał się w Rzeszowie. Na starość rozpił się i żyją jeszcze ludzie (r. 1863), co maelmi chłopcami będąc, droczyli się z pijanicą, walającym się w rowie ulicznym, śpiewając mu pieśń, której początek był:

Marsz huzarze, marsz pancerni

Obrońce ojczyzny, wierni...

Za każdą zaś zwrotką przychodziło:

Zdrajca murzyn

Judaszów syn!

Młyn miejski na strudze spustoszał. Woda zabrała łotki, sadzawka przerwała groblę i spłynęła do Wisłoka, w pustkach według podania, djabli melli po nocach, aż wszystko szczęście! dziś zaledwo odzujesz śladu upustowego.

Ludera wróciwszy, w małej chołupce tuż wedle pobojuwiska, zamieszkał przy swych dwu synach, i przy nich umarł. Młodszy doszedłszy lat, obok chaty brata, postawił sobie własną chałupinę, ożenił się, miał dzieci, które równie jak brat, w biędzie zdołał wyżywić. Na przednowku nie było chleba, dzieci uzbierały grzybów, zgotowały i jedli wszyscy razem, tylko chłopiec Jędrus niewiele jadł.

Grzyby były szkodliwe, wszyscy się zatruli. Jędrus tylko wychorował się, wszyscy reszta wymarli w obu chałupach. Gubernium galicyjskie dla przykładu i nauki, żeby nie jadać grzybów, ogłosiło w okólnikach wypadek smutny.

Jędrus podrośł i przeszło lat 40 służywał u rodziców moich. Od pierwszej młodości pamiętam go, mały był, drobny a pracowity.

Nieraz i nie dziesięć, opowiadał mi o swym dziatku, młynarzu na strudze, o księżnej chorążynie, murzynie i moście zepsutym. Mówiąc o 50 batogach niewinnie odebranych, i o konfederatach zagubionych przez zemstę, zawsze płakał i ja dziecko małe płakałem, on za swym dziatkiem! a ja za konfederatami. A babka moja naoczny świa-

dek tych wypadków, aby mnie utulić, brała na kolana, potrzasała gdyby na koniu i śpiewała:

„Jedzie Drewicz jedzie,
Trzysta koni wiedzie—
Za nim za nim pan Puławski,
W tysiąc koni jedzie.“

Z radością w lat 30 później, tę samą melodią pieśni usłyszałem w Muszynie, jest ona tam powszechną.

Mogilki pod karczmą oglądałem nieraz, a chłopci wskazywali osobny grób zapadły, powtarzając: że tam leży szlachcic konfederak, który się dzielnie bił dopokąd z konia nie spadł. Opowiadali, jak go tyłkami spis kołąc w brzuch, z wolna dobijali kozacy.

Chłop Relu nieraz pokazywał nam kędy leży Moskwa, a gdy Wisłok brzegu podebrał, z oberwiska sterczały żebra ich i piszczele. Kapiąc się w Wisłoku, widywaliśmy je zawsze, podziwiali i z nich nabieraliśmy pierwszego wyobrażenia o składzie ciał ludzkich...

Odszukałem jeszcze chłopca, który dzieckiem będąc, ze strzechy przyglądał się utarcze...

Odszukałem dziada stareńkiego z Boguchwały, który parobkiem do zamku na pańszczyznę jeździł, którego karzeł bijał biczykiem, pieski obszcukiwały, a murzyn straszył; z czego wszystkiego księżna się rada śmiała. W ów smutny czas, wo-

ził on też brony i piasek, a później woził Moskwę podwodą aż do Jarosławia.

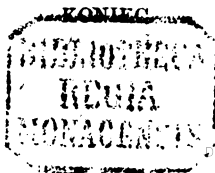
Znałem i Klimkiewicza, wójta z krzywą nogą, co mu złamali Moskale. Rakuski pierwszy kreishauptmann, Witman, dał mu się we znaki! Kazał go obić u pręgierza, za niedowagę pieczywa; bo Klimkiewicz był piekarzem.

O smoku w kanale zamkowym, długo gadali ludzie, i rzucaliśmy kamieniami, chcąc go wystraszyć.

Dziś! w zamku kasztelana Ligezy, złodzieje brzęczą kajdanami. Niemąło też tam łez wylali uwięzieni za miłość polskiej ojczyzny; a są tam dwie wilgotne kaźnie strasznej pamięci, w której żywcem trupieowały męczenników kości! Odkup to za dawne grzechy tamże popelniane.

Karczma do której uciekał Bojanecki, dotąd zwie się Rejteradą. Wieś Powietna odtąd zwie się Pobitną, a każde dziecko opowie zmienionej nazwy przyczynę. Żelazną koleją, tuż obok Pobitnej pędzi cywilizacya!

Ku południu na sawym wierzchu góry w Malawie, bieleje się odnowiony kościółek Maryi Magdaleny. Nic ci o niem nie opowie lud tameczny, jak tylko: że za czasów konfederackich, kula wystrzelona z działa na murach rzeszowskiego zamku, urwała krzyż na tym kościółku.



Pochód na Litwę	str. 219.
Rzeszowiacy	„ 233.
Gmina Żydowska w Rzeszowie	„ 251.
Kłopoty Hetmańskie	„ 265.
Konfederaci	„ 279.
Budziwojce	„ 295.
Radzymiński	„ 303.
Obleżenie	„ 329.
Zasadzka	„ 345.
Dokończenie	„ 373.



